

*Nelson Jandy*

*Niebo jest wszędzie*

*Siedemnastoletnia Lennie jest załamana po niespodziewanej śmierci starszej siostry. Jediną osobą, przy której czuje mniejszy ból, jest chłopak siostry, Toby, który cierpi tak samo jak ona. Są ze sobą coraz częściej, coraz bliżej. Nic nie mogą na to poradzić – ani na potworne wyrzuty sumienia.*

*Wszystko staje się jeszcze bardziej trudne, gdy w szkole zjawia się nowy chłopak, Joe. A Lennie z przerażeniem odkrywa, że nie może przestać myśleć o jego czarnych oczach i miękkich ustach...*

*Czy można przeżywać żałobę i myśleć o chłopaku? Rozpaczać i równocześnie być tak szczęśliwą?*

*A może miłość jest właśnie po to, by nie dać się prześladować temu, co przepadło, i tylko trwać w zachwycie nad tym, co było...*

CZESC 1



Gram się o mnie martwi. Nie tylko dlatego, że miesiąc temu zmarła moja siostra Bailey, ani dlatego, że moja matka nie skontaktowała się ze mną od szesnastu lat, ani nawet dlatego, że nagle zaczęłam myśleć tylko o seksie. Martwi się o mnie, bo jedna z jej roślin doniczkowych ma plamy. Gram, moja babcia, przez większość mojego siedemnastoletniego życia wierzyła, że ta konkretna roślina, bliżej nieokreślonego gatunku, jest odbiciem mojego stanu emocjonalnego, duchowego i fizycznego. Ja też w to wierzę.

Po drugiej stronie pokoju widzę Gram - metr osiemdziesiąt w kwiecistej sukni, wystające ponad liśćmi w czarne cętki.

- Jak to, tym razem może nie wyzdrowieć? - pyta o to wujka Biga: dendrologa, miejscowego miłośnika trawki i szalonego naukowca na dokładkę. Big wie to i owo

o wszystkim, ale o roślinach wie wszystko.

Każdemu innemu człowiekowi mogłoby się wydać dziwne, a nawet szurnięte, że zadając to pytanie, Gram patrzy na mnie, ale zupełnie nie dziwi to wujka Biga, bo

i on na mnie patrzy.

- Tym razem jest bardzo chora. - Głos Biga dudni jak ze sceny czy mównicy; jego słowa mają wagę, nawet podaj sól" brzmi w jego ustach jak: Nie będziesz miał bogów cudzych przede mną".

Przejęta Gram unosi ręce do twarzy, a ja wracam do pisania wiersza na marginesie *Wichrowych Wzgórz*. Siedzę

skulona w rogu kanapy. Nie chce mi się gadać, równie dobrze mogłabym trzymać w ustach spinacze do papieru.

- Ale Big, ta roślina zawsze zdrowiała, na przykład wtedy, kiedy Lennie złamała rękę.

- Wtedy na liściach były białe plamy.

- Albo zeszłej jesieni, kiedy miała przesłuchanie na pierwszy klarnet, a znowu wyładowała jako drugi klarnet.

- Brązowe plamy.

- Albo wtedy...

- Tym razem to co innego.

Podnoszę wzrok. Ciągłe gapią się na mnie: wysoki duet smutku i troski.

Gram jest Ogrodowym Guru miasta Clover. Ma najpiękniejszy kwiatowy ogród w północnej Kalifornii. Jej róże buchają kolorami, mają ich więcej niż cały rok zachodów słońca, a ich zapach jest tak odurzający, że - jak głosi miejscowa legenda - wdychając go, można się zakochać w jednej sekundzie. Ale mimo jej starań i słynnej ręki do kwiatów ta roślina odzwierciedla trajektorię mojego życia, niezależnie od wysiłków Gram i swojej własnej roślinnej wrażliwości.

Odkładam książkę i długopis na stół. Gram schyla się nad rośliną, szepcze jej, jak ważna jest *joie de vivre*\*, po czym ciężkim krokiem idzie do kanapy i siada obok mnie.

W końcu dołącza do nas Big, usadzając swoje wielkie ciało obok Gram. I cała nasza trójka - każde z taką samą masą niesfornych włosów, które kłębią się na naszych głowach niczym stado błyszczących kruków - siedzi tak, gapiąc się w przestrzeń przez resztę popołudnia.

Oto my, miesiąc po tym, jak moja siostra Bailey, cierpiąca na arytmie, dostała zapaści podczas próby *Romea i Julii* w miejskim teatrze. Zupełnie jakby ktoś wessał odkurzaczem horyzont, kiedy patrzyliśmy w drugą stronę.

**\* *joie de vivre* (fr.) - radość życia (wszystkie przypisy tłumaczki).**



*Tego ranka, kiedy Bailey umarła,  
obudziła mnie wkładając palec do ucha.  
Nie cierpiałam, kiedy to robiła.  
Potem zaczęła przymierzać bluzki i pytać:  
Która ci się bardziej podoba? Zielona, czy niebieska?  
Niebieska  
Nawet nie spojrzalas, Lennie.  
Okey, zielona. Naprawde mam gdzieś, która włożysz...  
Odwrocilam się na drugi bok i zasnelam z powrotem.  
Później dowiedziałam się,  
Ze włożyła niebieska  
I że były to ostatnie słowa, jakie do niej powiedziałam.*

***(Znalezione na papierku od cukierka, na ścieżce do rzeki Rain)***

Mój pierwszy dzień po powrocie do szkoły wygląda tak, jak się spodziewałam: kiedy wchodzę, korytarz udaje Morze Czerwone, rozmowy cichną, oczy rozplývają się od nerwowego współczucia i wszyscy gapią się na mnie, jakbym trzymała na rękach martwe ciało Bailey -i pewnie je trzymam. Jej śmierć oblepia mnie całą, czuję ją i wszyscy ją widzą; rzuca się w oczy, jakbym opatuliła się wielkim czarnym płaszczem w piękny wiosenny dzień. Jedyne, czego się nie spodziewałam, to bezprecedensowe zamieszanie wokół jakiegoś nowego chłopaka, Joego Fontaine'a, który pojawił się podczas mojej miesięcznej nieobecności. Dokądkolwiek idę, jest tak samo:

- Widziałaś go już?
- Wygląda jak Cygan.
- Jak gwiazda rocka.
- Jak pirat.
- Słyszałam, że jego zespół nazywa się Dive.
- Że jest muzycznym geniuszem.
- Ktoś mi powiedział, że przedtem mieszkał w Paryżu.
- Że grał na ulicach.
- Widziałaś go już?

Widziałam, bo kiedy przychodzę na próbę orkiestry, na krześle, które zajmuję od roku, siedzi on. Chociaż jestem otepiała z rozpaczy, mój wzrok wędruje od czarnych traperek w górę, po kilometrach nóg w dzinsach, po niekończącym się tułowi, i wreszcie zatrzymuje się na



jego twarzy, tak ożywionej, jakbym przerwała mu rozmowę ze stojakiem na nuty.

- Cześć - mówi i zrywa się z krzesła. Jest wysoki jak drzewo. - Ty pewnie jesteś Lennon. - Wskazuje moje imię na krześle. - Słyszałem o... przykro mi. - Zauważam sposób, w jaki trzyma klarnet; nie cacka się z nim, ściska go mocno za szyjkę, jak miecz.

- Dziękuję - mówię i każdy widoczny centymetr jego twarzy zakwita uśmiechem. Zaraz, wróć. Czy ten gość wpadł do naszej szkoły z podmuchem wiatru, przygnany z innego świata? Szczęrzy się jak dynia na Halloween, co absolutnie nie pasuje do smętnych min, które większość z nas próbuje wyćwiczyć do perfekcji. Ma mnóstwo potarganych brązowych loków, które podskakują na wszystkie strony, i rzęsy tak niesamowicie długie i gęste, że kiedy mruga, wygląda to, jakby jego jasnozielone oczy trzepotały skrzydłami. Jego twarz jest bardziej otwarta niż otwarta książka, jest raczej jak ściana graffiti. Zauważam, że piszę łał" palcem na udzie; chyba powinnam otworzyć usta i przerwać te nasze niespodziewane zapasy na spojrzenia. - Wszyscy nazywają mnie Lennie - dodaję. Nie jest to zbyt oryginalne, ale lepsze niż Gaa", które byłoby alternatywą. Tak czy inaczej, działa. On przez sekundę patrzy na swoje buty, a ja biorę wdech i zbieram się do Rundy Drugiej.

- No właśnie, zastanawiałem się nad tym. Lennon po Johnie? - Znów spogląda mi w oczy. Całkiem możliwe, że zemdleję. Albo buchnę płomieniami.

Kiwam głową.

- Moja mama była hippiską. - W końcu to północ północnej Kalifornii, zagłębienie popaprańców. W samej jedenastej klasie mamy niejaką Electricity, chłopaka o imieniu Magie Bus i niezliczone kwiaty: Tulip, Begonię i Poppy\*,

**Elektryczność, Zaczarowany Autobus, Tulipan, Begonia, Mak.**

i wszystko to są imiona nadane przez rodziców i widniejące w akcie urodzenia. Tulip to dwie tony pakera, i pewnie byłby gwiazdą naszej drużyny futbolowej, gdybyśmy byli jedną z tych szkół, które mają drużynę futbolową. Nie jesteśmy. Jesteśmy szkołą, w której zamiast wuefu można wybrać poranną medytację.

- No - mówi Joe. - Moja mama też, i tata, i wszystkie ciotki, wujkowie, bracia, kuzyni... witaj w Komunie Fontaine.

Śmieję się głośno.

- Rozumiem.

Ale znowu, wróć - czy ja powinnam się tak swobodnie śmiać? I czy to powinno być takie przyjemne? Jak wejście do chłodnej rzeki.

Odwracam się, ciekawa, czy ktoś na nas patrzy, i widzę, że do sali muzycznej weszła właśnie Sarah. A raczej wpadła jak bomba. Nie widziałam się z nią od pogrzebu i dopadają mnie wyrzuty sumienia.

- Lennieeeee! - Pędzi w naszą stronę. Gdyby istniało takie zjawisko jak kowbojki gotki, wyglądałyby właśnie tak: obcisła czarna sukienka, zarąbiste kowbojskie buty, jasne włosy ufarbowane na tak czarny odcień, że wydają się granatowe, a na tym wszystkim ogromny stetson.

Zauważam prędkość jej podejścia do lądowania, zastanawiam się przez sekundę, czy skoczy mi w ramiona, a kiedy naprawdę to robi, obie z rozpędu wpadamy na Joego, który jakimś cudem utrzymuje w pionie siebie i nas, dzięki czemu wszyscy troje nie wylatujemy przez okno.

Oto Sara przygaszona.

- Niezłe - szepczę jej do ucha, kiedy ściska mnie jak niedźwiedź, chociaż jest zbudowana jak wróbel. -Świetny sposób, żeby zwalić z nóg boskiego nowego chłopaka. - Wybucho śmiechem. To jednocześnie wspaniałe

i niepokojące uczucie, trzymać w ramionach kogoś, kto trzęsie się ze śmiechu zamiast od rozpaczliwego płaczu.

Sarah to najbardziej entuzjastyczna cyniczka na świecie. Byłaby doskonałą cheerleaderką, gdyby nie brzydziła się pojęciem szkolnego ducha". Jest fanatyczką literatury, jak ja, ale czyta o wiele mroczniejsze rzeczy. W dziesiątej klasie przeczytała Sartre'a - błą - i wtedy zaczęła się ubierać na czarno (nawet na plażę), palić papierosy (choć wygląda jak najzdrowsza laska na planecie) i mieć obsesyjny kryzys egzystencjalny (choć potrafi imprezować do białego rana).

- Lennie, witaj z powrotem, kochana - słyszę inny głos. Pan James (na własny użytek nazywam go Yodą, i przez wygląd zewnętrzny, i przez wewnętrzną muzyczną moc) stoi przy fortepianie i patrzy na mnie z tym samym wyrazem bezdennej smutku, który widuję u dorosłych. -

Wszystkim nam jest potwornie przykro.

- Dziękuję - mówię po raz setny tego dnia. Sarah i *Joe* też na mnie patrzą; Sarah z troską, a Joe z uśmiechem wielkości kontynentalnych Stanów Zjednoczonych. Ciekawe, czy na wszystkich tak patrzy? Jest nienormalny? No cóż, jakkolwiek nazywa się ta choroba, jest zaraźliwa. Bo i ja, nie wiedząc kiedy, uśmiecham się równie szeroko; do jego kontynentalnych Stanów dołącza moje Puerto Rico plus Hawaje. Pewnie wyglądam, jakbym dostała histerii od tej żałoby. Jezu. I to nie wszystko, bo teraz na dodatek zastanawiam się, jakby to było go pocałować, tak naprawdę pocałować - oo. To jest problem, i to całkowicie nowy problem, zupełnie nie w stylu Lennie, który zaczął się (WTF?!) na pogrzebie: tonęłam w ciemności, i nagle wszyscy faceci w kościele zaczęli promieniować światłem. Koledzy Bailey z pracy i z college'u, których większości nie znałam, co chwila podchodzili do mnie i składali kondolencje, i nie wiem, czy to przez to, że wydawałam im

się podobna do Bailey, czy dlatego, że mi współczuli, ale później przyłapywałam niektórych, jak gapili się na mnie takim nerwowym, przenikliwym wzrokiem, i sama się na nich gapiłam, jakbym była kimś innym, i myślałam o rzeczach, które nigdy przedtem nie przychodziły mi do głowy - o rzeczach, o których wstydziałam się myśleć w kościele, a co dopiero na pogrzebie własnej siostry.

Ale ten rozpromieniony chłopak przede mną świeci własnym, niepowtarzalnym światłem. Musi pochodzić z bardzo przyjaznej części Drogi Mlecznej, myślę, próbując przytłumić ten debilny uśmiech na mojej twarzy, ale zamiast tego o mało nie wypalam do Sary: "On wygląda jak Heathcliff", bo właśnie dotarło do mnie, że wygląda, oczywiście nie licząc radosnego wyrazu twarzy... Ale nagle czuję się, jakby ktoś kopniakiem pozbawił mnie tchu i rzucił na twardą, betonową podłogę, która jest teraz moim życiem, bo przypomina mi się, że nie mogę pobiec do domu po szkole i powiedzieć Bails o nowym chłopaku w orkiestrze. Moja siostra umiera wciąż od nowa, przez cały dzień.

- Len? - Sarah dotyka mojego ramienia. - Wszystko okej?

Kiwam głową, próbując siłą woli zatrzymać ten rozpędzony pociąg rozpacz, który mknie prosto na mnie.

Ktoś za nami zaczyna grać *Zbliża się rekin*, kawałek znany również jako temat ze *Szczęk*. Odwracam się i widzę Rachel Brazile płynącą w naszą stronę, słyszę, jak mamrocze: "Bardzo śmieszne", do Luke'a Jacobusa, sak-sofonisty odpowiedzialnego za ten akompaniament. Luke jest jedną z wielu szkolnych ofiar, które Rachel zostawiła za sobą jak przejechane psy - chłopaków ogłupionych przez fakt, że ten koszmarna wyniosłość upchnięta jest w obłądne ciało. Niejeden dał się zwieść tym oczom łani i włosom rozpunka. Sarah i ja wierzymy, że Bóg był w dowcipnym nastroju, kiedy ją stwarzał.

- Widzę, że poznałaś naszego Maestro - mówi do mnie; od niechcienia dotyka pleców Joego, kiedy siada na swoim krześle. Krzesło pierwszego klarnetu, w którym powinnam siedzieć ja.

Otwiera futerał, zaczyna składać instrument.

- Joe uczył się w konserwatorium we Francji. Mówił ci? - Oczywiście nie mówi Francja, do rymu z elegancją, jak każda normalna istota ludzka mówiąca po amerykańsku. Czuję, jak Sarah jeży się obok mnie. Ma na nią zerową tolerancję od czasu, kiedy Rachel dostała pierwszy klarnet zamiast mnie. Ale Sarah nie wie, co się naprawdę stało. Nikt nie wie. Rachel zaciska ligaturkę na ustniku, jakby próbowała udusić swój klarnet.

- Joe był bajecznym drugim klarnetem, kiedy ciebie nie było - mówi, rozciągając słowo bajecznym" jak stąd do wieży Eiffla.

Nie bucham na nią ogniem z ust, nie mówię: Cieszę się, że wszystko poszło po twojej myśli, Rachel". Nie odzywam się słowem. Mam tylko ochotę zwinąć się w kulkę i odturlać jak najdalej. Za to Sarah ma taką minę, jakby żałowała, że nie ma gdzieś pod ręką topora bojowego.

Sala wypełnia się hałasem przypadkowych nut i gam.

- Kończcie strojenie. Chcę dzisiaj zacząć równo z dzwonkiem! - woła pan James od fortepianu. - I wyciągnijcie ołówki, wprowadziłem parę zmian w aranżacji.

- Idę w coś walnąć - rzuca Sarah, posyłając Rachel zdegustowane spojrzenie, po czym idzie walić w swoje kotły.

Rachel wzrusza ramionami, uśmiecha się do Joego -nie, nie uśmiecha - migocze; o rany.

- Ale to prawda - mówi do niego. - Byłeś... to znaczy jesteś, bajeczny.

- A skąd. - Joe pochyla się, żeby spakować swój klarnet. - Ja tylko grzałem krzesło. Teraz mogę wrócić tam, gdzie moje miejsce. - Wskazuje klarnetem sekcję blach.

- Po prostu jesteś skromny - mówi Rachel, przerzucając swoje bajkowe loki przez oparcie krzesła. - Twoja muzyczna paleta ma tyle barw. Spoglądam na Joego, spodziewając się dostrzec jakąś oznakę wewnętrznego jęku na te idiotyczne słowa, ale zamiast tego widzę oznakę zupełnie czegoś innego. Do Rachel też uśmiecha się jak przez całą Amerykę. Czuję, że zaczyna mi płonąć szyja.

- Będę za tobą tęskniła - zapewnia Rachel, odymając usta.

- Jeszcze się spotkamy - odpowiada Joe, dodając do swojego repertuaru trzepotanie rzęsami. - Na następnej lekcji. Mamy historię.

Ja już zupełnie zniknęłam, i w sumie bardzo dobrze, bo nagle nie mam pojęcia, co zrobić ze swoją twarzą, ciałem czy roztrzaskanym sercem.

Siadam na swoim krześle i stwierdzam, że ten trzepoczący rzęsami przygłup z Fracji zupełnie nie przypomina Heathcliffa. Pomyłka.

Otwieram futerał z klarnetem, wkładam stroik do ust, żeby go zwilżyć, i przegryzam go na pół.

*O 4.48 w piątek, w kwietniu, moja siostra ćwiczyła rolę Julii, a niecała  
minute później już nie była.  
K mojemu. zdumieniu czas nie zatrzymał się razem z jej sercem.  
Ludzie chodzili do szkoły, do pracy, do restauracji; kruszyli krakersy do  
zapij z muli,  
bali się egzaminów,  
śpiewali w samochodach przy zamkniętych oknach.  
Przez wiele dni deszcz walił pięściami.  
w dach naszego domu -  
na dowód straszliwej pomyłki  
jaka popełnił Bóg.  
Każdego ranka po przebudzeniu.  
słuchałam niezmordowanego łomotu..  
wyglądałam przez okno na szary świat  
i czułam ulgę.  
ze chociaż słońce miało dość przyzwoitości, żeby się od nas odpieprzyć.*

*(Znalezione na kawałku papieru nutowego nadzianego na niską gałąź w  
Wąwozie Samobójcy).*





Reszta dnia zlewa się w niewyraźną plamę; przed ostatnim dzwonkiem wymykam się do lasu. Nie chcę wracać do domu drogą, nie chcę ryzykować, że spotkam kogoś ze szkoły, a zwłaszcza Sarę, która oznajmiła mi, że kiedy ja się ukrywałam, ona czytała na temat żałoby i według wszystkich ekspertów jest już pora, żebym zaczęła mówić o tym, co przeżywam - ale ani ona, ani eksperci, ani nawet Gram nie rozumieją. Ja nie mogę mówić. Potrzebowałabym nowego alfabetu, składającego się z upadku, z przesunięć płyt tektonicznych, z głębokiej, pożerającej wszystko ciemności.

Kiedy idę wśród sekwoi w adidasach wchłaniających całe dni deszczu, zastanawiam się, dlaczego ludzie, którzy kogoś stracili, w ogóle przejmują się żałobnymi ciuchami, kiedy sam smutek zapewnia tak widoczną dla wszystkich garderobę. Jediną osobą, która jej na mnie nie zauważyła -poza Rachel, która się nie liczy - był ten nowy. On zawsze będzie znał tylko tę nową, bezsiostrzaną mnie.

Dostrzegam na ziemi skrawek papieru, wystarczająco suchy, żeby na nim pisać, więc siadam na kamieniu, wydaję długopis, który ostatnio zawsze noszę w tylnej kieszeni, i zapisuję zapamiętaną rozmowę z Bailey.

Zakopuję paperek w wilgotnej ziemi.

Kiedy wychodzę z lasu na drogę do naszego domu, czuję przypływ ulgi. Chcę być w domu, gdzie Bailey jest najbardziej żywa, gdzie wciąż widzę ją wychylającą się

z okna, z dzikimi włosami fruującymi na wietrze wokół twarzy, kiedy mówi: Chodź, Len, idziemy nad rzekę, szybko".

- Hej. - Głos Toby'ego wrywa mnie z zamyślenia. To chłopak Bailey od dwóch lat, w połowie kowboj, w połowie skejt, na śmierć zakochany w mojej siostrze i ostatnio totalnie nieobecny w naszym życiu, mimo licznych zaproszeń Gram, która powtarza ciągle: Naprawdę musimy teraz wyciągnąć do niego rękę".

Toby leży na plecach w ogrodzie Gram, z dwoma rudymi psami sąsiadów, Lucy i Ethel, które śpią obok niego. To częsty obrazek wiosną. Kiedy kwitnie bieluń i bez, ogród działa nasennie. Kilka chwil wśród kwiatów, i nawet najbardziej energetyczny osobnik zalegnie na plecach i zacznie liczyć chmury.

- Ehm, pielilem chwasty dla Gram - mówi, wyraźnie zażenowany swoją wyluzowaną pozą.

- Taak, zdarza się najlepszym. - Toby, z jasną grzywą surfera i szeroką twarzą usianą słonecznymi piegami, wygląda, jakby był bliskim kuzynem Iwa. Kiedy Bailey zobaczyła go po raz pierwszy, obie czytałyśmy na drodze (cała nasza rodzina czyta na drodze; nieliczni ludzie mieszkający na naszej ulicy wiedzą o tym i podjeżdżają samochodami pod domy w żółtym tempie, na wypadek gdyby któreś z nas lazło akurat środkiem, wyjątkowo pochłonięte lekturą). Ja czytałam *Wichrowe Wzgórze*, jak zwykle, a ona *Przepiórki w płatkach róży*, swoją ulubioną książkę, kiedy wspaniały kasztanowy koń przetruchtał obok nas, kierując się w stronę leśnej ścieżki. Ładny koń, pomyślałam i wróciłam do Cathy i Heathcliffa. Uniosłam głowę dopiero parę sekund później, kiedy usłyszałam łupnięcie książki Bailey o ziemię.

Nie była już obok mnie; zatrzymała się kilka kroków z tyłu.

- Co ci się stało? - spytałam, przyglądając się mojej nagle odmóždzonej siostrze.

- Widziałaś tego gościa, Len?

- Jakiego gościa?

- Boże, tobie się coś stało. Tego boskiego gościa na tym koniu. Wyglądał, jakby wyskoczył z mojej powieści. Nie wierzę, że go nie widziałaś. -

Wiecznie irytował ją mój brak zainteresowania chłopakami, tak jak mnie wiecznie irytował jego nadmiar u niej. - Odwrócił się, kiedy nas mijał, i uśmiechnął się prosto do mnie... Był taki przystojny, zupełnie jak Rewolucjonista z tej książki. - Schyliła się, żeby ją podnieść, i otrzepała okładkę. - No wiesz, ten, który porywa Gertrudis na konia i wykrada ją w przypiływie namiętności...

- Niech ci będzie, Bailey. - Odwróciłam się, zajęłam czytaniem i jakoś dotarłam na werandę, gdzie klapnęłam na krzesło i natychmiast zatonełam w porywającej namiętności parki na angielskich wrzosowiskach. Wolałam miłość bezpiecznie upchniętą między okładki książki, a nie tę szalejącą w sercu mojej siostry, bo przez tę drugą Bailey potrafiła ignorować mnie przez całe miesiące. Ale od czasu do czasu zerkałam na nią, upozowaną na głazie przy wylocie ścieżki po drugiej stronie drogi, tak ewidentnie udającą, że czyta, że zaczynałam wątpić w jej talent aktorski. Sterczała tam całymi godzinami, czekając na powrót swojego Rewolucjonisty, który w końcu powrócił, tyle że z innej strony, i gdzieś po drodze zamienił konia na deskorolkę. Okazało się, że jednak nie wyskoczył z jej powieści, ale z Clover High jak my wszyscy, tyle że trzymał się z towarzystwem z rancza i ze skejtami, a że Bailey była diwą wyłącznie teatralną, ich ścieżki nigdy się nie skrzyżowały aż do tamtego dnia. Ale w tym momencie nie miało już znaczenia, skąd się wziął i na czym przyjechał, bo obraz Rewolucjonisty galopującego na koniu wypalił się

na trwałe w jej psychice i odebrał jej wszelką zdolność racjonalnego myślenia.

Ja nigdy nie byłam członkinią fanklubu Toby'ego Shawa. Ani jego kowbojskie wcielenie, ani fakt, że potrafił zrobić ollie 180, grindując po railu, nie wynagradzał tego, że zmienił Bailey w regularnego, zakochanego oszołoma.

A do tego zawsze miałam wrażenie, że jestem dla niego równie interesująca jak pieczony ziemniak.

- Wszystko w porządku, Len? - pyta Toby ze swojej naziemnej pozycji, ściągając mnie z powrotem do rzeczywistości.

Z jakiegoś powodu mówię mu prawdę. Kręcę głową, z prawa na lewo, z lewa na prawo, od niedowierzania do rozpaczki i z powrotem.

Siada.

- Wiem - mówi i po wyrazie jego twarzy rozbitka porzuconego na bezludnej wyspie widzę, że naprawdę wie. Chcę mu podziękować, że zrozumiał, chociaż nie powiedziałam słowa, ale po prostu milczę dalej, a słońce leje upał i ciepło, jak z dzbana, na nasze oszupiałe głowy.

Toby klepie dłonią trawę obok siebie, żebym się dosiadła. Nawet mam ochotę, ale się waham. Nigdy przedtem nie spędzaliśmy razem czasu bez Bailey.

Wskazuję dom.

- Muszę iść na górę.

To jest prawda. Chcę być z powrotem w Świątyni (pełna nazwa: Świątynia Wyznawców Dyni), jak ochrzciłam nasz pokój, kiedy parę miesięcy temu Bailey przekonała mnie, że ściany naszej sypialni po prostu muszą być pomarańczowe - w kolorze żarówiastego, bezlitosnego oranżu, który aż prosi się o okulary przeciwsłoneczne. Wychodząc dziś rano do szkoły, zamknęłam drzwi, celowo, mając nadzieję, że zabarykaduję pokój przed Gram i jej tekturo-

wymi pudłami. Chcę, żeby Świątynia pozostała taka, jaka jest, to znaczy bez żadnych zmian. Według Gram oznacza to, że spadłam z drzewa i ganiem po parku", czyli - tłumacząc na ludzki język - że jestem psychiczna.

- Skarbie. - Wyszła na werandę w liliowej sukni w stokrotki. W dłoni trzyma pędzel; widzę ją z pędzlem po raz pierwszy od śmierci Bailey. - Jak tam twój pierwszy dzień w szkole?

Podchodzę do niej i wdycham znajomy zapach: paczuli, farby, ogrodowej ziemi.

- Było okej - mruczę.

Przygląda się uważnie mojej twarzy, jakby zamierzała ją rysować.

Milczenie tyka między nami, jak to się ostatnio często zdarza. Czuję jej frustrację; wiem, że chciałaby potrząsnąć mną jak książką w nadziei, że słowa po prostu z niej wypadną.

- W orkiestrze jest nowy chłopak - rzucam na odczepne.

- Tak? A na czym gra?

- Wygląda na to, że na wszystkim. - Zanim w przerwie na lunch uciekłam do lasu, widziałam go, jak szedł przez dziedziniec z Rachel i z gitarą w ręce.

- Lennie, tak sobie myślałam... może dobrze by ci teraz zrobiło, dało jakąś pociechę... - Oo. Wiem, dokąd to zmierza. - Chodzi o to, że kiedy uczyła cię Marguerite, nie mogłam ci wydrzeć tego twojego klarnetu z rąk...

- Wszystko się zmienia - przerywam jej. Nie mam siły na tę rozmowę. Nie znowu. Próbuję ją ominąć, żeby wejść do środka. Chcę już być w szafie Bailey, wciśnięta w jej sukienki, w resztki zapachów ognisk nad rzeką, kokosowego mleczka do opalania, różanych perfum: jej.

- Słuchaj - mówi cicho Gram, wyciągając wolną rękę, żeby poprawić mi kołnierzyk. - Zaprosiłam Toby'ego na kolację. On trochę spadł z drzewa. Idź mu dotrzyмай towarzystwa, pomóż mu pielic czy coś.

Dociera do mnie, że jemu pewnie powiedziała coś podobnego na mój temat, żeby wreszcie go tu ściągnąć. Uch.

I nagle, bez żadnych ceregieli, robi mi na nosie packę swoim pędzlem.

- Gram! - wykrzykuję, ale widzę już tylko jej plecy, kiedy idzie w głąb domu. Próbuję dłonią zetrzeć zieleń z nosa. Obie z Bailey spędziłyśmy tak sporą część życia, atakowane z nienacka przez bezczelny zielony pędzel Gram. I zawsze wyłącznie zielony. Obrazy Gram zasłaniają wszystkie ściany domu, od podłogi do sufitu, zawalają miejsce za kanapami, fotelami, pod stołami, w szafach, i każdy z nich, co do jednego, jest świadectwem jej wiecznie żywej miłości do zieleni. Ma wszystkie odcienie, od limonki do jodły, i używa ich do malowania głównie jednego motywu: zwiewnych kobiet, które wyglądają jak na wpół syreny, na wpół Marsjanki. To moje damy - mawiała do Bails i do mnie. - W połowie drogi między tu i tam".

Zgodnie z jej poleceniem rzucam torbę i futerał z klarnetem i siadam na trawie obok wyciągniętego na wznak Toby'ego i dwóch śpiących psów, żeby pomóc mu pielic".

- Znak plemienny - mówię, wskazując swój nos.

Kiwa głową bez zainteresowania, pogrążony w kwiatowej śpiączce.

Jestem pieczonym ziemniakiem z zielonym nosem. Super.

Zmieniam się w żółwia, podciągając kolana do tułowia i opierając na nich głowę. Przenoszę wzrok z wisterii spływającej kaskadą z kratownicy na kilka grupek żonkili, plotkujących na wietrze o wiośnie, która, nie da się zaprzeczyć, zrzuciła dziś płaszcz przeciwdeszczowy i płąsa radośnie dookoła; mdli mnie od tego, jakby świat już zapomniał, co nas spotkało.

- Nie spakuję jej rzeczy do pudeł - odzywam się bez zastanowienia. -

Nigdy.

Toby przekręca się na bok, osłania twarz dłonią przed słońcem, żeby mnie zobaczyć, i ku mojemu zaskoczeniu mówi:

- Oczywiście, że nie.

Kiwam głową, on odpowiada tym samym; kładę się na trawie i krzyżuję przedramiona na twarzy, żeby nie widział, że lekko się uśmiecham.

W następnej chwili słońce chowa się za górą, a ta góra to sterczący nad nami wujek Big. Widocznie przysnęliśmy na chwilę.

- Czuję się jak dobra czarownica Glinda patrząca na Dorotkę, Stracha na Wróble i dwa Toto na makowym polu pod Oz - mówi Big. - Kilka narkotycznych wiosennych kwiatków nie może wygrać z potężnym głosem Biga. - Jeśli się nie obudzicie, będę musiał sprowadzić śniegowe chmury. - Szczerzę się sennie w stronę jego ogromnych wąsów, przylepionych nad wargą niczym Manifest Dziwactwa. Big trzyma w ręce czerwoną turystyczną lodówkę, jakby to była aktówka.

- Jak tam dystrybucja? - pytam, pukając w lodówkę stopą. Cierpimy na katastrofalny nadmiar szynki. Po pogrzebie całe Clover wydawało się kierować jakąś odgórną dyrektywą, że każdy musi do nas wpaść z szynką. Szynki były wszędzie: wypełniały lodówkę, zamrażarkę, leżały na blatach, na kuchence, zapychały zlew, zimny piekarnik. Wujek Big otwierał drzwi, kiedy ludzie wpadali, żeby złożyć kondolencje. Gram i ja co chwila słyszałyśmy jego grzmiący głos: Och, szynka, jak miło, dziękuję, wejdźcie". Przez kolejne dni reakcje Biga stawały się coraz bardziej ekspresyjne, na nasz użytek: Szynka!" - Gram i ja spoglądałyśmy sobie w oczy i musiałyśmy tłumić napady niestosownego chichotu. Teraz Big podjął się misji: dba o to, żeby każdy w promieniu trzydziestu kilometrów dostał codziennie kanapkę z szynką.

Stawia lodówkę na ziemi i wyciąga rękę, żeby pomóc mi wstać.

- Całkiem możliwe, że za parę dni szynka zniknie z naszego domu.

Kiedy już stoję, Big całuje mnie w głowę, a potem wyciąga rękę do Toby'ego. Gdy Toby jest na nogach, Big bierze go w objęcia i widzę, jak Toby, który sam jest wielkim facetem, znika w ramionach góry.

- Jak się trzymasz, kowboju?

- Nie najlepiej - przyznaje Toby.

Big wypuszcza go i trzymając jedną dłoń na jego ramieniu, kładzie drugą na moim. Spogląda na Toby'ego, potem na mnie.

- Nie da się tego ominąć, trzeba przez to przejść... Wszyscy musimy. -

Stwierdza to tonem Mojżesza, więc oboje kiwamy głowami, jakby

splynęły na nas słowa wielkiej mądrości. - Chodź, poszukamy ci terpentyny. -Puszcza do mnie oczko. Big jest mistrzem puszczenia oczek.

Na dowód ma pięć małżeństw na koncie. Kiedy opuściła go jego

ukochana piąta żona, Gram nalegała, żeby wprowadził się do nas.

Mówiła: Twój biedny wujek zagłodzi się na śmierć, jeśli dłużej będzie tak usychał z miłości. Złamane serce zatruwa potrawą".

Okazało się to prawdą - tyle że w odniesieniu do Gram. Wszystko, co teraz gotuje, smakuje jak popiół.

Toby i ja wchodzimy za Bigiem do domu, gdzie wujek zatrzymuje się przed podobizną swojej siostry, mojej nieobecnej matki: Paige Walker.

Zanim odeszła szesnaście lat temu, Gram malowała jej portret; nigdy go

nie dokończyła, ale i tak powiesiła na ścianie. No i wisi nad kominkiem w

salonie: półmatka z długimi zielonymi włosami, rozlewającymi się jak

woda wokół niekompletnej twarzy.

Gram zawsze nam powtarzała, że nasza mama wróci. Zjawia się",

mawiała, jakby mama wyskoczyła do skle-



pu po jajka albo poszła popływać w rzece. Powtarzała to tak często i z taką pewnością, że bardzo długo, zanim złączyliśmy, nie kwestionowaliśmy tego i spędzaliśmy mnóstwo czasu na czekaniu, aż zadzwoni telefon albo dzwonek przy drzwiach, aż przyjdzie list.

Delikatnie klepię Biga, który gapi się na *Pótmatkę*, jakby prowadził z nią milczącą, płaczącą rozmowę. Big wzdycha, obejmuje jednym ramieniem mnie, drugim Toby'ego, i wszyscy wleczeni się do kuchni jak trójgłowy, sześciopodłogi, dziesięciotonowy wór smutku.

Kolacja - żadna niespodzianka - składa się z szynki i zapiekanki z popiołu, którą ledwie tykamy.

Potem Toby i ja rozbijamy obóz na podłodze salonu. Słuchamy muzyki Bailey, oglądamy niezliczone albumy ze zdjęciami i dosłownie rozdieramy sobie serca na strzępki.

Ciągle na niego zerkam. Niemal widzę Bails płaszącą wokół niego, podchodzącą od tyłu i zarzucającą mu ręce na szyję, jak to zawsze robiła. Mówiła mu potwornie żenujące rzeczy do ucha, a on droczył się z nią, odpowiadając tym samym. Oboje zachowywali się, jakby mnie nie było w pokoju.

- Czuję Bailey - odzywam się w końcu, kiedy jej obecność zaczyna mnie przygniatać. - W tym pokoju, z nami.

Toby, zaskoczony, podnosi głowę znad albumu leżącego na jego kolanach.

- Ja też. Myślałem o tym przez cały czas.

- To takie miłe - mówię i ulga wylewa się ze mnie z tymi słowami.

Toby uśmiecha się, mrużąc oczy, jakby słońce świeciło mu w twarz.

- To prawda, Len. - Pamiętam, jak Bailey mówiła mi kiedyś, że Toby niewiele mówi do ludzi, ale potrafi uspokoić przestraszone konie na ranczu kilkoma słowami.

Jak święty Franciszek", powiedziałam jej wtedy, i teraz

też w to wierzę; jego ciche, powolne słowa są kojące, jak fale obmywające brzeg nocą.

Wracam do zdjęć Bailey w roli Wendy w przedstawieniu *Piotrusia Pana* w miejscowej podstawówce. Żadne z nas nie wspomina o tym więcej, ale pocieszające uczucie, że Bailey jest tak blisko, nie opuszcza mnie przez resztę wieczoru.

Później Toby i ja stoimy w ogrodzie - żegnamy się. Zalewa nas oszłamiający, pijany aromat róż.

- Świetnie było z tobą posiedzieć, Lennie, poczułem się lepiej.

- Ja też - mówię, zrywając płatek lawendy. - O wiele lepiej, naprawdę. - Szepczę w krzak róży; nie jestem pewna, czy chcę, żeby w ogóle to usłyszał, ale kiedy znów zerkam na jego twarz, jest łagodna, jego lwie rysy mniej przypominają lwa, bardziej lwiątko.

- Tak - dodaje, patrząc na mnie. Jego ciemne oczy są jednocześnie błyszczące i smutne. Unosi rękę i przez sekundę myślę, że dotknie mojej twarzy, ale on tylko przeczesuje palcami słoneczne promienie na swojej głowie.

W zwolnionym tempie pokonujemy odległość, która dzieli nas od drogi. Kiedy już tam jesteśmy, Lucy i Ethel pojawiają się znikąd i zaczynają włączyć na Toby'ego, który pada na kolana, żeby się z nimi pożegnać. W jednej dłoni trzyma deskorolkę, drugą czochra i głaszcze psy, szepcząc niezrozumiałe słowa w ich sierść.

- Ty naprawdę jesteś świętym Franciszkiem, co? - Mam słabość do świętych, ale za cuda, nie za umartwianie się.

- Już to słyszałem. - Delikatny uśmiech błądzi po jego twarzy i ląduje w oczach. - Głównie od twojej siostry. -Przez ułamek sekundy chcę mu powiedzieć, że to ja to wymyśliłam, nie Bailey.

Kończy się żegnać, wstaje, po czym rzuca deskorolkę na ziemię i przytrzymuje ją stopą. Nie wskakuje na nią. Mija kilka lat.

- Powinienem jechać - mówi i nie jedzie.

- Tak - mówię ja. Kolejne lata mijają.

Zanim wreszcie znika ze swoją deskorolką, ściska mnie na pożegnanie, i obejmujemy się tak mocno pod smutnym bezgwiezdnym niebem, że przez chwilę czuję, jakby nasze złamane serca były jednym, nie dwoma.

Ale potem, nagle, czuję coś twardego na biodrze - jego. Jasna cholera!

Odsuwam się szybko, żegnam i biegiem uciekam do domu.

Nie wiem, czy wie, że go poczułam.

Nic już nie wiem.

*Ktos z klasy teatralnej Bailey*

*Krzyknal BRAWO na koncu mszy*

*i wszyscy zerwali sie na nogi*

*i zaczęli klaskac.*

*Pamietam, jak myslalam, ze dach sie zawali*

*od grzmotu naszych dloni*

*i ze zaloba, to kosciol pelen glodnego, desperackiego swiata*

*oklaskiwalismy dziewietnascie lat swiata, w ktorym byla Bailey*

*nie przestlismy klaskac, kiedy zaszlo slonce, wszedl ksiezyc*

*kiedy ludzie jak rzeka wlewali sie do naszego domu*

*przynoszac jedzenie i nerwowy smutek*

*nie przestalismy klaskac do switu kiedy zamknelismy drzwi za Tobym*

*ktory poszedl w swoja smutna droge do domu*

*wiem, ze musielismy ruszyc z tego miejsca*

*musielismy sie myc i spac i jesc, ale w moje glowie Gram. Wujek Big i ja*

*stalismy tak cale tygodnie gapiac sie na zamkniete drzwi*

*a miedzy naszymi dlonmi bylo tylko powietrze.*

*(Znalezione na kartce z notesu, niesionej z wiatrem po Main Street)*



Oto, co się dzieje, kiedy Joe Fontaine gra debiutancką solówkę na trąbce na próbie orkiestry: ja mdleję pierwsza, lecę na Rachel, która wpada na Cassidy Rosenthal, która przewraca się na Zachary'ego Quittnera, który osuwa się na Sarę, która zatacza się na Luke'a Jacobusa - aż wszyscy członkowie orkiestry leżą osłupiali na podłodze. Potem dach odfruwa, ściany się zawalają, a kiedy spoglądam na zewnątrz, widzę, że pobliski zagajnik sekwojowy wyrwał się z korzeniami i idzie przez dziedziniec w stronę naszej sali - banda gigantycznych drewnianych ludzi, klaszczących gałęziami. W końcu rzeka Rain wystąpiła z brzegów i zmienia bieg na prawo i na lewo, aż znajduje drogę do sali muzycznej liceum Clover High, i zmywa nas wszystkich - Joe jest taki dobry.

Kiedy reszta z nas, zwykłych muzycznych śmiertelników, otrząsa się z szoku i jest w stanie grać, kończymy utwór, ale kiedy po próbie odkładamy instrumenty, w sali panuje cisza jak w pustym kościele. W końcu pan James, który gapi się na Joego, jakby ten zmienił się w strusia, odzyskuje głos i mówi:

- Proszę, proszę. Jakwy to mówicie, porażka.-Wszyscy się śmieją. Odwracam się, żeby sprawdzić, co sądzi o tym Sarah. Ledwie widzę jedno oko pod wielką rastafariańską czapkę. Bezgłośnie mówi: "Niewiarykurnagodne". Spoglądam na Joego. Wyciera swoją trąbkę, zaczerwieniony od tej naszej reakcji, czy od gry - nie wiem. Unosi

wzrok, chwyta moje spojrzenie i marszczy wyczekująco brwi, niemal jakby ta burza, która przed chwilą wyrwała się z jego trąbki, była przeznaczona dla mnie. Ale dlaczego miałyby być dla mnie? I dlaczego ciągle przyłapuję go na obserwowaniu, jak gram? To nie jest zainteresowanie, znaczy nie ten rodzaj zainteresowania, to jest jasne. Obserwuje mnie klinicznie, uważnie, tak jak robiła to Marguerite podczas lekcji, kiedy próbowała zrozumieć, co, na litość boską, robię nie tak.

- Nawet o tym nie myśl - mówi Rachel, kiedy odwracam się z powrotem.

- Ten trębacz jest już zajęty. A poza tym nie dorastasz do jego ligi, Lennie. Kiedy ostatnio miałaś chłopaka? Och, no tak, nigdy.

Myślę, czy nie podpalić jej włosów.

Myślę o średniowiecznych torturach, w szczególności o łamaniu kołem.

Myślę, czy nie powiedzieć jej, co naprawdę stało się na przesłuchaniach ostatniej jesieni.

Ale zamiast tego ignoruję ją, jak robiłam to przez cały rok, wycieram klarnet i myślę, że naprawdę wolałabym być zajęta Joem Fontaine'em, a nie tym, co zaszło między mną i Tobym - za każdym razem, kiedy przypominam sobie jego erekcję, którą czułam na biodrze, po moim ciele przebiega dreszcz - i z całą pewnością nie jest to właściwa reakcja na wzwód u chłopaka siostry! A najgorsze jest to, że w myślach nie odsuwam się od niego, tak jak to robiłam, ale zostaję w jego ramionach pod nieruchomym niebem, i ten obrazek sprawia, że czerwienię się ze wstydu.

Zatrząskuję futerał z klarnetem, żałując, że nie mogę zamknąć w futerale myśli o Tobym. Rozglądam się po sali - inni trębacze zgromadzili się wokół Joego, jakby jego magia była zaraźliwa. Ja nie zamieniłam z nim ani słowa od dnia, kiedy wróciłam do szkoły. Szczerze mówiąc, nie zamieniłam słowa prawie z nikim. Nawet z Sarą.

Pan James klaszcze, żeby odzyskać uwagę klasy. Swoim entuzjastycznym, trzeszczącym głosem zaczyna mówić o letnich próbach orkiestry, bo szkoła kończy się za niecały tydzień.

- Dla tych, którzy nie wyjeżdżają - zaczynamy próby w lipcu. Ci, którzy się zjawiają, zdecydują, co będziemy grać. Chodzi mi po głowie jazz - pstryka palcami jak tancerz flamenco - może jakiś gorący hiszpański jazz, ale jestem otwarty na propozycje.

Unosi ręce jak ksiądz przed swoją trzódką.

- Złapcie rytm i nie puszczajcie, przyjaciele. - Kończy w ten sposób wszystkie zajęcia. Ale po chwili znów klaszcze. - A, byłbym zapomniał, ręka w górę, kto planuje w przyszłym roku wziąć udział w przesłuchaniach do Orkiestry Stanowej. - O nie. Upuszczam ołówek i schylam się po niego, żeby uniknąć zderzenia spojrzeń z panem Jamesem. Kiedy wyłaniam się spod pulpitu po starannych oględzinach podłogi, telefon zaczyna mi wibrować w kieszeni. Odwracam się do Sary, której jedyne widoczne oko o mało nie wyłazi z oczodołu. Ukradkiem wyciągam komórkę i czytam SMS: Nie podniosłaś ręki??? Przez to solo zaczęłam myśleć o tobie - o tamtym dniu! Wpadniesz wieczorem???" Odwracam się i mówię bezgłośnie: Nie mogę.

Bierze jedną z pałek i wykonuje dramatyczną pantomimę, udając, że wbija sobie patyk w brzuch. Wiem, że za tym harakiri kryje się narastająca uraza, ale nie wiem, co z tym zrobić. Po raz pierwszy w naszym życiu jestem gdzieś, gdzie nie może mnie znaleźć, i nie mam mapy, żeby pokazać jej drogę do siebie.

Szybko zbieram swoje rzeczy, żeby jej uciec, co jest całkiem łatwe, bo osaczył ją Lukę Jacobus. Kiedy tak zwiewam, dopadają mnie wspomnienia dnia, o którym napisała. To był początek pierwszej klasy liceum i obie



dostałyśmy się do szkolnej orkiestry. Pan James, jakoś szczególnie sfrustrowany nami wszystkimi, wskoczył na krzesło i krzyknął:

- Co się z wami dzieje, ludzie?! Wy się uważacie za muzyków? Musicie wystawić tyłki na wiatr! - Potem powiedział: - Chodźcie za mną. Ci, którzy mogą, niech zabiorą instrumenty.

Wyszliśmy z sali i gęsiego ruszyliśmy ścieżką do lasu, do miejsca, gdzie ryczała pędząca rzeka. Stanęliśmy wszyscy nad brzegiem, a on wlaź na kamień, żeby do nas przemówić:

- Teraz słuchajcie, ucicie się i grajcie, po prostu grajcie. Róbcie hałas. Róbcie cokolwiek. Róbcie muuzykę. -A potem zaczął dyrygować rzeką, wiatrem, ptakami na drzewach, jak kompletny czub. Kiedy już przestaliśmy się histerycznie śmiać i ucichliśmy, ci spośród nas, którzy mieli instrumenty, zaczęli grać, jeden po drugim. Co niewiarygodne, ja zaczęłam jako jedna z pierwszych. Po chwili rzeka i wiatr, ptaki i klarnety, flety i oboje zmiksowały się ze sobą we wspaniałą kakofoniczną bałagan, a pan James odwrócił się od lasu z powrotem do nas, i balansując całym ciałem, wymachując rękami na prawo i lewo, oznajmił: - To jest to, to jest to. To jest to!

Ibyło.

Kiedy wróciliśmy do sali, pan James podszedł do mnie i wręczył mi wizytówkę Marguerite St Denis.

- Zadzwoń do niej - powiedział. - Natychmiast. Myślę o dzisiejszym wirtuozerskim występie Joego, czuję go w palcach. Zaciskam je w pięści. Cokolwiek to było, cokolwiek mieliśmy znaleźć w lesie tego dnia z panem Jamesem, czy było to zatracenie, czy pasja, czy nowatorskie podejście, czy po prostu odwaga, Joe to ma.

Jego tyłek unosi wiatr. Mój siedzi na krześle w drugim rzędzie.



*Lennia?*

*Tak?*

*Spisz?*

*Nie*

*Zrobilismy to.*

*Co zrobiliscie?*

*Toby i ja zrobilismy to, kochalismy sie wczoraj.*

*Myslalam, ze robiliscie to juz z 10 000 razy.*

*Nie*

*No i...*

*Bylo niesamowicie.*

*W takim razie gratulacje.*

*Rany, dlaczego nie mozesz sie cieszyc, ze jestem szczesliwa z Tobym?*

*Nie wiem.*

*O co chodzi, jestes zazdrosna?*

*Nie wiem... przykro mi.*

*Spoko. Niewazne, idz spac.*

*Porozmawiajmy o tym, jeśli chcesz.*

*Juz nie chce.*

*Dobra.*

*Dobra.*

(Znalezione na kubku po kawie na wynos, nad rzeka Rain)

Wiem, że to on, a wolałabym nie wiedzieć. Wolałabym pomyśleć o kimkolwiek innym na świecie, tylko nie o Tobym, kiedy słyszę brzdęknięcie kamyka o szybę. Siedzę w szafie Bailey i piszę wiersz na ścianie, próbując opanować panikę, która miota się w moim ciele jak uwięziona kometa.

Zdejmuję koszulkę Bailey, którą włożyłam na swoją, chwytam za kłamekę i podciągam się, żeby wyleźć z powrotem do Świątyni. Kiedy idę do okna, moje bose stopy wciskają się w trzy udeptane niebieskie dywaniki - kawałki jasnego nieba, które Bailey i ja ubiliśmy na płasko przez całe lata morderczych tanecznych zawodów: która pierwsza rozśmieszy drugą, sama zachowując powagę. Ja zawsze przegrywałam, bo Bailey miała w swoim arsenale Szczurzy Ryj, który w komplecie z mistrzowskim Małpim Densem był po prostu zabójczy. Kiedy uruchamiała ten zestaw (co wymagało o wiele więcej dystansu do siebie, niż ja kiedykolwiek miałam), było po mnie; za każdym razem zmieniałam się w drgający ze śmiechu kłębek hysterii na podłodze.

Przechyliłam się przez parapet i widzę Toby'ego, tak jak się spodziewałam, pod prawie pełnym księżycem. Nie udało mi się zdusić tego buntu w moim wnętrzu. Biorę głęboki oddech, schodzę na dół i otwieram drzwi. - Hej, co tam? - mówię. - Wszyscy już śpią. - Mój głos brzmi zgrzytliwie, jak nieużywany. Jakby z ust miały mi

wyfrunąć nietoperze. Przyglądam mu się w świetle lampy na werandzie. Ma twarz oszalałą z rozpaczy. Jakbym patrzyła w lustro.

- Pomyślałem, że może moglibyśmy pobyć razem -mówi. A ja słyszę w myślach: stójka, stójka, erekcja, wzwód, stercząca pała, stójka, stójka, stójka. - Muszę ci coś powiedzieć, Len, nie mam nikogo innego, z kim mógłbym porozmawiać. - Potrzeba w jego głosie sprawia, że przeszywa mnie dreszcz. Czerwone światło ostrzegawcze nad jego głową nie mogłoby chyba błyskać bardziej jaskrawo, ale i tak nie jestem w stanie mu odmówić, i nie chcę.

- Niech pan wejdzie.

Mijając mnie, dotyka mojego ramienia, przyjaźnie, po bratersku, co mnie uspokaja. Może facetom bez przerwy staje, bez powodu - moja wiedza na temat wzwodów jest zerowa. Całowałam się w życiu tylko z trzema chłopakami, więc jestem kompletnie niedoświadczona, jeśli chodzi o prawdziwych, żywych facetów, choć jestem prawdziwą ekspertką od tych książkowych, szczególnie od Heathcliffa, który nie miewa wzwodów - zaraz, jak się tak zastanowić, musiał je mieć bez-prze-rwy z Cathy na wrzosowiskach. Heathcliff musiał być gościem z permanentnie sterczącym wackiem.

Zamykam drzwi za Tobym i pokazuję mu, żeby był cicho, kiedy idzie za mną; Świątynia jest dźwiękoszczelna, żeby uchronić resztę domowników od całych lat charczących i beczących dźwięków klarnetu. Gram dostałaby zawału, gdyby wiedziała, że Toby odwiedził mnie o drugiej nad ranem w środku tygodnia. Hm, dzień tygodnia nie ma tu nic do rzeczy, Lennie. Z całą pewnością nie to miała na myśli, mówiąc, że trzeba wyciągnąć do niego rękę.

Kiedy drzwi Świątyni są już zamknięte, puszczam morderczego indie rocka, którym się ostatnio katuję, i siadam obok Toby'ego na podłodze, opieram się plecami

o ścianę, z wyciągniętymi nogami. Siedzimy w milczeniu jak dwa głązy. Mija kilka wieków.

Kiedy nie mogę tego dłużej znieść, żartuję:

- Całkiem możliwe, że trochę przesadzasz z tym swoim wizerunkiem milczącego twardziela.

- Och, przepraszam. - Zawstydzony kręci głową. - Nawet nie wiem, że to robię.

- Co?

- Że nie gadam...

- Naprawdę? A wydaje ci się, że co robisz? Przechyla głowę i uśmiecha się, uroczo mrużąc oczy.

- Chciałem zagrać ten dąb na podwórku. Wybucham śmiechem.

- W takim razie dobrze ci wyszło - stwierdzam. Jesteś świetnym dębem.

- Dziękuję... ta moja milkliwość chyba doprowadzała Bails do szału.

- E tam, podobało jej się to, mówiła mi. Mniej okazji do kłótni... no i więcej czasu scenicznego dla niej.

- Prawda. - Milczy przez minutę, aż w końcu głosem rwącym się od emocji mówi: - Tak strasznie się różniliśmy.

- Tak - przyznaję cicho. Byli kwintesencją przyciągających się przeciwności. Tobo zawsze spokojny i nieruchomy (jeśli akurat nie jechał na koniu czy na desce), a Bailey robiła wszystko: chodziła, gadała, myślała, śmiała się, imprezowała z prędkością światła. Sama była jak światło.

- Przypominasz mi ją... - szepcze.

Mam ochotę wypalić: Co? Zawsze zachowywałeś się, jakbym była pieczonym ziemniakiem!" Ale mówię tylko:

- No coś ty? Ja nie mam tej energii.

- Masz jej mnóstwo, to ja mam poważne niedobory mocy. - Nagle sam gada jak ziemniak.

- Nie dla niej - mówię. Jego oczy robią się cieplejsze; dobija mnie to. Co my zrobimy z tą całą miłością?

Kręci z niedowierzaniem głową.

- Po prostu miałem farta. Ta książka o przepiórkach...

Ten obrazek mnie prześladowuje. Obraz Bailey zeskakującej z kamienia tego dnia, kiedy się poznali, kiedy Toby wrócił na deskorolce.

Wiedziałam, że wrócisz! - wykrzyknęła, rzucając książkę w powietrze. - Jak w tej powieści. Wiedziałam!"

Czuję, że ten sam obraz stoi przed oczami Toby'emu, bo nasza uprzejma, lekka rozmowa nagle zatrzymała się z piskiem opon. Ten cały czas przeszły w naszych słowach nagle kumuluje się, jakby chciał nas zgnieść. Widzę rozpacz zakradającą się powoli na jego twarz; z moją twarzą pewnie dzieje się to samo.

Rozglądam się po naszej sypialni, patrzę na wściekłą, pomarańczową farbę, którą hojnie zachlapaliśmy senny błękit, otaczający nas od lat. Bailey powiedziała: Jeśli to nie odmieni naszego życia, to już nie wiem, co je odmieni. To, Lennie, jest kolor nadzwyczajności". Pamiętam, jak myślałam, że nie chcę, żeby nasze życie się zmieniało, i nie rozumiałam, dlaczego ona tego chce. Pamiętam, jak myślałam, że mnie zawsze podobał się nasz błękit.

Wzdycham.

- Naprawdę się cieszę, że przyszedłeś. Całe godziny chowałam się w szafie Bailey i dostawałam świra.

- To dobrze. Znaczą, że się cieszysz. Nie wiedziałem, czy powinienem cię nachodzić, ale ja też nie mogłem spać... robiłem takie głupie triki na desce, że mało się nie zabiłem, a potem wylądowałem tutaj i godzinę siedziałem pod śliwą, próbując się zdecydować...

Dźwięczne brzmienie głosu Toby'ego nagle uświadamia mi inny głos w pokoju: wokalisty ryczącego z głoś-



ników, który charczy, jakby ktoś go dusił. Wstaję, żeby włączyć coś bardziej melodyjnego, a kiedy siadam z powrotem, wyznaję:

- W szkole nikt tego nie rozumie tak naprawdę, nawet Sarah.

Toby z powrotem opiera głowę o ścianę.

- Nie wiem, czy można to zrozumieć, dopóki nie siedzi się w tym tak jak my. Nie miałem pojęcia...

- Ja też - mówię, i nagle mam ochotę uściskać Toby'ego, bo czuję ogromną ulgę, że przynajmniej tej nocy nie muszę w tym być sama.

Toby patrzy w dół, na swoje dłonie, ze zmarszczonym czołem, jakby próbował coś z siebie wydusić. Czeka. I czeka.

Helou, ja ciągle czekam. Jak Bailey zносиła tę ciszę w eterze?

Kiedy unosi głowę, jest już tylko lwiątkiem pełnym współczucia. Słowa wylewają się z niego, jedno wpada na drugie.

- Nigdy nie znałem sióstr tak zżytych ze sobą. Tak strasznie mi ciebie żal, Lennie. Tak strasznie mi przykro. Ciągle myślę o tobie bez niej.

- Dzięki - szepczę, i naprawdę jestem wdzięczna, i nagle chcę go dotknąć, pogłaskać jego dłoń, którą trzyma na udzie kilka centymetrów od mojej.

Spoglądam na niego, siedzi tak blisko mnie, że czuję zapach jego

szamponu, i dopada mnie przerażająca, straszna myśl: on jest naprawdę

przystojny, niepokojąco przystojny. Jak to możliwe, że wcześniej tego nie zauważyłam?

Odpowiadam sobie na to: On jest chłopakiem Bailey, Lennie. Co ci odbiło?

Drogi mózgu - piszę palcem na dzinsach - bądź grzeczny".

Przepraszam, szepczę do Bailey w myślach. Nie chcę myśleć o Tobym w ten sposób. Zapewniam ją, że to się już nie powtórzy.

Tylko że on jest jedynym człowiekiem, który rozumie, dodają. O rany. Po chwili milczenia Toby wyciąga z kieszeni kurtki butelkę tequili i odkręca kapsel.

- Chcesz? - pyta. Świetnie, to pomoże.

- Pewnie. - Nigdy nie piję, ale może alkohol pomoże, może wygoni ze mnie to szaleństwo. Sięgam po butelkę i kiedy ją biorę, nasze palce stykają się odrobinę za długo. Uznaję, że tylko mi się zdawało, przytykam butelkę do ust, pociągam zdrowy łyk, po czym z gracją puszczam fontannę na nas oboje.

- Faj, to jest obrzydliwe. - Ocieram usta rękawem. -Uuch.

Toby śmieje się i rozkłada ręce, żeby pokazać, jak go urządziłam.

- Trzeba trochę czasu, żeby się przyzwycząić.

- Sorki - mówię. - Nie miałam pojęcia, że to takie ohydne. W odpowiedzi wznosi toast butelką i wypija łyk. Ja

bardzo chcę spróbować jeszcze raz i nie pluć tequilą przez cały pokój.

Sięgam po butelkę, przystawiam ją do ust i pozwalam, żeby płyn wypalił mi gardło. Potem biorę jeszcze jeden łyk, większy.

- Pomału - mówi Toby, odbierając mi tequilę. - Muszę ci coś powiedzieć, Len.

- Okej. - Ogarnia mnie przyjemne ciepłko.

- Poprosiłem Bailey, żeby za mnie wyszła... - Mówi tak szybko, że w pierwszej chwili nie dociera do mnie, sens. Patrzy na mnie, próbując wyczuć moją reakcję. A moją reakcją jest totalne, kompletne WTF!

- Żeby za ciebie wyszła? Żartujesz? - To nie jest odpowiedź, jakiej chciałem, to pewne, ale walnął mnie jak obuchem; równie dobrze mógłby mi powiedzieć, że Bailey planowała karierę połykaczki ognia. Oboje mają - mieli -dziewiętnaście lat, a do tego Bailey miała ślubofobię.

- I co powiedziała? - Boję się odpowiedzi.

- Zgodziła się. - Mówi to z równą dozą nadziei i beznadziei; ta obietnica ciągle jest w nim żywa. Zgodziła się. Biorę tequilę, przechylam, nawet nie czuję smaku czy pieczenia. Jestem osłupiała, że Bailey tego chciała, urażona, że tego chciała, cholernie urażona, że mi o tym nie powiedziała. Muszę wiedzieć, co myślała. W głowie mi się nie mieści, że nie mogę jej o to zapytać. Nigdy nie będę mogła. Patrzę na Toby'ego, widzę w jego oczach szczerość, jak miękkie, małe zwierzątko.

- Przykro mi, Toby - mówię, starając się stłumić swoje niedowierzanie i zranione uczucia, ale nie potrafię się powstrzymać. - Nie wiem, dlaczego mi nie powiedziała.

- Mieliliśmy wam powiedzieć w następnym tygodniu. Dopiero co się oświadczyłem... - To, jak używa liczby mnogiej, wstrząsa mną. To wielkie "my" to zawsze byliśmy Bailey i ja, nie Bailey i Toby. Nagle czuję się wykluczona z przyszłości, która nawet się nie wydarzy.

- Ale co z jej aktorstwem? - pytam, zamiast: Ale co ze mną?"

- Przecież grała...

- No tak, ale... - Spoglądam na niego. - Wiesz, o co mi chodzi. - I widzę po jego minie, że wcale nie wie, o co mi chodzi. Owszem, niektóre dziewczyny marzą o ślubach, ale Bailey marzyła o Juillardzie: Szkole Juillarda w Nowym Jorku. Odszukałam kiedyś w necie ich oświadczenie o misji: Zapewnić najwyższej jakości edukację artystyczną utalentowanym muzykom, tancerzom

i aktorom z całego świata, by mogli w pełni rozwinąć swój potencjał jako ludzie sztuki, liderzy i obywatele Ziemi". To prawda, że kiedy odrzucono ją ostatniej jesieni, zapisała się do Stanowego College'u w Clover, jedynej szkoły, do której złożyła podanie oprócz Juillarda, ale byłam pewna, że spróbuje jeszcze raz. Bo jak mogłaby nie spróbować? To było jej marzenie.

Nie rozmawiamy o tym więcej. Wiatr przybrał na sile i zaczął z klekotem przedzierać się do domu. Czuję przenikający mnie chłód, łapię koc z bujanego fotela i naciagam na nogi. Przez tequilę czuję się, jakbym rozpływała się w nicość. I chcę tego - chcę zniknąć. Ogarnia mnie ochota, żeby zabazgrać całe te pomarańczowe ściany, potrzebuję alfabetu z wydartych zakończeń książek, z wyrwanych wskazówek zegarów, z zimnych kamieni, z butów pełnych wiatru i niczego więcej. Opieram głowę na ramieniu Toby'ego.

- Jesteśmy najsmutniejszymi ludźmi na świecie.

- Tak - mówi, ściskając krótko moje kolano. Ignoruję dreszcze, które obudził w moim ciele jego dotyk. Oni mieli się pobrać.

- Jak my damy radę? - szepczę. - Dzień po dniu, bez niej...

- Och, Len. - Odwraca się do mnie i dłonią przygląda włosy wokół mojej twarzy.

Czekam, aż zabierze rękę, aż odwróci się z powrotem, ale nie robi tego.

Nie odrywa ode mnie ani dłoni, ani spojrzenia. Czas zwalnia. Coś zmienia się w pokoju, między nami. Patrzę w jego pełne smutku oczy, on patrzy w moje, i myślę: On tęskni za nią tak samo jak ja. I wtedy mnie całuje - jego usta: miękkie, gorące, takie żywe, że wyrywają ze mnie jęk. Chciałabym móc powiedzieć, że się odsunęłam, ale nie mogę. Całuję go i nie chcę przestawać,

bo w tej chwili czuję, jakbyśmy Toby i ja razem, jakimś cudem, sięgnęli przez czas i ściągnęli Bailey z powrotem. Toby odsuwa się, zrywa na nogi.

- Nie rozumiem tego. - Chodzi po pokoju; panika kipi w nim jak oranżada w proszku polana wodą. - Boże, powinienem już iść. Naprawdę powinienem już iść.

Ale nie idzie. Siada na łóżku Bailey, spogląda na mnie, a potem wzdycha, jakby poddawał się jakiejś niewidzialnej sile. Wypowiada moje imię i jego głos jest tak ochryply i hipnotyczny, że podciąga mnie na nogi, wlecze przez całe kilometry wstydu i poczucia winy. Nie chcę do niego podchodzić, ale też chcę. Nie mam pojęcia, co robić, ale i tak idę przez pokój, chwiejąc się trochę od teąuli. Podchodzę do niego. Toby bierze mnie za rękę i pociąga lekko.

- Po prostu chcę być blisko ciebie - szepcze. - Tylko wtedy nie umieram z tęsknoty za nią.

- Ja też. - Przeciągam palcem po posypce piegów na jego policzku. W jego oczach zaczynają wzbierać łzy; w moich też. Siadam obok niego, a w końcu kładziemy się na łóżku Bailey, przytuleni na łyżeczki. Tuż przed zaśnięciem w jego mocnych, bezpiecznych ramionach myślę jeszcze: Mam nadzieję, że nie zostawiamy naszych zapachów w miejsce resztek zapachu Bailey, które ciągle jeszcze przesycają pościel.

Kiedy się budzę, leżę twarzą do niego - nasze ciała przywierają do siebie, oddechy mieszają. On patrzy na mnie.

- Jesteś piękna, Len.

- Nie - mówię. I wykrztuszam z siebie jedno słowo: -Bailey.

- Wiem - mówi on. Ale i tak mnie całuje. - Nic na to nie poradzę. - Szepcze to prosto w moje usta. Ja też nie mogę nic na to poradzić.

*Chcialabym,  
by mój  
Cien  
wstal  
i  
szedł  
obok  
mnie*

*(Znalezione na odwrocie klasówki z francuskiego, w klombie koło Clover High).*



*Były sobie kiedy dwie siostry, które dzieliły ze sobą pokój.  
Dzieliły ze sobą ubrania,  
Dzieliły te same myśli w tej samej chwili.  
Siostry nie miały matki, ale miały siebie.  
Starsza szła przed młodszą, żeby młodszą zawsze wiedziała, dokąd iść.  
Starsza zabierała młodszą nad rzekę i unosiły się na plecach jak topielcy.  
Starsza dziewczyna mówiła:  
Zanurz głowę na kilka centymetrów, otwórz oczy i spojrz na słońce.  
Młodszą na to:  
Woda wleci mi do nosa,  
Starsza:  
No już, zrób to.  
Więc młodszą to robiła i cały jej świat wypełniał się światłem.*

*(Znalezione na kartce z notesu, zaczepionej o płot na grani).*



Judasz, Brutus, Benedict Arnold i ja.

A najgorsze jest to, że za każdym razem, kiedy zamykam oczy, widzę lwią twarz Toby'ego, jego usta jeden oddech od moich, i drzę od stóp do głów, nie z poczucia winy, jak powinnam, ale z pożądania - i wtedy, ilekroć pozwalam sobie na ten obrazek nas całujących się, widzę twarz Bailey wykrzywioną z szoku, oskarżycielsko. Patrzy na nas z góry: na swojego chłopaka, swojego narzeczonego całującego jej młodszą siostrę, tę zdrajczynię, na jej własnym łóżku. Uch. Wstyd wodzi za mną wzrokiem jak pies.

Jestem na wygnaniu, na które sama się skazałam: siedzę w rozwidleniu gałęzi, na moim ulubionym drzewie w lesie za szkołą. Przychodzę tu codziennie w porze lunchu i chowam się aż do dzwonka; ryję długopisem słowa na gałęziach i pozwalam, żeby serce pękało mi bez świadków. Nie mogę niczego ukryć - wszyscy w szkole widzą mnie na wylot, aż do kości.

Sięgam właśnie do papierowej torby, którą spakowała mi Gram, kiedy słyszę trzask gałązek pod sobą. Oo. Patrzę w dół i widzę Joego Fontaine'a. Nieruchomieję. Nie chcę, żeby mnie zobaczył: mnie, Lennie Walker, Wariatkę Jedzącą Lunch na Drzewie (z całą pewnością musiałam spaść z drzewa, skoro się na nim chowam!). Joe krąży pode mną, zdezorientowany, jakby czegoś szukał. Prawie nie oddycham, ale on nie odchodzi, przystaje trochę na prawo

od pnia. Nagle niechcący szeleszczę torbą, a on podnosi głowę, zauważa mnie.

- Cześć - mówię, jakby to była absolutnie normalne miejsce do jedzenia lunchu.

- Cześć, tu jesteś... - Zatrzymuje się, próbuje ściemniać. - Byłem ciekaw, co tu jest... - Rozgląda się. - Doskonałe miejsce na chatkę z piernika albo palarnię opium.

- Już się zdradziłeś - stwierdzam, zaskoczona własną bezpośredniością.

- Okej, przyznaję się bez bicia. Śledziłem cię. - Uśmiecha się do mnie i to znów jest ten sam uśmiech, nic dziwnego, że pomyślałam wtedy...

On mówi dalej:

- I domyślałam się, że chcesz być sama. Pewnie nie przyszłaś aż tutaj i nie wlaźłaś na drzewo dlatego, że masz ochotę na rozmowę. - Spogląda na mnie z nadzieją. Oczarowuje mnie mimo mojego żalosego stanu emocjonalnego, mimo sercowego zamieszania z Tobym, mimo że zaklepała go dla siebie Cruella de Mon.

- Chcesz wejść na górę? - Wskazuję mu gałąź, a on wdrapuje się na drzewo w jakieś trzy sekundy, znajduje sobie wygodne siedzisko tuż obok mnie i trzepocze rzęsami. Zapomniałam o tym jakie są niesamowite. Łał do kwadratu.

- Co jest do jedzenia? - Wskazuje papierową torbę.

- Żartujesz? Najpierw wpadasz bez zaproszenia w moją samotność, a teraz chcesz sępić? Gdzie ty się chowałeś?

- W Paryżu. Więc jestem sępem *raffiné*<sup>1</sup>".

Och, jak to dobrze, że *j'étudie le français*\*\* . I, Dżizus, nic dziwnego, że cała szkoła przez niego huczy, nic dziw-

\* *raffine* (fr.) - subtelny, wyrafinowany.

\*\* *j'étudie le français* (fr.) - uczę się francuskiego.

nego, że chciałam go pocałować. Na chwilę wybaczam nawet Rachel tę bagietkę, która sterczała dzisiaj z jej plecaka. Joe mówi dalej:

- Ale urodziłem się w Kalifornii, mieszkałem w San Francisco do dziewiątego roku życia. Przeprowadziliśmy się tam z powrotem jakiś rok temu, a teraz jesteśmy tutaj. Ale ciągle chcę wiedzieć, co jest w tej torbie.

- Nigdy nie zgadniesz - oznajmiam. - Prawdę mówiąc, ja też nie. Moja babcia uważa, że to zabawne, wkładać nam... mnie różne rzeczy do torby na lunch. Nigdy nie wiem, co będzie w środku: e.e. cummings, płatki kwiatów, garść guzików. Zupełnie jakby zapomniała, do czego powinna służyć brązowa torba.

- A może uważa, że inne rodzaje pokarmu są ważniejsze.

- Tak, dokładnie tak uważa - odpowiadam zaskoczona. - Okej, zechcesz czynić honory? - Podsuwam mu torbę.

- Nagle mnie strach obleciał. Czy tam bywa czasem coś żywego? - Znów te rzęsy. Okej, być może będę potrzebowała trochę czasu, żeby uodpornić się na trzepot rzęs.

- Nigdy nie wiadomo... - przyznaję, starając się, żeby mój ton nie brzmiał tak omdlewająco, jak ja się czuję. I będę udawać, że rym siedzę na drzewie" do całuję ciebie" nie przyszedł mi właśnie do głowy.

Bierze torbę, sięga do środka królewskim gestem i wyciąga... jabłko.

- Jabłko? Cóż za rozczarowanie! - Rzuca nim we mnie. - Wszyscy mają jabłka.

Ponagliam go do dalszej eksploracji. Sięga, wyjmując *Wichrowe Wzgórza*.

- To moja ulubiona książka - mówię. - Działa jak smoczek. Czytałam ją dwadzieścia trzy razy. Gram zawsze mi ją wkłada.

- *Wichrowe Wzgórza* dwadzieścia trzy razy! Najsmutniejsza książka świata. Jak ty w ogóle funkcjonujesz?

- Mam ci przypomnieć? Jem lunch na drzewie.

- Prawda. - Znów zapuszcza rękę do torby, wyciąga czerwoną piwonie bez łodyżki. Jej intensywny zapach natychmiast nas upaja. - Rany - mruży Joe, wdychając go. - Czuję się, jakbym mógł lewitować. - Podsuwa mi kwiat pod nos. Zamykam oczy, próbuję sobie wyobrazić, że ten aromat mnie też unosi z ziemi. Nie mogę. Ale coś mi przychodzi do głowy.

- Mój najbardziej ulubiony święty ze wszystkich to Joe - mówię mu. - Święty Józef z Cupertino, on też lewi-tował. Kiedy tylko pomyślał o Bogu, unosił się w powietrze w przypiływie ekstazy.

Joe przekrzywia głowę, patrzy na mnie sceptycznie, z uniesionymi brwiami.

- Nie kupuję tego. Kiwam głową.

- Setki świadków. Zdarzało się bez przerwy. Podczas mszy.

- Okej, dobra, zazdroszczę mu. Ja jestem tylko niespełnionym lewitatorem.

- Szkoda - mówię. - Chciałabym zobaczyć, jak płyniesz nad Clover i grasz na trąbce.

- No, nieźle! - wykrzykuje. - Mogłabyś lecieć ze mną, złapać mnie za nogę czy coś.

Wymieniamy krótkie, badawcze spojrzenia; dziwimy się sobie nawzajem, zaskoczeni tą swobodną rozmową -to tylko mgnienie, ledwie dostrzegalne, jak biedronka lądująca na ręce.

Kładzie kwiat na mojej nodze i czuję muśnięcie jego palców przez dzinsy. Papierowa torba jest już pusta. Joe podaje mi ją i od tej chwili milczymy, słuchając tylko szelestu wiatru wokół nas, patrząc, jak słońce przebija się

między sekwojami niemożliwie gęstymi, przymglonymi promieniami, jak na dzieciennych rysunkach.

Kim jest ten gość? Rozmawiałam z nim na tym drzewie dłużej niż z kimkolwiek w szkole, od kiedy wróciłam. Ale jak on mógł czytać *Wichrowe Wzgórza* i mimo to zakochać się w Rachel Suczydło? Może dlatego, że była we Fracji. Albo dlatego, że udaje, że lubi muzykę, o której nikt inny nie słyszał, takiej jak szaleńczo popularne gardłowe śpiewy z Tuwy.

- Widziałem cię przedwczoraj - mówi Joe, biorąc jabłko. Podrzuca je jedną ręką, łapie drugą. - Przy Wielkiej Łące. Grałem na gitarze na polu. Ty byłaś po drugiej stronie. Wyglądało to, jakbyś pisała list czy coś, oparta o bok samochodu, ale potem po prostu rzuciłaś kartkę...

- Czy ty za mną łazisz? - pytam, pilnując się, żeby nagły zachwyt, jaki wzbudziła we mnie ta myśl, nie był słyszalny w moim głosie.

- Może troszkę. - Przestaje podrzucać jabłko. -1 może jestem czegoś ciekaw.

- Ciekaw? A czego?

Nie odpowiada, zaczyna skubać mech z gałęzi. Zauważam jego dłonie, jego długie palce, pełne odcisków od gitarowych strun.

- Czego? - pytam znów; strasznie chcę wiedzieć, co go tak ciekawi, że aż wlaźł za mną na drzewo.

- Chodzi o to, jak grasz na klarncie... Zachwyt wyparowuje ze mnie.

- Tak?

- Czy raczej o to, jak na nim nie grasz.

- O co ci chodzi? - rzucam, doskonale wiedząc, o co mu chodzi.

- O to, że jesteś cholernie dobra technicznie. Szybkie palce, błyskawiczna praca językiem, rozpiętość tonów, rany. .. ale wszystko jakby na tym się kończy. Nie rozumiem

tego. - Śmieje się, jakby nie zauważył bomby, którą właśnie zdetonował. -  
Zupełnie jakbyś grała przez sen czy coś.

Krew napływa mi do policzków. Przez sen! Czuję się przyłapana, jestem  
jak ryba w sieci. Żałuję, że nie odeszłam z orkiestry, tak jak chciałam.

Patrzę na sekwoje, wznoszące się w niebo, otoczone tylko własną  
samotnością. On patrzy na mnie, czuję to, czeka na odpowiedź, ale nie  
doczeka się - wkroczył na teren z zakazem wstępu.

- Posłuchaj - mówi ostrożnie, kiedy dociera do niego, że jego wdzięki  
przestały działać. - Przyszedłem tu za tobą, bo chciałem spytać, czy nie  
moglibyśmy pograć razem.

- Dlaczego? - Mój głos jest głośniejszy i bardziej zdenerwowany, niż tego  
chcę. Znajoma panika powoli obejmuje władzę nad moim ciałem.

- Chcę usłyszeć, jak John Lennon gra naprawdę. No. bo kto by nie chciał,  
nie?

Jego żart spada między nami jak płonący Hindenburg.

- Raczej nie - mówię; w tej samej chwili rozlega się dzwonek.

- Posłuchaj... - zaczyna, ale nie daje mu dokończyć.

- Nie chcę z tobą grać, okej?

- Dobra. - Rzuca jabłko w powietrze. - Owoc uderza o ziemię, i on sam  
zeskakuje, ale wcześniej mówi jeszcze: - To i tak nie był mój pomysł.



Budzi mnie trąbienie Ennui, dżipa Sary, jadącego naszą ulicą. Zasadzka. Przekręcam się na drugi bok, wyglądam przez okno, widzę, jak Sarah wyskakuje z auta w swojej ulubionej czarnej sukni i w glanach na platformach, z włosami (znowu blond) zwiniętymi w gniazdo, z papierosem zwisającym z krwistoczerwonych warg, odcinających się od placka widmowej bieli. Patrzę na zegar: siódma pięć. Sarah widzi mnie w oknie, wymachuje rękami jak wiatrak w czasie huraganu.

Naciągam kołdrę na głowę i czekam na nieuniknione.

- Przyszłam wyssać twoją krew - mówi kilka chwil później.

Wyglądam spod kołdry.

- Rzeczywiście jesteś obłądnym wampirem.

- Wiem. - Pochyliła się do lustra nad moją toaletką, ściera szminkę z zębów palcem z czarnym paznokciem. - To dla mnie odpowiedni look... Heidi w gotyku. - Bez tych wszystkich dodatków Sarah mogłaby grać Złotowłosą. Jest opaloną dziewczyną z plaży, która udaje

goto-grungepunkhippirockemotrashmetalowegomodowegofrika mózgowcazchcicąnachłopakówwalniętąhiphopowarasta-manekę, żeby się z tym nie zdradzać. Przechodzi przez pokój, staje nade mną, po czym odwija brzeg kołdry i wskakuje mi do łóżka w butach i całej reszcie.

- Tęsknię za tobą, Len. - Jej ogromne niebieskie oczy błyszczą na mnie, tak szczere i niepasujące do jej



kostiumu. - Jedźmy na śniadanie przed szkołą. Ostatni dzień szkoły i tak dalej. To tradycja.

- Okej - rzucam i dodaję: - Przepraszam, że byłam taka okropna.

- Nie mów tak. Po prostu nie wiem, co mogę dla ciebie zrobić. Nie wyobrażam sobie... - Nie kończy, rozgląda się po Świątyni. Widzę, jak ogarnia ją przerażenie - Nie wiem, jak ty to znosisz... - Gapi się na łóżko Bailey. -Wszystko jest tak, jak to zostawiła. Boże, Len.

- Tak. - Moje życie dławi mnie w gardle. - Ubiorę się. Przygryza dolną wargę, stara się nie rozplakać.

- Poczekam na dole. Obiecałam Gram, że z nią porozmawiam. - Wstaje z łóżka i idzie do drzwi. Jej podskoki sprzed chwili zmieniły się w powłóczenie nogami. Naciągam kołdrę z powrotem na głowę. Wiem, że ta sypialnia to mauzoleum. Wiem, że to wytrąca wszystkich z równowagi (z wyjątkiem Toby'ego, który jakby tego nie zauważa), ale ja tak chcę. Dzięki temu czuję się, jakby Bailey ciągle tu była albo miała wrócić.

W drodze do miasta Sarah opowiada mi o swoim najnowszym planie, żeby złowić kolesia, który mógłby z nią rozmawiać o jej ulubionym egzystencjaliście, Jeanie-Paulu Sartrze. Problemem jest jej wariackie zamiłowanie do tępogłowych surferów, którzy (nie uogólniając, oczywiście) zwykle nie są szczególnie czytani we francuskiej literaturze i filozofii, ergo, nie nadają się na jej chłopaków, gdyż nie spełniają kryterium pod tytułem

Musisz-wiedzieć-kto-to-jest-Sartre-albo-przynajmniej-znać-D.H.Lawrence'a-a-w-najgorszym-razie-którąś-z-siostr-Brónte-najlepiej -Emily.

- Latem w college'u jest popołudniowe seminarium na temat francuskiego feminizmu - mówi. - Wybieram się. Chcesz iść ze mną?

Śmieję się.

- Rzeczywiście, idealne miejsce, żeby poznać faceta.  
- Zobaczysz - mówi. - Najfajniejsi goście nie boją się być feministami.  
Patrzę na nią. Próbuje puszczać kółka z dymu, ale zamiast nich puszcza kluchy z dymu.

Strasznie boję się powiedzieć jej o Tobym, ale chyba muszę, nie? Tylko że jestem za dużym tchórzem, więc decyduję się na mniej pogrążające nowiny.

- Przedwczoraj jadłam lunch z Joem Fontaine'em.

- Nie!

- Tak.

- Nie ma mowy.

- Jest mowa.

- Nie-e.

- Ta-ak.

- Niemożliwe.

- Takmożliwe.

Umiemy niesamowicie długo wytrzymać takie tak-nie".

- Ty kaczo! Ty latająca żółta kaczo! I dopiero teraz mi to mówisz? -

Kiedy Sarah się nakreca, w jej wypowiedziach pojawiają się przypadkowe zwierzęta, jakby miała zespół Tourette'a z odchyleniem w stronę Stary Donald Fermę Miał. - No i? Jaki on jest?

- Jest okej - odpowiadam, wyglądając przez okno. Nie mogę dojść, czyj to był pomysł, żebyśmy grali razem. Może pana Jamesa? Ale dlaczego? A poza tym, aarh, co za żenada.

- Ziemia do Lennie. Czy ty powiedziałaś właśnie, że Joe Fontaine jest okej? Jasna kobyła! Ten gość jest niewia-rykurnagodny! I słyszałam, że ma dwóch starszych braci: jasna kobyła do potęgi trzeciej, nie sądzisz?

- Jasna kobyła, nietoperzyco - mówię, co wywołuje u niej napad chichotu; dźwięk nie bardzo na miejscu, kiedy wydobywa się z nietoperzowo-gockiej twarzy. Ściąga

ostatniego macha papierosa i wrzuca peta do puszki z colą. Dodaje: - Jemu się podoba Rachel. Co to o nim mówi?

- Tylko to, że ma chromosom Y - odpowiada Sarah i wsuwa listek gumy do ust, karmiąc swoją oralną fiksa-cję. - Ale ja tego jakoś nie widzę. Słyszałam, że jego obchodzi tylko muzyka, a ona gra jak marcujący kot. Może chodzi o te głupie gardłowe śpiewy, o których ciągle truje, i on myśli, że ona jest na jakimś wyższym poziomie muzycznego wtajemniczenia czy coś. - Jedność umysłów itepe... nagle Sarah podskakuje jak na kijku pogo. - Och, Lennie, zrób to! Wyzwij ją na pojedynek o pierwszy klarnet. Dzisiaj! Pliss. To będzie niesamowite, pewnie nie zdarzyło się nigdy w historii orkiestry. Pomyśl, pojedynek o pierwszy klarnet w ostatni dzień szkoły!

Kręcę głową.

- Nie ma mowy.

- Ale dlaczego?

Nie odpowiadam jej. Nie umiem.

Do głowy wskakuje mi pewne popołudnie z zeszłego lata. Właśnie wyszłam z lekcji z Marguerite i siedziałam z Bailey i Tobym w Wąwozie Samobójcy. Toby opowiadał nam, że wyścigowe konie czystej krwi zawsze mają konia do towarzystwa, który cały czas jest przy nich, i pomyślałam wtedy: to ja. Jestem koniem do towarzystwa, a konie do towarzystwa nie grają solówek. Nie grają pierwszego klarnetu, nie chodzą na przesłuchania do Orkiestry Stanowej, nie biorą udziału w krajowych konkursach ani nie rozważają na poważnie startowania do pewnego konserwatorium sztuk estradowych w Nowym Jorku, przy czym upierała się Marguerite.

Po prostu nie.

Sarah wzdycha, skręcając na miejsce parkingowe.

- No trudno, pewnie będę musiała sobie znaleźć inną rozrywkę w ostatni dzień szkoły.

- Pewnie tak.

Wyskakujemy z Ennui, idziemy do Piekarni Cecylia i zamawiamy obsceniczną liczbę ciastek, które Cecilia daje nam darmo, z tym samym smutnym spojrzeniem, które ostatnio śledzi mnie wszędzie, dokądkolwiek pójde. Gdybym poprosiła, pewnie dałaby mi wszystkie ciastka w sklepie.

Łądujemy na naszej ulubionej ławce pod Włoskimi Delikatesami Marii, gdzie pracuję jako główna lazanist-ka" w każde wakacje, od kiedy skończyłam czternaście lat. Jutro znów zaczynam. Słońce wybuchło na milion kawałków, które zasypały całą Main Street. Jest przepiękny dzień. Błyszczą wszystko z wyjątkiem mojego serca winowajczyni.

- Sarah, muszę ci coś powiedzieć. Robi zatroskaną minę.

- Jasne.

- Przedwczoraj w nocy coś się wydarzyło między mną i Tobym. - Jej troska zmienia się w coś innego; tego się obawiałam. Sarah uznaje żelazny kodeks dziewczynskie-go postępowania, jeśli chodzi o chłopaków. Pierwsza zasada głosi: siostrzana solidarność ponad wszystko.

- Coś w sensie coś? Czy coś w sensie COŚ? - Jej brwi wylądowały na Marsie.

Żołądek mi się wywraca.

- To drugie... Całowaliśmy się. - Źrenice jej się rozszerzają, twarz wykrzywia niedowierzanie, a może przerażenie. To jest twarz mojego wstydu, myślę, patrząc na nią. Jak mogłam się całować z Tobym? - pytam samą siebie po raz tysięczny.

- O kurde - mówi, i to słowo pada na ziemię jak kamień. Nawet nie próbuje ukryć obrzydzenia. Chowam głowę w dłoniach, przyjmuję pozycję zalecaną podczas katastrofy samolotu. Nie powinnam była jej mówić.

- W tamtej chwili to wydawało się w porządku, oboje tak strasznie tęsknimy za Bails, on to po prostu rozumie, rozumie mnie, i jest chyba jedynym, który rozumie... no i byłam pijana. - Mówię to wszystko do moich džinsów.

- Pijana? - Sarah jest totalnie zaskoczona. Nigdy nie wypiałam nawet piwa na tych wszystkich imprezach, po których mnie ciąga. Potem, łagodniejszym tonem, dodaje: - Toby jest jedynym, który cię rozumie? Oo.

- Nie to miałam na myśli - mówię, unosząc głowę, żeby spojrzeć jej w oczy, ale to nie jest prawda. Właśnie to miałam na myśli i widzę po jej minie, że ona to wie. -Sarah.

Przełyka ślinę, odwraca wzrok, po czym szybko zmienia temat, ku mojemu wstydkowi.

- No, to się chyba zdarza. Seks w żałobie to dość typowe zjawisko. Było o tym w jednej z tych książek, które przeczytałam. - Wciąż słyszę w jej głosie potępienie, a teraz też coś więcej.

- Nie uprawialiśmy seksu - zaznaczam. - Ciągle jestem ostatnią żyjącą dziewczyną.

Sarah wzdycha, obejmuje mnie ramieniem, niezręcznie, jakby musiała. Czuję się, jakby założyła mi nelsona. Żadna z nas nie ma pojęcia, jak sobie poradzić z tym, co nie zostało powiedziane, i z tym, co zostało.

- Jest w porządku, Len. Bailey by zrozumiała. - Brzmi to absolutnie nieprzekonująco. - No i przecież już się nie powtórzy, nie?

- Oczywiście, że nie - mamroczę, i mam nadzieję, że nie kłamię.

I mam nadzieję, że kłamię.

*Wszyscy zawsze mówili że jestem podobna do Bailey, ale to nieprawda.  
Mam szare oczy, a ona zielone, owalna twarz, ona w kształcie serca,  
jestem niższa, chudsza, bledsza,  
bardziej płaska, brzydsza, nudniejsza.*

*Podobne sa tylko zwariowane loki, które ja wiąże gumka,  
a ona rozpuszcza, by mogły szaleć wokół jej głowy.*

*Ja nie śpiewam przez sen, nie jem płatków kwiatów,  
nie wybiegam w deszcz, zamiast z niego uciekać.*

*Ja jestem ta bez prądu.*

*siostra na przyczepce  
upchnięta w kat jej cienia.....*

*Chłopcy chodzili za nią wszędzie;  
zapelniali stoliki w restauracji,*

*gdzie była kelnerka,  
nad rzeka otaczali ją stadami*

*Któregoś dnia widziałam, jak chłopak stanął za nią  
i wyrwał jej włos.*

*Rozumiem to -*

*czułam się tak samo-  
na naszych wspólnych zdjęciach  
ona zawsze patrzy w obiektyw,  
a ja zawsze patrzę w nią.*

*(Znalezione na złożonym kawałku papieru, zagrzebanym w sosnowych  
igłach na ścieżce do rzeki Rain).*



Siedzę przy biurku Bailey ze świętym Antonim, patronem zgubionych rzeczy.

To nie jest jego miejsce. Jego miejsce jest na półce kominka, przed *Pótmatką*, gdzie zawsze go trzymałam, ale Bailey musiała go tutaj przenieść, i nie wiem dlaczego. Znalazłam go schowanego za komputerem, przed jej starym rysunkiem, przypiętym do ściany - tym, który narysowała w dniu, kiedy Gram powiedziała nam, że nasza mama jest podróżniczką (z gatunku Krzysztofa Kolumba).

Zaciągnęłam zasłony i chociaż mam wielką ochotę, nie pozwalam sobie wyrzeć przez okno i sprawdzić, czy Toby siedzi pod śliwą. Pracowicie nie wyobrażam też sobie jego warg, na wpół oszalałych, na moich wargach. Nie. Wyobrażam sobie arktyczne równiny, miłe, lodowate ark-tyczne równiny. Obiecałam Bailey, że coś takiego jak tamtej nocy już nigdy się nie wydarzy.

Jest pierwszy dzień wakacji i wszyscy ze szkoły są nad rzeką. Właśnie dzwoniła do mnie pijana Sarah z informacją, że nie jeden, nie dwóch, ale trzech niewiarykurnagodnych Fontaine'ów ma się zjawić lada chwila w Wąwozie Samobójcy, że będą grać na dworze, i że właśnie dowiedziała się, że dwaj starsi Fontaine'owie grają w wywalonym w kosmos zespole w LA, gdzie chodzą do college'u, i że mam zbierać tyłek i się tam zjawić, żeby podziwiać ich w pełnej krasie. Powiedziałam jej, że nigdzie nie idę i że



ma podziwiać ich krąsę za mnie, co natychmiast wskrzesiło jej wczorajszą niechęć.

- Chyba nie jesteś z Tobym, co?

Uch.

Patrzę na swój klarnet, porzucony w futerale na krześle do grania. Leży w trumnie, myślę, i natychmiast próbuję skasować tę myśl. Podchodzę do niego, odpinam wieko. Nigdy nie było wątpliwości, na jakim instrumencie będę grać. Kiedy w piątej klasie szkoły muzycznej wszystkie dziewczyny pobiegły do fletów, ja ruszyłam prosto do klarnetu.

Przypominał mi mnie.

Sięgam do kieszeni, gdzie trzymam szmatkę i trzcinki i szukam palcami złożonej kartki. Nie wiem, dlaczego ją zachowałam (przez ponad rok!), dlaczego wyłowilałam ją z kosza na śmieci tego popołudnia, kiedy Bailey wyrzuciła ją z mężnym: "Oj, no trudno, chyba jesteście na mnie skazani", i padła w ramiona Toby'ego, jakby to nie miało dla niej znaczenia. Ale ja wiedziałam, że miało. Jak mogło nie mieć? To był Juillard.

Nie czytając go po raz ostatni, zginałam w kulkę list, w którym odmówiono Bailey przyjęcia, wyrzucam go do kosza i z powrotem siadam przy jej biurku.

Jestem dokładnie w tym samym miejscu, w którym byłam, kiedy telefon ryknął na cały dom, na cały niczego niespodziewający się świat.

Odrabiałam chemię, nienawidząc każdej minuty tego odrabiania, jak zawsze. Gęsty od oregano aromat potrawy z kurczaka gotowanej przez Gram docierał do pokoju i chciałam tylko, żeby Bailey już wróciła, żebyśmy mogli jeść, bo zdychałam z głodu i nie cierpiałam izotopów. Jak to możliwe? Jak mogłam myśleć o potrawce i cząsteczkach węgla, kiedy na drugim końcu miasta moja siostra wydawała ostatnie tchnienie? I co można z tym zrobić? Co można zrobić, kiedy najgorsze, co się może stać, naprawdę się staje? Kiedy odbierasz ta-

ki telefon? Kiedy tęsknisz za niezrównoważonym głosem swojej siostry tak bardzo, że masz ochotę rozdrapać cały dom paznokciami?

Oto, co robię: wyjmuję swój telefon i wybieram jej numer. Któregoś dnia, w chwilowym otumanieniu, zadzwoniłam do niej, żeby spytać, kiedy będzie w domu, i odkryłam, że jej poczta głosowa nie została jeszcze skasowana.

Hej, tu Bailey, chwilowo Julia, więc cóż powiecie, dobrzy ludkowie? Czyż nie macie dla mnie radosnego słowa? Jakiejś pociechy..."

Rozłączam się, kiedy słyszę sygnał, i dzwonię jeszcze raz, i jeszcze raz, i jeszcze raz, i jeszcze - chcę ją wywlec z tego telefonu. Aż za którymś razem się nie rozłączam.

- Dlaczego mi nie powiedziałaś, że mieliście się pobrać? - szepczę, po czym zatrzaskuję telefon i kładę go na jej biurku. Bo nie rozumiem. Czy nie mówiłyśmy sobie o wszystkim? Jeśli to nie odmieni naszego życia, Len, to już nie wiem, co je odmieni", powiedziała, kiedy malowałyśmy ściany. Czy to była ta odmiana, której wtedy chciała? Biorę do ręki tandetnego świętego Antoniego z plastiku. I o co chodzi z nim? Po co go tu przyniosła? Przyglądam się uważniej rysunkowi, o który stał oparty. Obrazek wisi tu tak długo, że papier zżółkł i brzegi się pozwijały, tak długo, że od lat nie zwracałam na niego uwagi. Bailey narysowała go, kiedy miała mniej więcej jedenaście lat - wtedy, kiedy zaczęła wypytywać Gram o mamę z bezlitosnym uporem.

Miała tak przez parę tygodni.

- Skąd wiesz, że ona wróci? - spytała po raz milionowy. Byłyśmy w pracowni Gram; Bailey i ja leżałyśmy na podłodze i rysowałyśmy pastelami, a Gram, w kącie, malowała na płótnie jedną ze swoich dam, stojąc plecami do nas. Przez cały dzień zbywała pytania Bailey, po mistrzowsku zmieniając temat, ale tym razem to nie

zadziałało. Widziałam, jak jej ręka opada do boku, jak krople radosnej zieleni kapią z pędzla na uciapaną podłogę. Westchnęła potężnie, z rezygnacją, i odwróciła się do nas.

- Cóż, chyba jesteście już dość duże, dziewczynki -powiedziała.

Ożywiłyśmy się, natychmiast odłożyłyśmy kredki i poświęciłyśmy jej całą uwagę. - Wasza mama jest... otóż... jakby to najlepiej określić... hm... niech pomyślę... - Bailey spojrzała na mnie osłupiała. Nigdy nie widziałyśmy, żeby Gram brakowało słów.

- Czym, Gram? - spytała. - Czym jest?

- Hm... - Gram przygryzła wargę, i w końcu, z wahaniem, powiedziała... - Chyba najlepiej można by to określić.. . wiecie, że niektórzy ludzie mają wrodzone skłonności; ja maluję i pielęgnuję ogród, Big jest dendrologiem, ty, Bailey, chcesz być aktorką, kiedy dorośniesz...

- Pójdę do Juillarda - powiedziała nam. Gram się uśmiechnęła.

- Tak, wiemy, panno Hollywood. Czy powinnam raczej powiedzieć panno Broadway.

- No ale mama? - przypomniałam im obu, żebyśmy znów nie zaczęły gadać o tej głupiej szkole. Miałam tylko nadzieję, że jeśli Bailey zamierza tam pójść, to jest to w zasięgu pieszego spaceru. A przynajmniej na tyle blisko, żebym mogła dojechać tam rowerem i widywać się z nią codziennie. Byłam za bardzo przerażona, żeby zapytać.

Gram na moment zacisnęła usta.

- Okej, no więc, wasza mama jest trochę inna, jest raczej... hm, jest podróżniczką.

- Taką jak Kolumb? - spytała Bailey.

- Tak, dokładnie tak, tyle że bez Ni ii, Pinty i Santa Marii. Tylko kobieta, mapa i świat. Gra solo. - I wyszła z pokoju, co było jej ulubionym i najsukuczniejszym sposobem kończenia rozmowy.

Bailey i ja patrzyłyśmy na siebie. Mimo nieustannych rozmyślań, gdzie jest nasza mama i dlaczego odeszła, nigdy nie przyszło nam do głowy coś aż tak fajnego. Ja poszłam za Gram, by spróbować dowiedzieć się czegoś więcej, ale Bailey została na podłodze i narysowała ten obrazek.

Jest na nim kobieta na szczycie góry, patrząca w dal, odwrócona plecami do nas. Gram, Big i ja - wszyscy podpisani - machamy do tej samotnej postaci, stojąc u stóp góry. Pod całym rysunkiem widnieje zielony podpis: "Podróżniczka". Z jakiegoś powodu Bailey nie umieściła na tym obrazku siebie.

Przytulam świętego Antoniego do piersi, przyciskam mocno. Ja go teraz potrzebuję, ale dlaczego potrzebowała go Bailey? Co zgubiła?

Co takiego potrzebowała znaleźć?

*Wkładam jej rzeczy, zapinam jej falbaniasta bluzkę na swojej koszulce.  
Albo owijam jedną, czasem dwie,  
Czasem wszystkie jej gwiazdorskie apaszki na szyi.  
Albo rozbieram się i wkładam jej najseksowniejszą sukienkę przez głowę,  
Pozwalając, by materiał spłynął po mojej skórze jak woda.  
Wtedy zawsze jest mi lepiej.  
Jakby mnie tuliła.  
Potem dotykam wszystkich rzeczy, które nie zmieniły miejsca od jej  
śmierci:  
Zmiętych dolarówek wyciągniętych z przepoconej kieszeni, trzech  
buteleczek perfum, w których już nie zmienia się poziom płynu, sztuki  
Sama Shepherd, Fool for Love,  
Gdzie jej zakładka już nigdy nie przesunie się naprzód.  
Przeczytałam ją za nią już dwa razy i zawsze wsuwam zakładkę z  
powrotem w miejsce, gdzie była –  
Wyc mi się chce,  
Ze ona nigdy się nie dowie,  
Co się stało na końcu.*

*(Znalezione wewnątrz okładki Wichrowych Wzgórz w bibliotece Clover High).*



*Gram spędza wieczor przed Polmatka.*

*Słysze jej płacz – smutny*

*Bezustanny deszcz.*

*Siedze na szczycie schodow, wiem ze dotyka zimnego, plaskiego policzka  
mamy, kiedy mowi: Przepraszam,*

*Tak strasznie cie przepraszam.*

*Mysle cos straszneho.*

*Mysle: I masz za co.*

*Mysle: Jak moglas do tego dopuscic?*

*Jak moglas pozwolic, zeby obie ode mnie odeszly?*

***(Znalezione na ścianie łazienki w Piekarni Cecylii).***

Szkoła skończyła się dwa tygodnie temu. Gram, Big i ja kompletnie pospadaliśmy z drzew i ganiamy po parku -każde w innym kierunku. Przykład A: Gram chodzi za mną po domu z czajnikiem. Czajnik jest pełny. Widzę parę buchającą z dziobka. W drugiej ręce ma dwa kubki. Gram i ja pijałyśmy razem herbatę, przedtem. Siadałyśmy przy kuchennym stole późnym popołudniem i piłyśmy herbatę, i rozmawiałyśmy, zanim reszta wróciła do domu. Ale ja nie chcę już pić herbaty z Gram, bo nie mam ochoty rozmawiać, o czym ona wie, tylko jeszcze się z tym nie pogodziła. Przyszła więc za mną na górę i stoi w drzwiach Świątyni, z czajnikiem w ręce.

Rzucam się na łóżko, biorę książkę, udaję, że czytam.

- Nie chcę herbaty, Gram - mówię, unosząc wzrok znad *Wichrowych Wzgórz*, które, jak teraz zauważyłam, są do góry nogami. Mam nadzieję, że ona tego nie widzi.

Twarz jej obwisa. Spektakularnie.

- Okej. - Stawia kubek na podłodze, napęnia drugi dla siebie, wypija łyk. Widzę, że oparzyła się w język, ale udaje, że wcale nie. - Okej, okej, okej - śpiewa i pije kolejny łyk.

Chodzi tak za mną od zakończenia roku. Zwykle latem jest najbardziej zajęta jako Ogrodowa Guru, ale tym razem zapowiedziała wszystkim swoim klientom, że ma przerwę do jesieni. Więc zamiast robić za Guru, wpada



przypadkiem do Marii, kiedy ja jestem w delikatesach, albo do biblioteki, kiedy mam przerwę, albo lezie za mną do Wąwozu Samobójcy i chodzi w tę i z powrotem po ścieżce, kiedy unoszę się na plecach i pozwalam, żeby moje łzy spływały w wodę.

Ale pora herbaty jest najgorsza.

- Skarbie, to nie jest zdrowe... - Jej głos rozplątał się w znajomą rzekę zmartwienia. Wydaje mi się, że mówi o tym, że jestem odludkiem, ale kiedy na nią zerkam, orientuję się, że chodzi o to drugie. Patrzy na toaletkę Bailey, na porozrzucane papierki po gumach, na szczotkę z pajęczyną czarnych włosów wplecionych w zęby. Widzę, że jej spojrzenie wędruje po pokoju, do sukienek Bailey przerzuconych przez oparcie jej krzesła przy biurku, do ręcznika rzuconego na słupek łóżka, do kosza z praniem, wciąż pełnego jej brudnych ciuchów... - Spakujmy chociaż trochę rzeczy.

- Powiedziałam ci, że to zrobię - szepczę, żeby nie wrzasnąć na całe gardło. - Zrobię to, Gram, jeśli przestaniesz mnie śledzić i dasz mi spokój.

- Okej, Lennie - mówi. Nie muszę na nią patrzeć, by wiedzieć, że ją zraniłam.

Kiedy jednak unoszę wzrok, jej już nie ma. Natychmiast mam ochotę za nią biec, wziąć od niej czajnik, nalać sobie kubek herbaty i usiąść z nią - po prostu wyrzucić z siebie każdą myśl, każde uczucie.

Ale nie robię tego.

Słyszę odkręcany prysznic. Gram spędza teraz strasznie dużo czasu pod prysznicem i wiem, dlaczego to robi: zdaje jej się, że w szumie wody Big i ja nie słyszemy, jak płacze. Słyszemy.

Przykład B: Przekręcam się na plecy i już po chwili trzymam poduszkę w ramionach i całuję powietrze z żenującą namiętnością. No nie, znowu, myślę. Co się ze mną

dzieje? Jaka dziewczyna ma ochotę całować wszystkich chłopaków na pogrzebie albo obmacywać gościa na drzewie, chociaż poprzedniego wieczoru całowała się z chłopakiem swojej (zmarłej) siostry? A skoro już o tym mowa, jaka dziewczyna w ogóle całuje się z chłopakiem swojej siostry?

Dobra, chcę się wypisać z własnego mózgu, bo zupełnie go nie rozumiem. Przedtem ledwo co myślałam o seksie, a już na pewno nic nie robiłam w tym kierunku. Trzech chłopaków na trzech imprezach w ciągu czterech lat: Casey Miller, który smakował hot dogami; Dance Rosencrantz, który grzebał mi pod bluzką, jakby sięgał do pudełka z popcornem w kinie. I Jasper Stolz w ósmej klasie, bo Sarah wciągnęła mnie w grę w butelkę. Za każdym razem uczucie obleśnej kluchy w żołądku. Nic, co przypominałoby Heathcliffa i Cathy, Lady Chatterley i Olivera Mellorsa, pana Darcy'ego i Elizabeth Bennet! Owszem, jeśli chodzi o namiętność, zawsze uznawałam teorię Wielkiego Wybuchu, ale jako coś teoretycznego, coś, co wydarza się w książkach, które można zamknąć i odstawić na półkę, coś, czego być może potajemnie bardzo pragnęłam, ale czego nie wyobrażałam sobie we własnym wykonaniu. Coś, co spotyka amantki takie jak Bailey, egzaltowane dziewczyny w rolach głównych. Ale teraz mi odwaliło i całuję wszystko, co mi podejdzie pod usta: poduszkę, krzesła, futryny, lustra, i zawsze wyobrażam sobie tę jedną osobę, której nie powinnam sobie wyobrażać, osobę, której obiecałam siostrze już nigdy nie całować. Osobę, dzięki której czuję się trochę mniej przerażona.

Drzwi wejściowe zamykają się z trzaskiem, wyrywając mnie z zakazanych objęć Toby'ego.

To Big. Przykład C: Słyszę jego głośnie kroki idące wprost do jadalni, gdzie dwa dni temu zjął pokrowce ze swoich piramid. To zawsze jest zły znak. Zbudował je

wiele lat temu, opierając się na jakichś matematycznych proporcjach, ukrytych w geometrii piramid w Egipcie. (Kto to może wiedzieć? Facet gada z drzewami). Zdaniem Biga jego piramidy, tak jak te egipskie, mają niezwykle właściwości. Zawsze wierzył, że jego repliki będą w stanie przedłużyć świeżość ciętych kwiatów i owoców, a nawet ożywiać martwe robale, i wszystkie te rzeczy układał pod piramidami, prowadząc nieustanne badania. W tych piramidowych okresach on, Bails i ja spędzaliśmy całe godziny, szukając po domu martwych pajaków i much, i każdego ranka pędziliśmy do piramid w nadziei, że będziemy świadkami wskrzeszenia. Nigdy nie byliśmy. Ale ilekroć Big jest poważnie wytracony z równowagi, jego wewnętrzny nekromanta wypływa na światło dzienne, a razem z nim piramidy. Tym razem zajmuje się tym ze zdwojoną energią, jest pewien, że się uda, jest przekonany, że do tej pory ponosił porażkę tylko dlatego, że zapomniał o kluczowym elemencie: cewkach elektrycznych, które teraz umieścił pod każdą z piramid. Chwilę później upalony Big mija moje otwarte drzwi. Pali ostatnio tyle zielska, że kiedy jest w domu, wydaje się unosić nad Gram i nade mną jak ogromny balon - za każdym razem, kiedy się na niego natykam, mam ochotę uwiązać go do krzesła.

Cofa się, na chwilę przystaje w moich drzwiach.

- Jutro dołożę kilka martwych ciem - mówi, jakby kontynuował jakąś naszą rozmowę.

Kiwam głową.

- Dobry pomysł.

Odpowiada kiwnięciem, odpływa do swojego pokoju, i, bardzo prawdopodobne, wyfruwa wprost przez okno.

Oto my. Po dwóch miesiącach z hakiem. Dom Wariatów do Kwadratu.

Następnego ranka - kiedy wykąpana i owinięta w ręczniki Gram przygotowuje popiół na śniadanie, Big omiata belki stropowe w poszukiwaniu martwych ciem do piramid, a ja usiłuję nie całować się z łyżką - rozlega się pukanie do drzwi. Zamieramy w nagłej panice, że ktoś mógłby być świadkiem tego naszego milczącego żałobnego cyrku.

Podchodzę do drzwi na paluszkach, by nie zdradzać, że jesteśmy w domu, i wyglądam przez judasza. To Joe Fontaine, równie ożywiony jak zwykle, jakby frontowe drzwi opowiadały mu dowcipy. W ręce ma gitarę.

- Kryć się - szepczę. Wolę, kiedy faceci siedzą bezpieczni w zakamarkach mojego nienormalnego mózgu, a nie stoją pod drzwiami naszego tonącego domu. Szczególnie ten minstrel. Od zakończenia roku nie wyjęłam nawet klarnetu z futerału. Nie zamierzam chodzić na letnie próby orkiestry.

- Nonsens - mówi Gram, idąc do drzwi w jasnofiole-towej, kąpielowej frotowej sukience i w różowym frotowym turbanie do kompletu. - Kto to jest? - pyta szeptem o sto decybeli głośniejszym niż jej normalny głos.

- To ten nowy chłopak z orkiestry. Nie dam rady go przyjąć. - Macham rękami, próbując zagonić ją do kuchni.

Zapomniałam, jak używać ust do czegokolwiek innego niż całowanie mebli. Nie mam w sobie rozmów. Nie widziałam się z nikim od zakończenia roku, nie chcę, nie oddzwoniłam do Sary, która nabrała zwyczaju pisania mi długich mejli (esejów) o tym, jak to mnie nie osądza za to, co zaszło z Tobym, co jest dla mnie jawnym znakiem, jak bardzo mnie osądza za to, co zaszło z Tobym. Zmykam do kuchni, z powrotem do swojego kąta, modłę się o niewidzialność.

- Proszę, proszę, trubadur - mówi Gram, otwierając drzwi. Najwyraźniej zauważyła mesmeryczne działanie

twarży Joego i z miejsca zaczęła flirtować. - A ja myślałam, że mamy XXI wiek... - Zaczyna mrużyć. Muszę go ratować.

Niechętnie wychodzę z kryjówki i dołączam do hinduskiej uwodzicielki. Przyglądam mu się uważnie. Już zapomniałam, jaki jest świetlisty - jak inny gatunek człowieka, któremu w żyłach zamiast krwi płynie światło. Obraca futerał od gitary jak bąka, rozmawiając z Gram. Nie wygląda, jakby potrzebował ratowania. Wygląda na ubawionego.

- Cześć, John Lennon. - Uśmiecha się do mnie promiennie, jakby nasza sprzeczka na drzewie w ogóle się nie wydarzyła.

Co ty tu robisz? - myślę tak głośno, że zaraz eksploduje mi głowa.

- Nie pokazywałaś się nigdzie - mówi. Na jego twarzy przez moment widać onieśmienie, a ja czuję motyle w żołądku. Uff, chyba powinnam dostać sądowy zakaz zbliżania się do chłopaków, dopóki nie zapanuję nad tym moim nowym, rozbrykanym ciałem.

- Wejdz waćpan - odzywa się Gram, jakby przemawiała do rycerza. -

Właśnie warzę śniadanie. - Joe patrzy na mnie, pyta oczami, czy może.

Gram ciągle gada, idąc do kuchni. - Możesz nam zagrać piosneczkę, rozweselić nas trochę. - Uśmiecham się do niego, bo nie da się inaczej, i zapraszająco kiwam ręką. Kiedy wchodzimy do kuchni, słyszę, jak Gram szepcze do Biga, wciąż tym pseudorycerskim żargonem: - Jak mi Bóg miły, ten uroczy młodzian zatrzepotał na mnie swoimi niezwykle długimi rzesami.

Ostatniego prawdziwego gościa mieliśmy ze dwa tygodnie po pogrzebie, więc teraz nie umiemy się zachować. Wujek Big sfrunął na podłogę i opiera się na szczotce, którą wymiatał trupy. Gram stoi na środku kuchni z łopatką w dłoni i gigantycznym uśmiechem na twarzy. Jestem pewna, że zapomniała, co ma na sobie. A ja sia-

dam sztywna jak kołek na krześle przy stole. Nikt nic nie mówi; wszyscy gapimy się na Joego jak w telewizor, który - przy odrobinie szczęścia - sam się włączy. Włącza się.

- Ten ogród jest obłądny, nigdy nie widziałem takich kwiatów, niektóre z tych róż mogłyby mi uciąć głowę i wstawić sobie do wazonu. - Kręci głową, oszołomiony, i włosy stanowczo za uroczo opadają mu na oczy. - Jak jakiś Eden czy coś.

- W Edenie lepiej uważać, dookoła same pokusy. - Grzmot głosu Biga zaskakuje mnie; ostatnio wujek był moim współnikiem w milczeniu, ku wielkiemu niezadowoleniu Gram. - Wąchanie kwiatów Gram powoduje najróżniejsze schorzenia sercowe.

- Naprawdę? - pyta Joe. - Na przykład jakie?

- Przeróżne. Od zapachu jej róż, na przykład, rozkwita szaleńcza miłość. - Po tych słowach spojrzenie Joego ledwie dostrzegalnie przesuwa się na mnie. Wróc. Czyżby mi się tylko zdawało? Bo teraz jego oczy znów patrzą na Biga, który ciągle mówi. - Wiem to z własnego doświadczenia i pięciu małżeństw. - Szczerzy do Joego zęby. - A tak przy okazji, jestem Big, wujek Lennie. Pewnie jesteś tu nowy, bo wiedziałbyś to wszystko. Wiedziałyby przede wszystkim, że Big jest miejscowym rozpustnikiem. Chodzą plotki, że w porze obiadowej kobiety z całej okolicy pakują kosze piknikowe i wyruszają szukać drzewa, na którym akurat siedzi nasz dendrolog, w nadziei wproszczenia się na lunch do jego ambony wysoko w koronach drzew. Podobno kiedy już zjedzą, ich ubrania sfruwają na dół jak liście.

Patrzę, jak Joe ogląda gigantyczną postać mojego wujka, jego odjechane wąsy. Widocznie podoba mu się to, co widzi, bo jego uśmiech natychmiast rozjaśnia kuchnię o kilka odcieni.

- Fakt, przeprowadziliśmy się tu ledwie dwa miesiące temu z miasta, a przedtem mieszkaliśmy w Paryżu... -Hm. Chyba nie przeczytał ostrzeżenia na drzwiach, że w promieniu kilometra od Gram nie wolno wymawiać słowa Paryż". Teraz już jest za późno. Zaczęła już swoją frankofilską rapsodię, ale wygląda na to, że Joe podziela jej fanatyzm. Lamentuje:

- Rany, gdyby nie ta przeprowadzka...

- Oj tam - przerywa mu Gram, kiwając palcem, jakby go besztala. O nie. Wzięła się pod boki. No i doczekałam się. Mówi śpiwnie: - Gdybym miała kółka na tyłku, byłabym wózkem w hipermarkecie. - Jej standardowa odpowiedź na wszelkie uzalanie się nad sobą. Ja jestem przerażona, ale Joe śmieje się jak wariat.

Gram się zakochała. Nie dziwię się jej. Wzięła go za rękę i niczym kustosz oprowadza po domu, pokazując swoje wiotkie damy, które robią na nim słuszne i autentyczne wrażenie, sądząc po wydawanych przez niego okrzykach. Po francusku, dodam. Skoro zostaliśmy sami, Big wraca do poszukiwań owadziej padliny, a ja zastępuję fantazje o łyżce fantazjami o ustach Joego Fontaine'a. Słyszę tamtych dwoje w salonie i wiem, że stoją przed *Półmatką*, bo każdy, kto wchodzi do domu, reaguje na nią tak samo.

- To jest niesamowite - mówi Joe.

- Hm, tak... to moja córka, Paige. Mama Lennie i Bailey. Nie ma jej od bardzo, bardzo dawna... - Jestem w szoku. Gram nigdy nie mówi o mamie z własnej woli. -Któregoś dnia dokończę ten obraz, nie jest gotowy... -Gram zawsze powtarzała, że go dokończy, kiedy mama wróci i będzie mogła jej pozować.

- Chodźmy jeść. - Słyszę ból w głosie Gram przez trzy ściany.

Nieobecność mamy stała się o wiele bardziej wyrazista od śmierci Bailey. Ciągłe przyłapuję Gram

i Biga, jak gapią się na *Pólmatkę* ze świeżą, niemal desperacką tęsknotą. Dla mnie ta pustka też stała się bardziej wyrazista.

Bails i ja wymyślałyśmy mamę przed snem: wyobrażałyśmy sobie, gdzie jest i co robi. Nie umiem myśleć o mamie bez Bails.

Piszę wiersz na podeszwie buta, kiedy tamci dwoje wracają.

- Zabrakło ci papieru? - pyta Joe.

Stawiam stopę na podłodze. Uch. Co studiujesz, Lennie? Ach tak, debilologię.

Joe siada za stołem, z gracją i wdziękiem mimo długich kończyn; jest jak ośmiornica.

Znów się na niego gapimy, znów nie wiemy, co zrobić z obcym pośród nas. Ale obcy, wygląda na to, czuje się pośród nas całkiem dobrze.

- Co jest tej roślinie? - Wskazuje rozpaczliwą botaniczną Lennie na środku stołu. Wygląda, jakby miała trąd. Wszyscy milkniemy, bo co możemy powiedzieć o moim alter ego?

- To jest Lennie, umiera, i szczerze mówiąc, nie wiemy, jak temu zaradzić

- grzmi w końcu Big i już nie ma odwrotu. Zapada cisza, jakby cała kuchnia zaczerpnęła długi, zażenowany oddech, i w tej samej chwili Gram, Big i ja wymiękamy: Big plaska dłonią w stół i szczeka śmiechem jak pijana foka, Gram opiera się o szafki, rzezi i z trudem chwytą powietrze, a ja siedzę zgięta w pół, usiłując oddychać między niekontrolowanymi spazmami i parsknięciami. Takiego napadu hysterii nie mieliśmy od miesięcy.

- Ciocia Pindzia! Ciocia Pindzia! - kwiczy Gram między atakami śmiechu. Ciocia Pindzia to imię, które Bailey i ja nadałyśmy jej śmiechowi, bo wpada bez zapowiedzi jak szalona krewna, która pojawia się pod drzwiami



z różowymi włosami, walizką pełną balonów i nie zamierza się wynosić.  
Gram sapie:

- O rety, o rety, myślałam, że wyjechała na dobre. Joe całkiem nieźle znosi ten wybuch. Rozparł się na krześle, balansuje na dwóch tylnych nogach; wygląda na ubawionego, jakby patrzył na... cóż, jakby patrzył na trójkę ludzi o złamanym sercach, którym odbija szajba. Wreszcie uspokajam się na tyle, by wyjaśnić mu, że łzami w oczach, wstrząsana resztkami chichotu, historię rośliny. Jeśli do tej pory jeszcze nie pomyślał, że wszedł do miejscowego wariackowa, to teraz już na pewno tak. Ku mojemu zdumieniu nie wymyśla żadnej wymówki i nie ucieka za drzwi, ale przyjmuje tę kłopotliwą sytuację całkiem poważnie, jakby naprawdę przejmował się losem brzydkiego, chorego kwiatka, który już nie odżyje.

Po śniadaniu Joe i ja wychodzimy na werandę, którą wciąż spowija niesamowita poranna mgła. Ledwie siatkowe drzwi zamykają się za nami, mówi:

- Jeden utwór - jakby od naszego spotkania na drzewie upłynęła tylko chwila.

Podchodzę do barierki, opieram się o nią siedzeniem i zakładam ręce na piersi.

- Ty graj. Ja posłucham.

- Nie rozumiem tego - mówi. - O co chodzi?

- Chodzi o to, że nie chcę.

- Ale dlaczego? Ty wybierz. Wszystko jedno co.

- Powiedziałam ci, że nie... Zaczyna się śmiać.

- Jezu, czuję się, jakbym namawiał cię na seks czy coś. - Każda kropla krwi w promieniu dziesięciu kilometrów spływa do moich policzków. -

No przestań. Wiem, że masz ochotę... - żartuje, unosząc brwi jak totalny debil. Tak naprawdę mam ochotę schować się pod werandę, ale

jego gigantyczny uśmiech rozśmiesza mnie. - Założę się, że lubisz Mozarta - mówi, kucając, żeby otworzyć futerał. - Wszyscy klarnciści lubią. - A może jesteś wyznawczynią sakralnej muzyki Bacha? - Spogląda na mnie spod zmrużonych powiek. - Nieee, nie wyglądasz na taką. - Wyjmuje gitarę, siada na brzegu stolika do kawy i kładzie ją sobie na kolanie. - Już wiem. Żadna klarncistka, która ma w sobie trochę życia, nie oprze się cygańskiemu jazzowi. - Gra kilka gorących akordów. - Mam rację? Albo... wiem! - Zaczyna dłonią wybijać rytm na pudle, stopą tupie w podłogę. - Dixieland!

Ten gość jest pijany życiem, myślę; przy nim Kandyd wychodzi na zrzędę. Czy on w ogóle wie, że istnieje śmierć?

- Więc czyj to był pomysł? - pytam go. Przystaje bębnić palcami.

- Jaki pomysł?

- Żebyśmy zagrali razem. Powiedziałaś...

- Ach, to. Marguerite St Denis jest starą przyjaciółką rodziny i szczerze mówiąc, właśnie ją obwiniam za nasze wygnanie tutaj. Być może wspomniała coś, że niejaka Lennie Walker *joue de la clarinette comme un r ve*. - Wywija dłonią w powietrzu jak Marguerite. - *Elle joue à ravir, de merveille*"<sup>1</sup>.

Czuję przyływ czegoś, wszystkiego - paniki, dumy, poczucia winy, mdłości - tak silny, że muszę się przytrzymać barierki. Jestem ciekawa, co jeszcze mu powiedziała.

- *Quelle catastrophe*\*\* - ciągnie Joe. - Bo widzisz, ja myślałem, że jestem jej jedynym uczniem, który gra jak marzenie. - Widocznie mam skołowaną minę, bo

**\* *joue de la clarinette comme un r ve...* (fr.) - gra na klarncie jak marzenie; gra porywająco, zachwycająco.**

**\*\* *quelle catastrophe* (fr.) - co za katastrofa.**

wyjaśnia: - We Francji. Uczyła w konserwatorium, praktycznie co roku w wakacje.

Kiedy przetrawiam fakt, że moja Marguerite jest też Marguerite Joego, widzę, jak Big przetacza się w oknie z miotłą nad głową, znów szukając stworzeń do wskrzeszenia. Joe chyba nie zauważa, i chyba na całe szczęście. Dodaje:

- Żartowałem, oczywiście. Klarnet nigdy nie był moją najmocniejszą stroną.

- Słyszałam co innego - mówię. - Podobno grasz bajecznie".

- Rachel nie ma najlepszego słuchu - stwierdza rzeczowo, bez uszczypliwości. Jej imię zbyt łatwo pada z jego ust, jakby wypowiadał je bez przerwy, pewnie tuż przed pocałunkiem. Czuję, że znów się czerwienię. Patrząc w dół, zaczynam oglądać swoje buty. Co się ze mną dzieje? Seryjnie. On chce tylko, żebyśmy pograli razem jak normalni muzycy.

I nagle słyszę:

- Myślałem o tobie...

Nie mam odwagi na niego spojrzeć, boję się, że tylko mi się przyśniły te słowa, ten słodki, niepewny ton. Ale jeśli tak, to śni mi się ich więcej.

- Myślałem o tym, jaka jesteś potwornie smutna i... Przestał mówić. I co? Unoszę głowę i widzę, że on też ogląda moje buty.

- Okej - mówi, patrząc mi w oczy. - Miałem taką wizję, jak trzymamy się za ręce, gdzieś na Wielkiej Łące czy w podobnym miejscu, i wznosimy się w powietrze.

Wróc - tego się nie spodziewałam, ale mi się podoba.

- A la święty Józef? Kiwa głową.

- Zapaliłem się do tego pomysłu.

- A jak startujemy? - pytam. - Rakietowo?

- Nie no, to takie wzbicie się bez żadnego wysiłku, w stylu Supermana. -  
Unosi jedną rękę, drugą chwyta gitarę i przesuwa do tyłu, żeby  
zademonstrować. - No wiesz.

Wiem. Wiem, że uśmiecham się na sam jego widok. Wiem, że to, co  
przed chwilą powiedział, rozmraża coś we mnie. Wiem, że gruba kurtyna  
mgły wokół werandy ukrywa nas przed światem.

Chcę mu powiedzieć.

- To nie to, że nie chcę grać z tobą - mówię szybko, żeby nie stracić  
odwagi. - Tylko że, no nie wiem, jest inaczej. Granie jest inne. -

Wyduszam resztę. - Nie chciałam być pierwszym klarnetem, nie chciałam  
grać solówek, po prostu nie chciałam. Schrząniłam przesłuchanie...

celowo. - Po raz pierwszy powiedziałam to na głos, komukolwiek, i ulga  
jest wielka jak planeta. Mówię dalej: - Nie cierpię solówek, chociaż ty  
tego pewnie nie rozumiesz. To jest takie... - Macham ręką w powietrzu,  
nie mogę znaleźć słów. Ale nagle celuję palcem w stronę Wąwozu  
Samobójcy. - To jest jak przeskakiwanie z kamienia na kamień w rzece,  
ale w gęstej mgle, i jesteś sam, i każdy krok jest...

- Jest czym?

Nagle dociera do mnie, jak idiotycznie to musi brzmieć. Nie mam pojęcia,  
o czym mówię. Najbledszego pojęcia.

- Nieważne - mówię. Joe wzrusza ramionami.

- Mnóstwo muzyków boi się dać plamę.

Słyszę jednostajny szum rzeki, jakby mgła rozstała się, żeby przepuścić  
dźwięk.

Ale to nie jest tylko trema. Marguerite też tak myślała. Myślała, że  
dlatego zrezygnowałam. Musisz pracować nad nerwami, Lennie, nad  
nerwami" - ale to coś więcej, o wiele więcej. Kiedy gram, czuję się  
skurczona

i ściśnięta, i wystraszona w samej sobie, jak diabełek na sprężynie, tylko bez sprężyny. I tak jest już od ponad roku.

Joe schyla się i zaczyna przeglądać arkusze nutowe w futerale; wiele z nich jest pisanych ręcznie. Mówi:

- Po prostu spróbujmy. Gitara i klarnet to fajny duet, i niedoceniany.

Z całą pewnością nie bierze mojego wielkiego wyznania zbyt poważnie. To jak wreszcie pójść do spowiedzi i przekonać się, że ksiądz ma zatyczki w uszach.

Mówię mu:

- Może kiedyś - więc daje mi spokój.

- Łał. - Szczerzy się w uśmiechu. - Zachęcające.

I nagle czuję się, jakbym zniknęła. On pochyla się nad strunami, zwraca się do swojej gitary z taką namiętną atencją, że czuję niemal, że powinnam odwrócić wzrok, ale nie mogę. Szczerze mówiąc, gapię się na całego, zastanawiając się, jak by to było, być taką fajną i wyluzowaną, i nieustraszoną, i pełną pasji, i tak cholernie żywą jak on - i przez ułamek sekundy chcę z nim zagrać. Chcę spłoszyć ptaki.

Później, kiedy on gra i gra, a mgła się wypala, myślę sobie, że ma rację. To jest właśnie to - jestem potwornie smutna i gdzieś, głęboko w środku, chcę tylko odlecieć.



*Żaloba to dom,  
W którym krzesła zapomniały ,jak nas dzwigac,  
Lustra, jak nas odbijać  
Zaloba to dom, który znika,  
ilekroć ktoś zapuka  
albo zadzwoni do drzwi;  
dom który wzlatuje w powietrze  
przy najłżejszym powiewie  
który wkopuje sie w ziemię,  
kiedy wszyscy śpią.  
Zaloba to dom, gdzie nikt cie nie chroni;  
gdzie młodsza siostra  
będzie starsza od starszej,  
gdzie drzwi już nie wpuszczają  
i nie wypuszczają nikogo.*

***(Znalezione pod kamieniem w ogrodzie Gram).***

Jak zwykle nie mogę spać i siedzę przy biurku Bailey, trzymając świętego Antoniego, przerażona na samą myśl o spakowaniu jej rzeczy. Dzisiaj, kiedy wróciłam z pracy przy lazaniu w delikatesach, przy biurku stały otwarte tekturowe pudła. A ja ciągle nawet nie uchyliłam szuflady. Nie mogę. Za każdym razem, kiedy dotykam drewnianych gałek, myślę o tym, że ona już nigdy nie będzie szukać w tym biurku notatnika, adresu, długopisu, i oddech ucieka z mojego ciała na tę jedną myśl: Bailey leży w pudle bez powietrza...

Nie. Spycham ten obraz do schowka w moim mózgu, kopnięciem zatraskuję drzwi. Zamykam oczy, biorę jeden, dwa, trzy wdechy, i kiedy unoszę powieki, znów patrzę na obrazek Mamy Podróżniczki. Dotykam zwietrzałego papieru, czuję wosk kredki, kiedy wiodę palcem po blaknącej postaci. Czy jej ludzki pierwowzór w ogóle ma pojęcie, że jedna z jej córek umarła w wieku dziewiętnastu lat? Czy poczuła zimny wiatr albo uderzenie gorąca, czy też po prostu jadła śniadanie albo wiązała but, jakby to był jeszcze jeden zwykły moment w jej niezwykłym wędrownym życiu?

Gram powiedziała nam, że mama jest podróżniczką, bo nie wiedziała, jak inaczej wyjaśnić fakt, że mama miała coś, co pokolenia Walkerów nazywają genem włóczykija". Według Gram ten syndrom zawsze dotykał naszą rodzinę, głównie kobiety. Te zarażone nie mogły usiedzieć na miejscu, przenosiły się z miasta do miasta,



z kontynentu na kontynent, od miłości do miłości (to dlatego, tłumaczyła Gram, mama nie miała pojęcia, kim są nasi ojcowie, i my też nie wiedziałyśmy), aż męczyły się życiem i wracały do domu. Gram powiedziała, że ciotka Sylvie i daleka kuzynka Virginia też cierpiały na tę dolegliwość, ale po wielu latach podróży po całym globie, tak jak wszystkie inne przed nimi, odnajdywały drogę do domu.

- Chłopcy tego nie łapią? - spytałam Gram, kiedy miałam dziesięć lat i ta choroba" stawała się dla mnie bardziej zrozumiała. Szłyśmy nad rzekę popływać.

- Oczywiście, że łapią, skarbie. - Ale nagle zatrzymała się, wzięła mnie za rękę i powiedziała tak rzadkim<sup>1</sup> u niej, poważnym tonem: - Nie wiem, czy zrozumiesz to, kiedy będziesz dorosła, Len, ale to jest tak: kiedy mają to mężczyźni, nikt tego nie zauważa, bo zostają astronautami albo pilotami, kartografami, kryminalistami albo poetami. Nie siedzą w jednym miejscu dość długo, by się przekonać, czy spłodzili dzieci. Ale kiedy mają to kobiety, cóż, to jest skomplikowane. Jest po prostu inaczej.

- Dlaczego? - spytałam. - Dlaczego jest inaczej?

- Na przykład, to nie jest typowe, że matka nie odwiedza własnych dzieci przez tyle lat, prawda?

Słuszna uwaga.

- Twoja mama urodziła się taka, dosłownie wyfrunęła z mojego łona prosto w świat. Od pierwszego dnia bez przerwy biegła, biegła, biegła.

- Uciekała przed czymś?

- Nie, skarbie, nigdy przed czymś, zrozum to. -Uścisnęła moją dłoń. - Zawsze uciekała do czegoś.

Do czego? - myślę, wstając od biurka Bailey. Do czego uciekała wtedy?

Do czego ucieka teraz? Do czego uciekała Bailey? A ja?

Podchodzę do okna, odrobinę uchylam zasłonę i widzę Toby'ego siedzącego pod śliwą, pod jasnymi gwiazda-

mi, na zielonej trawie, w świetle. Lucy i Ethel leżą uwalone na jego nogach - to niesamowite, że te psy zjawiają się tylko wtedy, kiedy on tu jest.

Wiem, że powinnam zgasić światło, pójść do łóżka i marzyć o Joem Fontainie, ale robię co innego.

Spotykam się z Tobym pod drzewem i idziemy do lasu, nad rzekę, bez słowa, jakbyśmy planowali to od wielu dni. Lucy i Ethel idą kawalek za nami, ale w końcu, po niezrozumiałej rozmowie z Tobym, zawracają do domu.

Prowadzę podwójne życie: za dnia Lennie Walker, nocą Hester Prynne ze *Szkarłatnej litery*.

Mówię sobie: nie pocałuję go za żadne skarby.

Jest ciepła, bezwietrzna noc, las jest nieruchomy i pusty. Idziemy ręka w rękę, w ciszy, słuchając trylującej piosenki drozda. Nawet w tej księżycowej martwocie Tobo wygląda jak skąpany w słońcu, wysmagany wiatrem, jakby płynął na własnym żaglowcu.

- Wiem, że nie powinienem był przychodzić, Len.

- Pewnie nie.

- Martwiłem się o ciebie - mówi cicho.

- Dzięki - odpowiadam, i ta peleryna niewidka, w której przy wszystkich innych udaję, że jest w porządku, zsuwa się z moich ramion.

Smutek bije od nas falami, kiedy tak idziemy. Prawie spodziewam się, że drzewa zaczną zniżyć gałęzie, gdy je mijamy, że gwiazdy oddadzą nam trochę światła. Wdycham koński zapach eukaliptusów, gęsty, cukrowy aromat sosen, świadoma każdego oddechu i tego, że każdy z nich utrzymuje mnie na świetle kilka sekund dłużej. Czuję na języku słodki smak lata i chcę go tylko łykać, łykać, łykać, wciągać w ciało - w to moje żywe, oddychające, pulsujące krwią ciało.

- Tobo?

- Hm?

- Czy ty też bardziej czujesz życie, od kiedy... - Boję się zadać to pytanie, jakbym przyznawała się do czegoś wstydlwego, ale chcę wiedzieć, czy on też to ma.

Nie waha się.

- Od tamtej pory wszystko bardziej czuję.

Tak, myślę, wszystko bardziej. Jakby ktoś pstryknął jakimś przełącznikiem od świata, i wszystko jest teraz włączone, łącznie ze mną, i wszystkim we mnie, złym i dobrym, wszystko podkrecone na maksa.

Toby chwyta gałązkę, łamie w palcach.

- Ciagle po nocach robię te durne rzeczy na desce -mówi - chore triki, jakie robią tylko największe pojeby, i robiłem to sam... a parę razy totalnie nawalony.

Toby jest jednym z miejscowych skejtów, którzy regularnie i spektakularnie przeczą grawitacji. Jeśli on uważa, że naraża się na niebezpieczeństwo, to znaczy, że włączył mu się totalny kamikaze.

- Ona by tego nie chciała, Toby. - Mój ton brzmi błagalnie, nie mogę się powstrzymać.

Wzdycha sfrustrowany.

- Wiem, przecież wiem. - Przyspiesza kroku, jakby chciał zostawić za sobą to, co mi właśnie powiedział. - Ona by mnie zabiła. - Mówi to z taką stanowczością i pasją, że nie wiem już, czy naprawdę mówi o jeżdżeniu na desce, czy o tym, co zaszło między nami. - Więcej tego nie zrobię - mówi stanowczo.

- Dobrze - odpowiadam, wciąż nie do końca pewna, co miał na myśli, ale jeśli nas, to przecież nie musi się martwić, nie? Nie odsłaniałam okna.

Obiecałam Bailey, że to się już nie powtórzy.

Ale nawet w chwili, kiedy to myślę, piję go oczami. Jego szeroką pierś i mocne ramiona, jego piegi. Przypominam sobie jego wygłodniałe usta na moich, jego wielkie dłonie

w moich włosach, żar krążący w moich żyłach, i że czułam dzięki temu...

- To po prostu strasznie lekkomyślne... - mówi.

- Tak - odpowiadam, trochę za bardzo ochryple.

- Len?

Potrzebuję soli trzeźwiących.

Patrzy na mnie dziwnie, ale chyba widzi w moich oczach, co mi chodzi po głowie, bo jego oczy jakby rozszerzają się i lśnią. Błyskawicznie odwraca wzrok.

Weź się w garść, Lennie.

Potem znów idziemy w milczeniu przez las, i to otrzeźwia mnie z tego amoku. Gwiazdy i księżyc prawie całkiem kryją się za gęstymi koronami drzew i czuję się, jakbym pływała w ciemności, moje ciało przełamuje powietrze, jakby to była woda. Słyszę szum rzeki, coraz głośniejszy z każdym krokiem, i ten szum przypomina mi o Bailey, dzień po dniu, rok po roku, my dwie na tej ścieżce, pogrążone w rozmowie, skok do rozlewiska, a potem wylegiwanie się bez końca na kamieniach, w słońcu...

Szepczę:

- Czuję się porzucona.

- Ja też... - Głos mu się łamie. Nie mówi nic więcej, nie patrzy na mnie; bierze mnie tylko za rękę i trzyma ją, nie puszcza, kiedy korony nad nami gęstnieją, kiedy tak wbijamy się coraz dalej, w coraz głębszą ciemność.

Mówię cicho:

- Mam straszne wyrzuty sumienia. - Prawie mam nadzieję, że noc wessie moje słowa, zanim Tobie je usłyszysz.

- Ja też - odpowiada szeptem.

- Ale przez coś jeszcze, Tobie...

- Przez co?

Otoczona tą całą ciemnością, z dłonią w dłoni Toby'ego, czuję, że mogę to powiedzieć.

- Mam wyrzuty sumienia, że ja ciągle tu jestem...

- Nie. Proszę cię, Len.
- Ale ona zawsze była o tyle bardziej... bardziej...
- Nie. - Nie pozwala mi dokończyć. - Nie chciałyby, żebyś się tak czuła.
- Wiem.

I nagle wywalam z siebie to, o czym zabraniam sobie nawet myśleć, a co dopiero mówić:

- Ona jest w trumnie, Toby! - Mówię to bardzo głośno, praktycznie wrzeszczę, mdli mnie od tych słów, czuję się klaustrofobicznie, jakbym potrzebowała wyskoczyć z własnej skóry.

Słyszę, jak wciąga powietrze. Kiedy się odzywa, jego głos jest tak słaby, że niemal zagłuszają go nasze kroki.

- Nieprawda.

Ja też to wiem. Wiem jedno i drugie jednocześnie.

Toby mocniej ściska moją dłoń.

Kiedy już jesteśmy w Wąwozie Samobójcy, niebo zalewa nas przez dziurę w koronach drzew. Siadamy na płaskiej skale i księżyc w pełni lśni tak jasno na rzece, że woda wygląda jak czyste, płynne światło.

- Jak świat może tak błyszczeć po tym, co się stało? -mówię, kładąc się pod niebem pijanym od gwiazd.

Toby nie odpowiada; kręci tylko głową i kładzie się obok mnie, tak blisko, że mógłby mnie objąć, a ja mogłabym położyć głowę na jego piersi, gdyby to zrobił. Ale nie robi tego, i ja nie robię.

Wtedy zaczyna mówić, jego miękkie słowa wsiąkają w noc jak dym.

Mówi o tym, że Bailey chciała mieć ślub tutaj, w Wąwozie Sambójcy, żeby mogli skoczyć do rozlewiska, kiedy już wypowiedzą przysięgę.

Opieram się na łokciach i widzę to tak wyraźnie w świetle księżycyca, jakbyśmy oglądali film; widzę Bailey w przemoczonej, wściekle pomarańczowej sukni ślubnej, jak śmieje się i prowadzi orszak ścieżką z powrotem do domu, a jej beztroska

uroda jest tak potężna, że musi iść kilka kroków przed nią, zapowiadając swoje nadejście. Na tym filmie ze słów Toby'ego widzę, jaka byłaby szczęśliwa, i nagle myślę, że nie wiem, gdzie to całe szczęście, i jej, i nasze, się teraz podzieje, i zaczynam płakać, i nagle twarz Toby'ego jest nad moją, i jego łzy spadają na moje policzki, aż nie wiem już, czyje są czyje, wiem tylko, że całe to szczęście przepadło i że znów się całujemy.

*Kiedy jestem z nim,  
Ktos jest ze mna w moim domu zaloby,  
Ktos, kto zna jego rozklad tak dobrze jak ja,  
Kto moze chodzic ze mna z pokoju do pokoju smutku  
i dzieki niemu cala  
ta budowla z wiatru i prozni  
nie jest tak przerazajaca,  
tak pusta  
jak przedtem*

*(Znalezione na gałęzi drzewa przed Clover High).*





Joe Fontaine puka do drzwi. Leżę w łóżku i myślę o przewodniczce na Antarktydę, żeby uciec od tego koszmarnego zamieszania z Tobym. Podpieram się na łokciu i wyglądam przez okno we wczesne, blade światło.

Joe jest naszym kogutem. Każdego ranka od jego pierwszej wizyty sprzed półtora tygodnia przychodzi o świcie ze swoją gitarą, torbą czekoladowych croissantów z piekarni i garścią martwych owadów dla Biga. Jeśli jeszcze leżymy w łóżkach, sam się wpuszcza, zaparza dzbanek kawy gęstej jak smoła i siada przy kuchennym stole, brzdąkając melancholijne akordy. Od czasu do czasu pyta mnie, czy mam ochotę zagrać, na co odpowiadam nie", na co on odpowiada okej". Uprzejmy impas. Nie wspomniał więcej o Rachel, i bardzo dobrze.

Najdziwniejsze w tym wszystkim jest to, że to wcale nie jest dziwne dla żadnego z nas. Nawet Big, który nie jest rannym ptaszkiem, człapie na dół po schodach w swoich kapciach, wita się z Joem żywiołowym klepaniem po plecach i po skontrolowaniu piramid (już skontrolowanych przez Joego) przechodzi z miejsca do rozmowy z poprzedniego dnia, o swojej obsesji *du jour*\*: wybuchowych tortów.

Big usłyszał, gdzieś, że pewna kobieta w Idaho piekła urodzinowy tort dla męża i mąka uległa samozapłonowi.

\* *du jour* (fr.) - dnia.

Mieli tam akurat suszę, więc w powietrzu było dużo ładunków statycznych. Kobiętę otaczała chmura mąki i eksplodowała pod wpływem statycznego ładunku w jej dłoni: niezamierzona mączna bomba. Teraz Big próbuje zwerbować Joego, by odtworzył z nim ten wypadek dla dobra nauki. Gram i ja jesteśmy temu absolutnie przeciwne, z oczywistych powodów.

- Mieliśmy już wystarczającą katastrofę, Big - powiedziała wczoraj Gram, sprzeciwiając się stanowczo. Myślę, że ta ilość trawki, którą wypala Big, sprawia, że cała idea wybuchowego tortu wydaje mu się o wiele bardziej zabawna i fascynująca, niż jest naprawdę, ale jakimś cudem Joe jest równie podekscytowany tym pomysłem.

Jest niedziela i za parę godzin muszę być w delikatesach. Kiedy schodzę na dół, w kuchni toczy się już życie.

- Dzień dobry, John Lennon - mówi Joe, odrywając oczy od strun i posyłając mi oszałamiający uśmiech; chyba jestem nienormalna, że całuję się z Tobym, Tobym mojej siostry. Uśmiecham się do jasna kobyła niewiarykurnagodnego Joego Fontaine'a, który wprowadził się do naszej kuchni. To wszystko jest takie pokręcone - chłopak, z którym powinnam się całować, zachowuje się jak brat, a chłopak, który powinien się zachowywać jak brat, ciągle mnie całuje. Jessu.

- Hej, John Lennon - powtarza jak echo Gram. Niewiarygodne. To nie może być zaraźliwe.

- Tylko Joe może mnie tak nazywać - burczę na nią.

- John Lennon! - Big wpada do kuchni, porywa mnie w ramiona i obtańcowuje ze mną pomieszczenie. - Jak tam dzisiaj moja dziewczynka?

- Dlaczego wszyscy są w takich świetnych humorach? - Czuję się jak Scrooge.

- Ja wcale nie jestem w świetnym humorze - mówi Gram, uśmiechając się od ucha do ucha, jakby była spo-

krewniona z Joem. Zauważam też, że jej włosy są suche. Dziś widać obeszło się bez płacznego prysznic. Nowość. - Wczoraj wieczorem wpadłam na pewien pomysł. To niespodzianka. - Joe i Big spoglądają na mnie i wzruszają ramionami. Pomysły Gram często konkurują z pomysłami Biga, jeśli chodzi o dziwaczność, ale wątpię, żeby ten miał coś wspólnego z wybuchami czy nekromancją.

- My też nie wiemy, o co chodzi, kotku - grzmi Big barytonem stanowczo za mocnym na ósmą rano. - A kolejna sensacyjna wiadomość jest taka, że Joe miał dziś rano objawienie: wstawił roślinę Lennie pod jedną z piramid. Nie do wiary, że ja nigdy na to nie wpadłem. - Big nie posiada się z podniecenia, uśmiecha się do Joego jak dumny ojciec. A ja zastanawiam się, jakim cudem Joe tak się wślizgnął w nasze życie; może dlatego, że nigdy jej nie znał, nie ma ani jednego wspomnienia o niej, jest częścią jakiegoś świata, w którym nie ma naszych złamanych serc...

Dzwoni moja komórka. Patrzę na wyświetlacz. Toby. Pozwalam, żeby włączyła się poczta głosowa, i czuję się jak najgorszy człowiek na świecie, bo już sam widok jego imienia przypomina mi zeszłą noc i mój żołądek ściska seria skurczów. Jak mogłam do tego dopuścić?

Unoszę głowę; wszyscy patrzą na mnie, dziwiąc się, że nie odebrałam. Muszę wyjść z tej kuchni.

- Chcesz zagrać, Joe? - mówię i ruszam na górę po klarnet.

- Jasna cholera - słyszę, a potem przeprosiny pod adresem Gram i Biga. Kiedy znów jesteśmy na werandzie, proponuję:

- Ty zacznij, ja się przyłączę.

Kiwa głową i zaczyna grać jakieś słodkie, miękkie akordy w g-moll. Ale ja jestem zbyt zdenerwowana na słodkie, zbyt zdenerwowana na miękkie. Nie mogę się otrząsnąć z tego telefonu Toby'ego, z jego pocałunków. Nie mogę

się otrząsnąć z kartonowych pudeł, perfum, których nikt nie używa, zakładek, które nie zmieniają miejsca, figurek świętego Antoniego, które zmieniają. Nie mogę się otrząsnąć z tego, że Bailey w wieku jedenastu lat nie umieściła siebie na rysunku naszej rodziny, i nagle jestem tak zrozpaczona, że zapominam, że gram jakąś muzykę, że Joe w ogóle siedzi obok mnie.

Zaczynam myśleć o wszystkim, czego nie powiedziałam od śmierci Bailey, o wszystkich słowach, schowanych głęboko w moim sercu, w naszej pomarańczowej sypialni, o wszystkich słowach na całym świecie, które nie zostały wypowiedziane po czyjejs śmierci, bo są za smutne, zbyt wściekłe, zbyt zdruzgotane, zbyt zawstydzone, żeby wyjść - i one wszystkie zaczynają krążyć we mnie jak oszalała rzeka. Nabieram tyle powietrza, ile mogę, aż pewnie w całym Clover zaczyna go brakować dla wszystkich innych, a potem wydmuchuję je w klarnet, wydobywając jedną, wariacką, beczącą, huraganową nutę. Nie wiem, czy klarnet wydał kiedykolwiek tak przerażający dźwięk, ale nie mogę przestać, wyrywają się ze mnie wszystkie te lata - Bailey i ja nad rzeką, nad oceanem, ciepło opatulone w naszym pokoju, na tylnych siedzeniach samochodów, w wannie, biegnące pośród drzew, pośród dni i nocy, i miesiący, i lat bez mamy - roztrzaskuję okna, przebijam się przez ściany, spalam przeszłość, zrzucam z siebie Toby'ego, biorę tę głupią roślinę Lennie i ciskam ją w morze...

Otwieram oczy. Joe gapi się na mnie, osłupiały. Psy sąsiada szczekają.  
- Kurde, następnym razem to chyba ja się przyłączę do ciebie - mówi.

*Wiele dni podejmowałam decyzje.  
Wybrałam sukienkę, która Bailey będzie nosić już zawsze –  
ta czarna, seksowna – nieodpowiednia – która uwielbiała.  
Wybrałam sweter do sukienki, kolczyki, bransoletkę, wisiołek, jej  
ukochane sandały z pasków.  
Zebrałam jej cienie, tusze, szminki i dałam przedsiębiorcy pogrzebowemu  
z najnowszym zdjęciem – myślałam, że to ja ja będę ubierać.  
Nie podobało mi się, że obcy mężczyzna zobaczy ją nago, będzie dotykał  
jej ciała, golił jej nogi, szminkował usta, ale właśnie tak się stało.  
Pomagałam Gram wybrać trumnę, działkę na cmentarzu. Zmieniłam  
kilka wersów w nekrologu, który ułożył Big.  
Napisałam na kartce, co moim zdaniem powinno się znaleźć na nagrobku.  
Zrobiłam towszystko bez jednego słowa. Ani słowa, przez wiele dni, aż  
zobaczyłam Bailey przed pogrzebem i straciłam zmysły.  
Nie wiedziałam, że gdy ludzie mówią, że taki-a-taki pekl, to się stało  
naprawdę – zaczęłam nią potrząsać – myślałam, że ja obudzę i kaze jej  
wstawac z tej cholernej skrzyni.  
Kiedy się nie zbudziła, wrzasnęłam: **POWIEDZ COS!**  
Big porwał mnie na ręce, wyniósł z Sali, z kościoła, w ulewny deszcz, aż  
nad strumień, gdzie szlochaliśmy razem pod czarnym płaszczem, którym  
nas osłonił od pogody.*

*(Znalezione na zmiętym kawałku papieru nutowego, u wylotu leśnej  
ścieżki).*



Szkoda, że nie mam ze sobą klarnetu, myślę, wracając do domu z delikatesów. Gdybym miała, poszłabym prosto do lasu, gdzie nikt by mnie nie słyszał, i dałabym plamę, jak dzisiaj rano, na werandzie. Graj muzykę, nie obsługuj instrument", mawiała zawsze Marguerite. A pan James: Niech instrument gra na tobie". Nigdy nie rozumiałam żadnej z tych wskazówek, aż do dzisiaj. Zawsze wyobrażałam sobie muzykę uwięzioną w klarnecie, a nie we mnie. Ale co, jeśli muzyka ucieka, kiedy pęka serce?

Skrećam w naszą ulicę i widzę wujka Biga czytającego na drodze; potyka się o swoje gigantyczne stopy, pozdrawia ulubione drzewa, mijając je. Nic niezwykłego, nie licząc latających owoców. Co roku jest kilka takich tygodni, kiedy, w sprzyjających okolicznościach - jak odpowiedni wiatr, wyjątkowo ciężkie owoce - śliwy wokół naszego domu stają się agresywne i używają nas jako tarcz strzelniczych.

Big macha ręką ze wschodu na zachód w entuzjastycznym powitaniu i o włos unika trafienia śliwką w głowę.

Salutuję mu, a kiedy jest już dość blisko, na powitanie podkręcam mu wąsy, wywoskowane i wyczesane do połysku - najbardziej eleganckie (czytaj: najbardziej pojechane) jakie widziałam od jakiegoś czasu.

- Masz gościa - mówi, puszczając do mnie oczko. Po czym wtyka nos z powrotem w książkę i podejmuje swój spacer. Wiem, że chodzi mu o Joego, ale myślę o Sarze

i żołądek mi się lekko skręca. Przysłała mi dzisiaj SMS: Zginęła mi przyjaźń. Wysyłam ekipę poszukiwawczą". Nie odpisałam. Ja też nie wiem, gdzie szukać naszej przyjaźni. Po chwili słyszę Biga:

- A, Len, dzwonił Toby, chce, żebyś jak najszybciej oddzwoniła.

Na moją komórkę też dzwonił, kiedy byłam w pracy. Nie odsłuchiłam poczty głosowej. Powtarzam sobie przysięgę, którą powtarzałam cały dzień, że już nigdy nie zobaczę się z Tobym Shawem, a potem błagam moją siostrę o jakiś znak, że mi przebacza - i nie musisz być subtelna, Bails, może być trzęsienie ziemi.

Kiedy się zbliżam, widzę, że dom jest wynicowany na lewą stronę - w ogródku od frontu leżą sterty książek, meble, maski, garnki i patelnie, pudła, antyki, obrazy, talerze, bibeloty - a potem dostrzegam Joego i kogoś, kto wygląda zupełnie jak on, tyle że jest szerszy i jeszcze wyższy od niego. Wynoszą z domu kanapę.

- Gdzie to postawić, Gram? - pyta Joe, jakby to była najzwyklejsza rzecz na świecie, wynosić kanapę na dwór. To pewnie ta jej niespodzianka.

Wyprowadzamy się do ogródka. Super.

- Gdziekolwiek, chłopcy - mówi Gram, i dostrzega mnie. - Lennie. -

Podchodzi tanecznym krokiem. - Zamierzam się dowiedzieć, co powoduje tego koszmarne pecha - mówi. - Właśnie to mi przyszło do głowy tej nocy. Wyniesiemy z domu wszystkie podejrzane rzeczy, odprawimy rytuał, okadzimy dom szałwią, a potem dopilnujemy, żeby nic pechowego nie wróciło do środka. Joe był tak miły, że przyprowadził do pomocy swojego starszego brata.

- Hm... - mrużę, bo nie wiem, co innego mam powiedzieć. Chciałabym widzieć minę Joego, kiedy Gram bardzo rzeczowo wyjaśniała mu ten nedorzeczny pomysł.



Kiedy się jej urywam, Joe dosłownie galopuje do mnie. Co za dołujący facet.

- Ot, kolejny zwykły dzień w wariatkowie, co? - zagajam.

- Tak naprawdę to nie rozumiem tylko - mówi, kładąc palec na skroni jak stary profesor - jak Gram ocenia, co jest pechowe, a co nie. Jeszcze tego nie rozpracowałem. - Jestem pod wrażeniem, jak szybko pojął, że kiedy Gram ponosi wyobraźnia, nie ma innego wyjścia, jak ucześć się spódnicy i lecieć razem z nią.

Podchodzi jego brat, kładzie luzacko rękę na ramieniu Joego i natychmiast przemienia go w młodszego brata - nóż w moim sercu tnie gładko i nagle - ja nie jestem już młodszą siostrą. Nie jestem już siostrą, kropka.

Joe ledwie maskuje swoje uwielbienie, i to mnie poraża. Byłam taka sama: kiedy przedstawiałam Bailey, czułam się, jakbym prezentowała najbardziej wypasione dzieło sztuki na świecie.

- Marcus przyjechał na lato, studiuje na UCLA\*. On i nasz najstarszy brat grają tam w zespole. - Bracia, bracia i bracia.

- Cześć - mówię do kolejnego rozpromienionego gościa. Z całą pewnością *chez Fontaine\*\** nie potrzeba żarówek.

- Słyszałem, że odlatowo grasz na klarnecie - odzywa się Marcus.

Rumienię się na to, na co z kolei rumieni się Joe, na co Marcus się śmieje i wali go pięścią w ramię. Słyszę, jak szepcze: - Oj, Joe, ale cię wzięło. - Wtedy Joe rumieni się jeszcze mocniej, o ile to możliwe, i idzie do domu po lampę.

Zastanawiam się, dlaczego Joe - skoro go tak wzięło - w ogóle do mnie nie startuje, nawet nie sugeruje

**\* Uniwersytet Kalifornijski w Los Angeles.**

**\*\* *chez Fontaine* (fr.) - u Fontaine'ów.**

startowania. Wiem, wiem, jestem feministką, sama mogłabym wystartować, ale: a) nigdy w życiu do nikogo nie startowałam i nie mam techniki b) byłam troszeczkę zajęta moją zgubioną piątą klepką i c) Rachel; no owszem, wiem, on spędza poranki w naszym domu, ale skąd mogę wiedzieć, że u niej nie spędza wieczorów?

Gram odbiło na punkcie chłopców Fontaine. Fruwa po ogródku, w kółko im powtarza, jacy są przystojni, pyta, czy rodzice nigdy nie chcieli ich sprzedać.

- Pewnie nieźle by na was zarobili. To wstyd, żeby chłopcy mieli takie rzesy. Nie uważasz, Lennie? Nie zabiłabyś za takie rzesy? - Boże, pod ziemię się zapadnę, chociaż z tymi rzesami to ma rację. Marcus też nie mruga; obaj trzepoczą.

Gram posyła Joego i Marcusa do domu po trzeciego brata, przekonana, że wszyscy bracia Fontaine'owie powinni być przy rytuale. Jest jasne, że i Marcus, i Joe ulegli jej czarom. Pewnie dałaby radę ich namówić, żeby obrobili dla niej bank.

- Przynieście instrumenty! - woła za nimi. - Ty też, Lennie.

Spełniam polecenie i biorę klarnet spod drzewa, pod którym leży razem z resztą mojego ziemskiego dobytku. Potem Gram i ja zabieramy parę garnków, które uznała za szczęśliwe, z powrotem do domu, żeby ugotować kolację. Ona przygotowuje kurczaka, ja kroję ziemniaki na ćwiartki i przyprawiam je czosnkiem oraz rozmarynem. Kiedy wszystko się już piecze, wychodzimy na dwór, żeby pozbierać trochę śliwek na placek. Ona wałkuje ciasto na tartę, a ja kroję pomidory i awokado na sałatkę. Za każdym razem, kiedy mnie mija, głaszcze mnie po głowie albo ściska moje ramię.

- Miło znowu razem gotować, prawda, skarbie? Uśmiecham się do niej.

- Miło, Gram. - A w każdym razie było miło, bo teraz znów patrzy na mnie tym swoim wzrokiem pod tytułem porozmawiaj-ze-mną-Lennie. Zaraz zaczną się przemowy.

- Lennie, martwię się o ciebie. - No i proszę.

- Nic mi nie jest.

- To już naprawdę pora. Przynajmniej posprzątaj, upierz jej rzeczy albo pozwól, żebym ja to zrobiła. Mogę to zrobić, kiedy będziesz w pracy.

- Sama to zrobię - mówię jak zawsze. I zrobię, tylko nie wiem kiedy.

Gram garbi się teatralnie.

- Pomyślałam, że w przyszłym tygodniu mogłybyśmy na cały dzień pojechać do miasta, pójść na lunch...

- Nie trzeba.

Spuszczam oczy, zajmuję się sałatką. Nie chcę widzieć jej rozczarowania. Wydaje z siebie to swoje potężne, głośnie, samotne westchnienie i wraca do tarty. Telepatycznie mówię jej, że przepraszam. Mówię, że teraz po prostu nie mogę się jej zwierzać, mówię, że te trzy kroki między nami są dla mnie jak trzy lata świetlne i nie wiem, jak je pokonać.

Ona odpowiada mi telepatycznie, że łamię jej złamane serce.

Chłopcy po powrocie przedstawiają nam najstarszego Fontaine'a, który też przyjechał na lato z Los Angeles.

- To jest Doug - mówi Marcus, w tej samej chwili, kiedy Joe mówi: - To jest Fred.

- Rodzice nie mogli się zdecydować - wyjaśnia najnowszy Fontaine. Ten już totalnie wygląda na obłąkanego z radości życia. Gram ma rację, powinniśmy ich sprzedać.

- Kłamie - wtrąca Marcus. - W ogólniaku Fred chciał być wyrafinowany, więc zadawał się z całą masą Francuzek. Uznał, że Fred jest za bardzo niecywilizowane

i flintstonowate, więc postanowił używać drugiego imienia, Doug. Ale Joe i ja jakoś nie mogliśmy się przyzwyczaić.

- Więc teraz wszyscy, na dwóch kontynentach, mówią na niego Doug-Fred. - Joe stuka brata pięścią w klatę, co prowokuje kontratak w postaci kilku dziabnięć palcem w żebra. Chłopcy Fontaine są jak miot ogromnych szczeniaków, które ganiają i tłuką się łapami, szamoczą się ze sobą, jeden wielki wir nieustannego ruchu i żarliwego uczucia.

Wiem, że to małoduszne, ale kiedy patrzę na nich, jacy są zżyci, czuję się samotna jak księżyc. Myślę o tym, jak Toby i ja trzymaliśmy się w ciemności za ręce ostatniej nocy, jak całowaliśmy się nad rzeką; przy nim czułam, że mój smutek ma jakieś miejsce na świecie.

Jemy porozwalani na naszych nowych ogrodowych meblach. Wiatr trochę ucichł, więc nie bombardują nas owoce. Kurczak smakuje jak kurczak, śliwkowe ciasto jak śliwkowe ciasto. To za wcześnie, żeby w jedzeniu nie było ani odrobiny popiołu.

Zachód słońca rozciapuje po niebie róże i oranże, zmrok zaczyna swoją leniwą letnią przechadzkę. Słyszę rzekę między drzewami, może warto by...

Ona nigdy nie pozna Fontaine'ów.

Ona nigdy nie usłyszy o tej kolacji ani spacerze nad rzekę.

Ona nie wróci rano ani we wtorek, ani za trzy miesiące.

Ona nie wróci już nigdy.

Odeszła, a świat wlecze się bez niej...

Nie mogę oddychać ani myśleć, ani siedzieć choćby minuty dłużej.

Próbuję powiedzieć: "Zaraz wracam" - ale nic nie wychodzi z mojego gardła, więc tylko odwracam się od ogródka pełnego zatroskanych twarzy i szybko idę do linii drzew. Kiedy docieram na ścieżkę, ruszam biegiem, próbując prześcignąć ból, który mnie goni.

Jestem pewna, że Gram albo Big pójdą za mną, ale nie robią tego. Robi to Joe. Jestem zdyszana i piszę na kawałku papieru, który znalazłam na ścieżce, kiedy do mnie podchodzi. Chowam list za kamień, próbuję otrzeć łzy.

Pierwszy raz widzę go bez uśmiechu ukrytego gdzieś w twarzy.

- Dobrze się czujesz? - pyta.

- Ty jej w ogóle nie znałeś. - Słowa wypadają z moich ust, ostre i oskarżycielskie, zanim udaje mi się je powstrzymać. Widzę zaskoczenie na jego twarzy.

- Nie.

Nie mówi nic więcej, ale ja, wariatka, nie mogę się zamknąć.

- I masz tych wszystkich braci. - Mówię to, jakby to była zbrodnia.

- Mam.

- Po prostu nie wiem, dlaczego bez przerwy u nas przesiadujesz. - Czuję, że twarz mi zaczyna płonąć, wstyd pełnie jak wąż po moim ciele; prawdziwe pytanie brzmi, dlaczego ja brnę w to dalej z uporem maniaczki.

- Nie wiesz? - Jego oczy błędzą po mojej twarzy, a w końcu kąćki jego ust zaczynają się podwijać do góry. - Helou, podobasz mi się, Lennie. - Patrzy na mnie, jakby uszom nie wierzył. - Uważam, że jesteś niesamowita... - Dlaczego tak uważa? Bailey jest niesamowita, i Gram, i Big, i oczywiście mama, ale nie ja, ja jestem jedyną dwuwymiarową postacią w rodzinie 3D.

Teraz już szczerzy się na całego.

- Uważam też, że jesteś bardzo ładna, a ja jestem nieprawdopodobnie płytkim facetem.

Napada mnie straszna myśl: on uważa, że jestem ładna, że jestem niesamowita, tylko dlatego, że nigdy nie poznał Bailey - a po niej następna, potworna, przerażająca:

cieszę się, że jej nigdy nie poznał. Potrząsam głową, próbuję to wymazać jak ze znikopisu.

- Co? - Sięga do mojej twarzy, powoli przeciąga kciukiem po policzku. Jego dotyk jest tak czuły, że mnie przeraża. Nikt nigdy nie dotykał mnie w ten sposób, nie patrzył na mnie tak, jak on patrzy teraz, zagładając głęboko we mnie. Chcę jednocześnie schować się przed nim i go pocałować.

I nagle: rzęsy. Znow trzepoczą. Wsiąkłłam.

Zdaje się, że okres udawania brata dobiegł końca.

- Mogę? - pyta, sięgając do gumki na moim kucyku. Kiwam głową.

Bardzo powoli ściąga gumkę, przez cały czas patrząc mi w oczy. Jestem zahipnotyzowana. Zupełnie jakby rozpinał mi bluzkę. Kiedy jest po wszystkim, lekko potrząsam głową i moje włosy jak sprężyny wracają do swojego zwykłego, obłąkańczego stanu.

- Rany - mówi cicho. - Chciałem to zrobić od... Słyszę nasze oddechy.

Myślę, że słyszą je też ludzie w Nowym Jorku.

- A co z Rachel? - pytam.

- Niby co?

- Ty i ona?

- Ty - odpowiada. Ja! Mówię:

- Przepraszam za to wszystko, co powiedziałam, zanim...

Kręci głową, jakby to nie miało znaczenia, i nagle, ku mojemu zaskoczeniu, nie całuje mnie, ale bierze w ramiona. Przez chwilę, w jego objęciach, z mózgiem tak blisko jego serca, słucham, jak wiatr się wzmaga, i myślę, że mógłby porwać nas z ziemi i zabrać ze sobą.



Suche, gałęzie starodrzewu skrzypią i piszczą niesamowicie nad naszymi głowami.

- Halo. A to co? - pyta Joe, odsuwając się nagle ode mnie. Spogląda w górę, potem przez ramię.

- Co? - pytam, zawstydzona tym, jak bardzo chciałabym ciągle czuć jego rękę. Próbuję zbyć to żartem. - Jessu, ty to potrafisz zepsuć chwilę. Nie pamiętasz? Ja tu mam kryzys?

- Myślę, że miałaś już dość odpałów jak na jeden dzień - mówi, uśmiechając się i kręcąc palcem na skroni, żeby podkreślić, jaką jestem wariatką. Wybucham głośnym śmiechem. On znów się rozgląda w lekkiej panice. -Serio, co to było?

- Boisz się wielkiego, czarnego lasu, mieszczechu?

- Oczywiście, że się boję, jak większość zdrowych na umyśle ludzi.

Pamiętasz lwy i tygrysy, i niedźwiedzie, o rety? - Zahacza palec o moją szlufkę i zaczyna mnie holować do domu, ale nagle się zatrzymuje. - To, teraz. Ten upiorny dźwięk z horroru, który słyhać, tuż zanim wyskoczy na nas morderca z siekierą.

- To skrzypienie suchych odrostów. Kiedy naprawdę mocno wieje, odgłos jest taki, jakby ktoś jednocześnie otwierał i zamykał setki drzwi, coś potwornego. Nie sądzę, żebyś to wytrzymał.

Obejmuje mnie ramieniem.



- Wyzwanie? Więc umawiamy się na najbliższy wietrzny dzień. -

Wskazuje na siebie: - Jaś - i na mnie: -Małgosia.

Tuż przed wyjściem na otwartą przestrzeń mówię:

- Dzięki, że za mną poszedłeś i... - Chcę mu podziękować, że spędził cały dzień, nosząc meble dla Gram, że przychodzi każdego ranka z martwymi robalami dla Biga, że jakimś cudem jest przy nich, kiedy ja nie mogę. Ale mówię tylko: - Strasznie mi się podoba, jak grasz. - To też prawda.

- I nawzajem.

- Daj spokój. To nie było granie. To było beczenie. Totalny blamaż. Śmieje się.

- Coś ty. Warto było poczekać. To mi tylko potwierdziło, że gdyby ktoś mi kazał wybierać, wolałbym stracić mowę niż możliwość grania. To o wiele bardziej wyrafinowany środek przekazu.

Blamaż nie blamaż, z tym się akurat zgadzam. Moje dzisiejsze granie było jak szukanie alfabetu - jak nakręcanie sprężyny. Joe przyciąga mnie jeszcze bliżej i coś zaczyna wzbierać we mnie, coś, co podejrzenie przypomina radość.

Staram się ignorować uparty głos w głowie: Jak śmiesz, Lennie? Jak śmiesz czuć radość tak szybko?

Kiedy wychodzimy z lasu, dostrzegam pikapa Toby'ego, zaparkowanego przed domem, i na ten widok moje kości natychmiast zmieniają się w galaretę. Zwalniam kroku, odsuwam się od Joego, który patrzy na mnie pytająco. Widocznie Gram zaprosiła Toby'ego, żeby wziął udział w rytuale. Zastanawiam się, czy nie udać kolejnego odpału i nie uciec z powrotem do lasu, żeby nie być w jednym pomieszczeniu z Tobym i Joem, ale nie jestem aktorką i wiem, że to by nie przeszło. Żołądek

mi się wywraca, kiedy wchodzimy po schodkach, mijamy Lucy i Ethel, które oczywiście leżą rozwalone na werandzie, czekając na Toby'ego, i które oczywiście nie ruszają nawet ogonem, kiedy je mijamy. Otwieramy drzwi, mijamy przedpokój i wchodzimy do salonu. Pokój jest skąpany w blasku świec, powietrze gęste od słodkiego zapachu szaławii.

Doug-Fred i Marcus siedzą z gitarami na dwóch ostatnich krzesłach na środku salonu i grają flamenco. *Półmatka* majaczy nad nimi, jakby słuchała rozpędzonych, ognistych akordów, które wypełniają cały dom. Wujek Big sterczy jak wieża przy kominku, uderzając dłonią w udo, do wtóru tego gorączkowego rytmu. A Toby stoi po drugiej stronie pokoju, tak samotny jak ja jeszcze niedawno - moje serce natychmiast rzuca się ku niemu. Stoi oparty o futrynę okna, jego złote włosy i skóra połyskują w migotliwym świetle. Patrzy, jak wchodzimy do salonu z niestosowną, jastrzębią uwagą, która nie umyka Joemu, a we mnie wzbudza dreszcz. Czuję osłupienie Joego, nawet na niego nie patrząc.

Tymczasem ja wyobrażam sobie, że z nóg wyrastają mi korzenie, by powstrzymać się i nie polecieć prosto w ramiona Toby'ego, bo mam poważny problem: nawet w tym domu, tego wieczoru, przy tych wszystkich ludziach, przy Joem Bajecznym Fontainie, który nie zachowuje się już jak brat i stoi tuż obok mnie, wciąż czuję tę niewidzialną linię ciągnącą mnie do Toby'ego i wygląda na to, że nic nie mogę na to poradzić.

Odwracam się do Joego, którego nigdy nie widziałam w takim stanie: z nieszczęśliwą miną, sztywny, zdezorientowany, przenosi wzrok od Toby'ego do mnie i z powrotem. Zupełnie jakby te wszystkie chwile między mną i Tobym, które nie powinny się były zdarzyć, wylewały się z nas na jego oczach.

- Co to za gość? - pyta Joe bez śladu swojego zwykłego spokoju.

- Toby. - Mój głos brzmi jak głos robota.

Joe patrzy na mnie: No więc? Kto to jest Toby, debilko?"

- Przedstawię was - mówię, bo nie mam wyboru i nie mogę tak stać, jakbym dostała wylewu.

Nie da się tego inaczej ująć: kanał.

A na dokładkę flamenco wiruje *crescendo* wokół nas, miotając na wszystkie strony ogień, seks i namiętność. Cudownie. Nie mogli wybrać jakiejś sennej sonaty? Walce też są piękne, chłopaki. Depczę po piętach Joemu, który idzie przez pokój do Toby'ego: słońce na kolizyjnym kursie z księżycem.

Szarawe niebo wlewa się przez okno, oprawiając Toby'ego jak w ramkę. Joe i ja zatrzymujemy się kilka kroków przed nim, cała nasza trójka schwytna w tę niepewność między dniem i nocą. Muzyka nie przerywa swojej ognistej rewolucji wokół nas, a we mnie jest dziewczyna, która chce się poddać temu fanatycznemu bitowi - chce tańczyć, dzika i wolna, po całym dudniącym salonie, ale niestety, ta dziewczyna, choć jest we mnie, nie jest mną. Ja chciałabym pelerynkę niewidkę, żeby móc się wymknąć z tej masakry.

Patrzę na Joego i dostrzegam z ulgą, że obłądne akordy na moment porwały jego uwagę. Jego dłoń gra na udzie, stopa bębni w podłogę, jego głowa podskakuje jak wściekła, przez co włosy spadają mu na oczy. Nie może przestać uśmiechać się do braci, którzy wybijają ze swoich gitar nuty tak mordercze, że pewnie mogliby nimi obalić rząd. Dociera do mnie, że uśmiecham się, jakbym była Fontaine, gdy tak patrzę, jak muzyka szaleje w Joem. Czuję, jak bardzo pragnie swojej gitary; nagle czuję też, jak bardzo Toby pragnie mnie. Zerkam na niego ukradkiem i tak, jak podejrzewałam: patrzy na mnie, jak patrzę na Joego; jego oczy

są do mnie wręcz przyssane. Jak myśmy się w to wpakowali? W tej chwili to już nie przypomina pocięchy; przypomina coś zupełnie innego. Spoglądam w dół, piszę palcem na dżinsach pomocy", a kiedy znów unoszę wzrok, widzę, że oczy Toby'ego i Joego przeszły do zwarcia. Coś przepływa w milczeniu między nimi - coś, co widocznie ma związek ze mną, bo nagle, jak na sygnał, obydwaj spoglądają na mnie i obydwaj pytają oczami: Co jest grane, Lennie?"

Wszystkie organy w moim ciele zamieniają się miejscami.

Joe delikatnie kładzie mi rękę na ramieniu, jakby chciał mi przypomnieć, że mam otworzyć usta i wydać z siebie jakieś słowa. Na widok tego gestu oczy Toby'ego zaczynają płonąć. Co się z nim dzisiaj dzieje? Zachowuje się jak mój chłopak, nie chłopak mojej siostry, nie jak ktoś, z kim całowałam się dwa razy w bardzo łagodzących okolicznościach. I co jest ze mną i tym moim niewyjaśnionym, i - wygląda na to - nieprzemijającym pociąganiem do niego, wbrew wszystkiemu?

Mówię:

- Joe właśnie przeprowadził się do Clover. - Toby uprzejmie kiwa głową, a mój głos brzmi po ludzku; niezły początek. Chcę powiedzieć: Toby był chłopakiem Bailey", chociaż wcale nie chcę tego mówić przez to był" i przez to, że znów poczuję się jak totalna zdrajczyni.

Ale nagle Toby patrzy na mnie i mówi:

- Masz rozpuszczone włosy. - Helou? To nie jest właściwe zdanie.

Właściwym zdaniem byłoby: Tak? A skąd się przeprowadziłeś, stary?" albo Clover jest nawet fajne". Albo: Jeździsz na desce?" Albo praktycznie każde, tylko nie: Masz rozpuszczone włosy".

Joe wydaje się niewzruszony tym komentarzem. Uśmiecha się do mnie, jakby był dumny, że to on uwolnił moje włosy z więzów.

W tej chwili zauważam Gram w drzwiach. Patrzy na nas. Podpływa, trzymając dymiącą gałązkę szaławii jak magiczną różdżkę. Szybko taksuje mnie wzrokiem, stwierdza, że doszłam do siebie, po czym celuje różdżką w Toby'ego i mówi:

- Pozwólcie, że was przedstawię, panowie. Joe Fontaine, to jest Toby Shaw, chłopak Bailey.

Wuuuszzz - widzę to: wodospad ulgi spływa po Joem. Widzę, jak sprawa zamyka się w jego głowie, bo pewnie jest przekonany, że nic nie może się dziać między nami -bo jaka siostra przekroczyłaby taką granicę?

- Hej, strasznie mi przykro - mówi do Toby'ego.

- Dzięki. - Toby próbuje się uśmiechnąć, ale ten uśmiech wychodzi jakoś nie tak, jakby morderczo. Joe, lekki jak piórko po rewelacji Gram, nawet tego nie zauważa; odwraca się tylko, pogodny jak zwykle, i przyłącza się do swoich braci. Gram odchodzi za nim.

- Pójdę już, Lennie. - Ledwie słyszę głos Toby'ego przez muzykę. Odwracam się, widzę, że Joe siedzi pochylony nad gitarą, ślepy na wszystko prócz dźwięków, które wydobywają jego palce.

- Odprowadzę cię - mówię.

Toby żegna się z Gram, z Bigiem i Fontaine'ami. Wszyscy są zaskoczeni, że wychodzi tak szybko - zwłaszcza Gram, która, jestem pewna, zaczyna coś kojarzyć.

Idę za nim do pikapa - Lucy, Ethel i ja we trójkę ujadamy u jego stóp.

Toby otwiera drzwiczki, nie wsiada, opiera się o samochód. Stoimy przodem do siebie i w jego twarzy nie ma ani śladu tego spokoju i łagodności, do których tak przywykłam; ich miejsce zajęło coś złowrogiego i szaleńczego. Jest przełączony w tryb twardego skejta, i chociaż nie chcę, jestem tym zafascynowana. Czuję prąd przepływający między nami, czuję, że zaczyna rozrywać moją samokontrolę. O co chodzi? - myślę, kiedy patrzy

mi w oczy, potem na usta, a potem powolnym, zaborczym spojrzeniem omiata moje ciało. Dlaczego nie potrafimy tego zatrzymać? Czuję się taka zuchwała - jakbym śmigąła z nim w powietrze na jego desce, i nie obchodzi mnie bezpieczeństwo i konsekwencje, nie obchodzi mnie nic, prócz prędkości, wyzwania i tego chciwego, piekielnego głodu życia - ale mówię mu:

- Nie. Nie teraz.

- Kiedy?

- Jutro. Po pracy - mówię, nie myśląc o zdrowym rozsądku. Nie myśląc, kropka.

*Co chcecie na kolacje, dziewczyny?  
Co myślcie o moim nowym obrazie, dziewczyny?  
Co dziewczyny chcą robić w ten weekend?  
Czy dziewczyny wyszły już do szkoły?  
jeszcze nie widziałem dzisiaj dziewczyn.  
Mówiłam dziewczynom, żeby się pospieszyły  
Gdzie sa te dziewczyny?  
Dziewczyny, nie zapomnijcie lunchu.  
Dziewczyny, bądźcie w domu o jedenastej.  
Dziewczyny, nawet nie myślcie o pływaniu -jest strasznie zimno.  
Czy dziewczyny przyjdą na imprezę?  
Dziewczyny były wczoraj wieczorem nad rzeka.  
Zobaczmy, czy dziewczyny sa w domu..*

*(Znalezione na ścianie szafy Bailey).*





Gram wiruje po salonie ze swoją szalwiową różdżką jak przerośnięta wróżka. Mówię jej, że przepraszam, ale nie czuję się najlepiej i muszę iść na górę.

Zatrzymuje się w pół obrotu. Wiem, że wyczuwa kłopoty, ale mówi:

- Okej, skarbie. - Przepraszam wszystkich i mówię dobranoc tak nonszalancko, jak się da.

Joe wychodzi za mną z salonu, a ja uznaję, że może pora wstąpić do klasztoru, zamknąć się na jakiś czas z mniszkami.

Dotyka mojego ramienia, więc odwracam się, żeby spojrzeć mu w twarz.

- Mam nadzieję, że to, co powiedziałem w lesie, nie wystraszyło cię czy coś... mam nadzieję, że to nie dlatego uciekasz...

- Nie, nie. - Jego oczy są szeroko otwarte ze zmartwienia. Dodaję: - Szczerze mówiąc, to mnie dość ucieszyło. - Co oczywiście jest prawdą, gdyby nie liczyć małego problemu, że natychmiast po jego deklaracji umówiłam się z chłopakiem mojej zmarłej siostry, żeby robić Bóg wie co!

- To dobrze. - Muska kciukiem mój policzek i znów jego dotyk mnie płoszy. - Bo ja dostaję świra, Lennie. - Trzepot rzęs. I nagle, tak po prostu, ja też dostaję świra, bo myślę, że Joe Fontaine zaraz mnie pocałuje.

Nareszcie.

Zapomnijcie o klasztorze.

Wyjaśnijmy to sobie: w tym momencie moja nieistniejąca wcześniej nimfomania wyskakuje poza skalę.

- Nie wiedziałam, że znasz moje imię - mówię.

- Nie wiesz o mnie bardzo wielu rzeczy, Lennie. -Uśmiecha się i przyciska palec wskazujący do moich warg, zostawia go tam, aż moje serce ląduje na Jowiszu; trzy sekundy, potem zabiera go i wraca do salonu. Zaraz: to był albo najgłupszy, albo najbardziej seksowny moment mojego życia, i głosuję za seksownym, bo stoję tak, oniemiała i pijana, zastanawiając się, czy w końcu jednak mnie pocałował, czy nie.

Kompletnie mi odbiło.

Nie wydaje mi się, żeby normalni ludzie w ten sposób przeżywali żalobę. Kiedy już jestem w stanie stawiać jedną stopę przed drugą, idę na górę, do Świątyni. Na szczęście została uznana przez Gram za stosunkowo niepechową, więc jest zasadniczo nietknięta, zwłaszcza rzeczy Bailey, których litościwie nie tknęła w ogóle. Idę prosto do biurka i zaczynam rozmawiać z obrazkiem podróżniczki, tak, jak czasem rozmawiamy z *Półmatką*.

Dzisiaj kobieta na szczycie góry będzie musiała po-udawać Bailey.

Siadam i mówię jej, jak bardzo mi przykro, i że nie wiem, co się ze mną dzieje, i że zadzwonię do Toby'ego i odwołam randkę z samego rana.

Mówię jej też, że nie chciałam pomyśleć tego, co pomyślałam w lesie, i że zrobiłabym wszystko, żeby mogła poznać Joego Fontaine'a. Wszystko. A potem znów ją proszę, by dała mi znak, że mi wybacza, zanim lista niewybaczalnych rzeczy, które myślę i robię, zrobi się za długa i będzie można już tylko spisać mnie na straty.

Patrzę na pudła. Wiem, że w końcu będę musiała zacząć. Biorę głęboki wdech, wyrzucam z głowy wszystkie

makabryczne myśli i kładę dłonie na drewnianych gałkach górnej szuflady biurka. I natychmiast myślę o Bailey i naszej umowie antyszperaniowej. Nigdy jej nie złamałam, ani razu, mimo wrodzonej skłonności do szperania. W domach innych ludzi otwieram szafki z lekami, zaglądam za zasłony prysznicowe, otwieram szuflady i szafy, kiedy tylko się da. Ale w przypadku Bailey przestrzegałam umowy... Umowy. Tyle ich było między nami, a teraz przestają obowiązywać. A co z tymi niewypowiedzianymi, przyjętymi bez słów, bez przysięg, trzymaniami się za małe palce, nawet bez uświadamiania ich sobie? Nawałnica emocji uderza we mnie. Gadanie z obrazkiem jest do niczego; wyciągam komórkę, wybieram numer Bailey, niecierpliwie słucham gadki Julii, żar wypełnia mi głowę, aż wreszcie, po sygnale, słyszę własne słowa: "Co się dzieje z głupim koniem do towarzystwa, kiedy ten wyścigowy umiera?" W moim głosie jest jednocześnie gniew i rozpacz, i natychmiast ogarnia mnie irracjonalna chęć wykasowania tej wiadomości, żeby Bailey jej nie odsłuchała.

Powoli otwieram szufladę biurka, bojąc się, co mogę znaleźć, bojąc się, czego jeszcze mi nie powiedziała, bojąc się tej kompletnie szurniętej, łamiącej umowy siebie. Ale w szufladzie są tylko rzeczy, nieważne rzeczy Bailey - parę długopisów, parę ulotek przedstawień Kółka Teatralnego Clover, bilety na koncerty, adresownik, stara komórka, dwie wizytówki: jedna naszego dentysty z przypomnieniem o wizycie, a druga niejakiego Paula Bootha, prywatnego detektywa z biurem w San Francisco. WTF?

Biorę ją do ręki. Na odwrocie, pismem Bailey zapisane jest: "25 kwietnia, 16.00, pokój 2B". Przychodzi mi do głowy tylko jeden powód, dla którego mogłaby się spotykać z prywatnym detektywem: szukanie mamy. Ale dlaczego

miałaby to robić? Obie wiedziałyśmy, że Big już próbował, zaledwie parę lat temu, i detektyw stwierdził, że nie da się jej znaleźć.

Tego dnia, kiedy Big powiedział nam o detektywie, Bailey była wściekła, miotła się po kuchni jak torpeda, gdy Gram i ja łuskałyśmy groszek na obiad.

Bailey powiedziała:

- Gram, ja wiem, że ty wiesz, gdzie ona jest.

- Skąd mogę to wiedzieć, Bails? - odparła Gram.

- No właśnie, skąd ona może to wiedzieć, Bails? - powtórzyłam.

Nienawidziłam, kiedy Gram i Bailey się kłóciły, a wyczuwałam, że wszystko zaraz wybuchnie.

Bailey powiedziała:

- Mogłabym do niej pojechać. Odszukać ją. Mogłabym ją tu ściągnąć. - Złapała strączek i wetknęła sobie cały, z łupiną i ogonkiem, do ust.

- Nie mogłabyś jej odszukać i nie mogłabyś jej tu ściągnąć. - Big stał w drzwiach; jego słowa wypełniły kuchnię jak Słowo Boże. Nie miałam pojęcia, od jak dawna słuchał.

Bailey naskoczyła na niego.

- A ty skąd to wiesz?

- Bo próbowałam, Bailey.

Gram i ja przestałyśmy łuskać i spojrzaliśmy na Biga. Przyczłapał do stołu i usiadł na kuchennym krześle; wyglądał jak olbrzym w przedszkolnej sali.

- Parę lat temu wynająłem detektywa. Dobrego. Pomyślałem, że wam powiem, jeśli czegoś się dowie, ale się nie dowiedział. Powiedział, że bardzo łatwo jest się zgubić, jeśli ktoś nie chce zostać odnaleziony.

Uważa, że Paige zmieniła nazwisko i pewnie zmienia też numer ubezpieczenia społecznego, kiedy się przeprowadza... - Big bębnił palcami po stole; brzmiało to jak ciche grzmoty. - Skąd możemy wiedzieć, czy ona w ogóle żyje? - mruknął pod nosem, ale usłyszałyśmy to wszystkie, jakby krzyknął

to ze szczytu góry. O dziwo, to mi nigdy nie przyszło do głowy i podejrzewam, że Bailey też nie. Zawsze wmawiano nam, że ona wróci, i głęboko w to wierzyliśmy.

- Ona żyje, z całą pewnością żyje - powiedziała Gram do Biga. - I wróci. Zobaczyłam, że w twarzy Bailey zaczyna świtać podejrzliwość.

- Skąd to wiesz, Gram? Musisz coś wiedzieć, skoro jesteś taka pewna.

- Matka to wie, okej? Po prostu wie. - To powiedziawszy, Gram wyszła z kuchni.

Odkładałam wizytówkę do szuflady, biorę ze sobą świętego Antoniego i kładę się do łóżka. Stawiam go na nocnej szafce. Dlaczego miała przede mną tyle tajemnic? I jak, do diabła, mogę być teraz na nią o to zła? O cokolwiek. Nawet przez chwilę.

*Bailey i ja nie rozmawialiśmy za wiele  
o cichych, dniach Gram.,  
które nazywała chwilami dla siebie;  
O dniach, które spędzała w pracowni bez przerwy.  
To był element porządku, rzeczy, jak zielone letnie liście rdzewiejące  
jesienią. Zaglądałam przez szparę w drzwiach, widziałam ja wśród  
sztaluga,, wśród zielonych kobiet, na wpół uformowanych -ciagle jeszcze  
mokrych i głodnych farby. Pracowała nad wszystkimi naraz  
I w końcu, sama zaczynała wyglądać jak jedna z nich, przez cała te zieleń  
na ubraniu, na dłoniach, na twarzy.  
W te dni Bails i ja  
same pakowałyśmy sobie papierowe torby, i w południe wyciągałyśmy  
kanapki, zle, rozczarowane światem, w którym apaszki w grochy, papier  
nutowy, niebieskie piórka nie zaskakują nas przy lunchu. Po szkole  
zanosiliśmy jej herbatę albo pokrojone jabłko z serem, ale wszystko stało  
na stole, nietknięte. Big mówił nam, że trzeba to przetrwać -że każdy  
czasem potrzebuje przerwy od rutyny. Trwałyśmy wiec to było tak, jakby  
Gram wyjeżdżała na wakacje ze swoimi damami i jak one zaplatywała sie  
gdzieś między tu i tam.*

*(Znalezione na kartce w futerale klarnetu Lennie).*



*Len, nie spisz?*

*Nie*

*Wymyslmy mame.*

*Okey, ja zaczne. Jest w Rzymie –*

*Ostatnio zawsze jest w Rzymie –*

*No wiec, jest szefowa slynnej pizzerii, jest pozna noc, restauracja wlasnie sie zamknela, a ona pije wino z – Luigim, bosko przystojnym kelnerem; teraz wzeleli ze soba butelke i ida przez osiwtlone ksiezycem ulice, jest goraco i kiedy zjaduja fontanne, ona zrzuca buty i wskakuje...*

*Luigi nawet nie sciaga butow, po prostu wskakuje i ochlapuje ja, smieja sie...*

*Ale ona, stojac w fontannie pod wielkim, jasnym ksiezycem, zaczyna myslec o naszej rzece, o tym, jak plywala noca z Bigiem...*

*Naprawde tak myslisz, Bails? Naprawde myslisz, ze ona tapla sie w rzymskiej fontannie w upalna, letnia noc z boskim Luigim i myśli o nas? O Bigu?*

*Jasne.*

*W zyciu.*

*My myslimy o niej.*

*To co innego.*

*Dlaczego?*

*Bo nie jestesmy w rzymskiej fontannie w upalna, letnia noc.*

*Fakt.*

*Dobranoc, Bails.*

***(Znalezione na papierze nutowym zmiętym w kulkę w bucie, w szafie Lennie).***



Dzień, kiedy to wszystko się staje, zaczyna się jak wszystkie ostatnio, cichym pukaniem Joego. Przekręcam się na bok, wyglądam przez okno i w porannej mgłę widzę tylko trawnik. Widocznie wszystko przeniesiono z powrotem do domu, kiedy już zasnęłam.

Schodzę na dół, zastaję Gram na jej miejscu przy kuchennym stole, z włosami owiniętymi ręcznikiem. Otacza dłońmi kubek z kawą i wpatruje się w krzesło Bailey. Siadam obok niej.

- Strasznie przepraszam za wczorajszy wieczór - mówię. - Wiem, jak bardzo chciałaś odprawić ten rytuał dla Bailey, dla nas.

- Nic nie szkodzi, Len. Jeszcze go odprawimy. Mamy mnóstwo czasu. - Chwyta moją dłoń jedną ręką, zamyślona głaszcze ją drugą. - A poza tym chyba już wiem, co na nas ściąga tego pecha.

- Tak? - pytam. - Co?

- Kojarzysz tę maskę, którą Big przywiózł z Ameryki Południowej, kiedy badał drzewa? Myślę, że może być przeklęta.

Zawsze nienawidziłam tej maski. Jest cała oblepiona sztucznymi włosami, ma uniesione brwi, jakby ze zdumienia, i wyszczerzone błyszczące wilcze zęby.

- Zawsze miałam przez nią ciarki - mówię Gram. - Bailey też.

Gram kiwa głową, ale jest jakaś zamyślona. Chyba w ogóle mnie nie słucha, co ostatnio jest zupełnie nie w jej stylu.

- Lennie - mówi niepewnie. - Czy wszystko jest okej między tobą i Tobym?

Ściska mnie w żołądku.

- Oczywiście - mówię, przelękając z trudem ślinę i starając się nadać głosowi wyluzowane brzmienie. -A co? - Patrzy na mnie jak sowa.

- Nie wiem, wczoraj jakoś dziwnie się zachowywaliście. - Uch. Uch. Uch.

- I ciągle się zastanawiam, dlaczego Sarah do nas nie wpada.

Pokłóciłyście się? - Jej słowa strącają mnie jeszcze w głębszą przepaść poczucia winy.

W tej chwili ratują mnie Big i Joe, wchodząc do kuchni. Big mówi:

- Wydawało nam się dzisiaj, że pajak numer sześć dawał oznaki życia.

Joe mówi:

- Przysięgam, że widziałem, jak drgnął.

- Nasz Joe o mało nie dostał zawału, prawie wyskoczył przez sufit, ale to musiał być przeciąg, ten nieborak ciągle jest martwy jak kamień. Roślina Lennie też ciągle marnieje. Chyba będę musiał to wszystko przemyśleć, może trzeba dodać lampę UV.

- Hej - mówi Joe, stając za mną i kładąc mi dłoń na ramieniu. Patrzę w górę, widzę ciepło na jego twarzy i się uśmiecham. Ten facet potrafiłby mnie sprowokować do uśmiechu nawet gdybym wisiała na szubienicy, która, jestem pewna, czeka mnie w niedalekiej przyszłości. Na sekundę kładę dłoń na jego dłoni; Gram, która wstaje, żeby zrobić nam śniadanie, zauważa to.

Czuję się poniekąd odpowiedzialna za jajecznicę z popiołu, którą wszyscy szuflujemy do ust, jakbym w jakiś sposób wyprowadziła na manowce ścieżkę do wyzdrowie-

nia, na której nasz dom był wczoraj rano. Joe i Big gadają o wskrzeszaniu owadów i wysadzeniu tortów - ta rozmowa nigdy się nie skończy - a ja pracowicie unikam podejrzliwego wzroku Gram.

- Dzisiaj muszę iść wcześniej do pracy, wieczorem mamy catering na przyjęciu u Dwyerów. - Mówię to do talerza, ale widzę kątem oka, że Gram kiwa głową. Wie, bo poproszono ją o pomoc przy kwiatowych dekoracjach. Ciągłe jest proszona o dopilnowanie kwiatowych dekoracji na przyjęciach i ślubach, ale rzadko się zgadza, bo nie cierpi ciętych kwiatów. Wszyscy wiemy, że strzyżenie jej krzaków czy ścinanie kwiatów jest zabronione pod karą śmierci. Tym razem się zgodziła, pewnie tylko dlatego, żeby wyrwać się z domu na całe popołudnie. Czasami wyobrażam sobie nieszczęsnych ogrodników z całego miasta, którzy tego lata zostali bez Gram, jak stoją, drapiąc się po głowie nad swoją zmarniałą wisterią, nad żalonymi fuksjami.

Joe mówi:

- Odprowadzę cię do pracy. I tak muszę iść do sklepu muzycznego. - Wszyscy chłopcy Fontaine rzekomo pracują przez lato u swoich rodziców, którzy przerobili stodołę na warsztat, gdzie ich tata produkuje specjalistyczne gitary, ale mam wrażenie, że całymi dniami pracują nad nowymi kawałkami dla swojego zespołu, Dive.

Wyruszamy w drogę do miasta, która wymaga przejścia siedmiu kwartałów, i wygląda na to, że zajmie nam to ze dwie godziny, bo Joe zatrzymuje się jak wryty za każdym razem, kiedy chce coś powiedzieć, czyli co trzy sekundy.

- Nie umiesz chodzić i mówić jednocześnie? - pytam. Zatrzymuje się i mówi:

- Nie. - Idzie dalej przez minutę, w milczeniu, aż nie może dłużej wytrzymać, przystaje, odwraca się do mnie, bierze mnie za rękę i zmusza, żebym też się zatrzymała; mówi mi, że muszę pojechać do Paryża, że będziemy grać

w metrze, zarabiać masę pieniędzy, jeść wyłącznie czekoladowe croissanty, pić czerwone wino i siedzieć całą noc każdej nocy, bo w Paryżu nikt nigdy nie śpi. Przez cały czas słyszę bicie jego serca i myślę: Dlaczego nie? Mogłabym wyślizgnąć się z tego smutnego życia jak ze starej, żalostnej sukienki i pojechać do Paryża z Joem - moglibyśmy wsiąść w samolot i przelecieć nad oceanem, i wylądować we Francji. Choćby dziś. Mam oszczędności. Mam берет. Seksowny czarny biustonosz. Wiem, jak się mówi *je t'aime*". Uwielbiam kawę, czekoladę i Baudelaire'a. I dość się naprzyglądałam Bailey, żeby umieć zawiązać apaszkę. Naprawę moglibyśmy to zrobić i ta możliwość tak mnie upaja, że czuję, jakbym mogła katapultować się w powietrze. Mówię mu to. A on bierze mnie za rękę, unosi drugą, jak Superman.

- Widzisz, miałem rację - mówi z uśmiechem, który mógłby zaopatrzyć w prąd całą Kalifornię.

- Boże, ależ jesteś śliczny - wypalam i mam ochotę umrzeć, bo nie wierzę, że powiedziałam to na głos, i on też nie wierzy; jego uśmiech jest tak szeroki, że nie może nawet przepchnąć przez niego słów.

Znów się zatrzymuje. Myślę, że chce jeszcze trochę poopowiadać o Paryżu, ale nie. Patrzę na niego. Jego twarz jest poważna jak wczoraj w lesie.

- Lennie - szepcze.

Patrzę w jego oczy nieznające smutku i drzwi w moim sercu otwierają się z hukiem.

A kiedy się całujemy, widzę, że po drugiej stronie tych drzwi jest niebo.

\* *je t'aime* (fr.) - kocham cię.



*NIE  
MOGE  
ZEPCHNAC  
CIEMNOSCI  
Z  
MOJEJ  
DROGI*

*(Znalezione na ławce przed Włoskimi Delikatesami Marii).*

Przygotowuję milion lazanii w oknie delikatesów, słuchając, jak Maria plotkuje z każdym klientem po kolei, a potem wracam do domu i zastaję Toby'ego leżącego na moim łóżku. Dom jest martwy jak głaz, bo Gram jest u Dwyerów, a Big w pracy. Dziesięć razy wybierałam dzisiaj numer Toby'ego, ale powstrzymywałam się za każdym razem, zanim wcisnęłam "połącz". Chciałam mu powiedzieć, że nie mogę się z nim spotkać. Nie po tym, jak przyrzekłam Bailey. Nie po tym, jak całowałam się z Joem. Nie po przesłuchaniu Gram. Nie po tym, jak sięgnęłam w głąb siebie i znalazłam coś na kształt sumienia. Chciałam mu powiedzieć, że musimy z tym skończyć, że muszę myśleć o tym, jak czułaby się Bailey, jak fatalnie my się przez to czujemy. Chciałam mu powiedzieć to wszystko, ale nie powiedziałam, bo za każdym razem, kiedy już miałam zadzwonić, przenosiłam się w czasie do tej chwili wczoraj wieczorem przy jego samochodzie i ogarniał mnie ten sam niewytłumaczalny głód, ta sama zuchwałość i telefon lądował zamknięty na ladzie przede mną.

- Hej, Len. - Jego głos jest głęboki i mroczny i natychmiast się rozkrochmałam.

Idę do niego, nie mogę nie iść, przyciągania nie da się przewyciężyć, jak przyływu. On wstaje szybko, spotyka mnie w połowie pokoju. Przez ułamek sekundy stoimy twarzą w twarz; to jest jak nurkowanie w lustrze. I nagle czuję jego usta miażdżące moje, cały jego rozszalały smu-

tek rzuca się na mnie z zębami, cały nasz rozszalały smutek rzuca się z zębami na świat, który nam to zrobił. Moje palce gorączkowo rozpinają jego koszulę, zsuwają ją z jego ramion, i nagle moje dłonie są na jego piersi, plecach, szyi, a on ma chyba z osiem rąk, bo jedna ściąga mi bluzkę, dwie trzymają moją twarz, kiedy mnie całuje, jedna wczepia mi się we włosy, kolejne dwie są na moich piersiach, kilka przyciąga moje biodra do jego bioder, i wreszcie ostatnia odpina guzik moich dżinsów, odsuwa zamek i nagle leżymy na łóżku, jego dłoń zakrada się między moje nogi i wtedy słyszę trzask frontowych drzwi...

Zamieramy, nasze oczy się spotykają - zderzenie dwóch wstydów - i ruina mojej duszy eksploduje mi w piersi. Nie mogę tego znieść. Zakrywam twarz rękami, słyszę własny jęk. Co ja robię? Co myśmy prawie zrobili? Chcę wcisnąć przewijanie wstecz. I wciskać, i wciskać i wciskać. Ale teraz nie mogę o tym myśleć, mogę myśleć tylko o tym, że nie mogę dać się przyłapać w łóżku z Tobym.

- Szybko - rzucam i to rozmraża i depanikuje nas oboje.

On zrywa się na nogi, a ja raczkuję po podłodze jak oszalały krab, wkładam bluzkę, rzucam Tobemu koszulę. Oboje ubieramy się z prędkością światła...

- Nigdy więcej - mówię, szamocząc się z guzikami bluzki; czuję się jak kryminalistka, jak zły człowiek, przepelnia mnie obrzydzenie i wstyd. - Proszę.

On wyrównuje narzutę, gorączkowo roztrzepuje poduszki, jego twarz jest czerwona i dzika, jasne włosy fruwią na wszystkie strony.

- Przepraszam, Len...

- To już nie pomaga na tęsknotę. Już nie. - Mój głos jest na wpół zdecydowany, na wpół spanikowany. - To tylko pogarsza sprawę.



On przerywa to, co robi, kiwa głową, jego twarz jest jak arena walczących emocji, ale wygląda na to, że uraza wygrywa. Boże, nie chcę go ranić, ale też nie chcę tego więcej robić. Nie mogę. A poza tym, co to jest to"?  
Bycie z nim nie jest już bezpieczną przystanią, jaką było wcześniej - tanto było inne, rozpaczliwe, byliśmy jak dwójka ludzi, którzy nie mogą oddychać.

- John Lennon - słyszę z dołu. - Jesteś? To się nie może dziać naprawdę, nie może. Nic mi się nigdy nie przydarzało, ale to nic, przez siedemnaście lat, a teraz wszystko naraz. Joe dosłownie śpiewa moje imię, jest taki rozradowany, pewnie jeszcze jest na haju po tym pocałunku, po tym wzniosłym pocałunku, który mógłby postrzącać gwiazdy prosto w nasze otwarte dłonie; tak musieli się czuć Cathy i Heathcliff na wrzosowiskach, kiedy słońce prażyło ich w plecy, a cały świat parował od wiatru i możliwości. Ten pocałunek był tak inny niż przerażające tornado, które przed chwilą miało Tobym i mną.

Toby jest już ubrany i siedzi na moim łóżku, wypuszczona koszula zwisa mu na kolana. Zastanawiam się, dlaczego jej nie wpuścił, i nagle dociera do mnie, że próbuje zamaskować przerażający wzwód - o Boże, kim ja jestem? Jak mogłam dopuścić, żeby to aż tak wymknęło się spod kontroli? I dlaczego moja rodzina nie robi normalnych rzeczy w rodzaju noszenia kluczy i zamykania frontowych drzwi?

Sprawdzam, czy jestem pozapinana i pozasuwana. Przyglądam włosy i ocieram usta, i wreszcie otwieram drzwi sypialni, wystawiam głowę w chwili, kiedy Joe pędzi już korytarzem. Uśmiecha się obłądnie, wygląda jak miłość we własnej osobie ubrana w dżinsy, czarną koszulkę i odwróconą bejsbolówkę.

- Przyjdź dzisiaj wieczorem. Wszyscy jadą do miasta na jakiś jazzowy koncert. - Brakuje mu tchu, założę się,

że biegł całą drogę. - Nie mogłem się doczekać... - Sięga po moją rękę, chwyta ją i nagle zauważa Toby'ego, siedzącego na łóżku za mną. Najpierw puszcza moją dłoń, a potem staje się coś niemożliwego: twarz Joego Fontaine'a zatrząskuje się jak drzwi.

- Hej - mówi do Toby'ego, ale jego głos jest spięty i nieufny.

- Właśnie przeglądaliśmy z Tobym rzeczy Bailey -rzucam. Nie mogę uwierzyć, że używam Bailey jako wymówki, żeby okłamać Joego, żeby zatuszować moje amory z jej chłopakiem. To nowa definicja dna, nawet dla niemoralnej dziewczyny, jaką się stałam. Jestem Potwór Gila. Lennie z Loch Ness. Żaden zakon by mnie nie przyjął.

Joe kiwa głową, ugłaskany tym kłamstwem, ale ciągle podejrzliwie zerka to na mnie, to na Toby'ego. Zupełnie jakby ktoś przekreślił ściemniacz i zgasił całe jego jestestwo.

Toby wstaje.

- Muszę już iść. - Idzie przez pokój przygarbiony, niezręcznym, niepewnym krokiem. - Fajnie cię było znów zobaczyć - mamrocze do Joego. - Na razie, Len. - Mija nas, smutny jak deszcz, a ja czuję się koszmarnie. Moje serce idzie za nim kilka kroków, ale potem wraca jak na sprężynie do Joego, który stoi przede mną bez śladu śmierci na sobie.

- Lennie, czy coś...

Mam całkiem dobre pojęcie, o co Joe chce zapytać, więc robię jedyne, co mi przychodzi do głowy, by powstrzymać to pytanie, zanim wyjdzie z jego ust: całuję go. Tak naprawdę go całuję, jak chciałam to zrobić od pierwszego dnia, kiedy zobaczyłam go w orkiestrze. Żadne słodkie cmoknięcia. Tymi samymi ustami, które przed chwilą całowały kogoś innego, scałowuję jego pytanie, jego podejrzenie, i po chwili scałowuję też tego kogoś innego, to coś

innego, co się prawie stało, aż wreszcie jesteśmy tylko my dwoje, Joe i ja, w pokoju, na świecie, w moim oszalałym, puchnącym sercu. Jasna kobyła.

Na chwilę odkładam na bok fakt, że zmieniałam się w totalną ladacznicę-zdzirę-sucz-kokotę-heterę-lafiryndę-jezebel-wywłokę-nimfetkę, bo właśnie dotarło do mnie coś niesamowitego. To jest to - to, wokół czego ludzie robią tyle szumu, o czym są *Wichrowe Wzgórza* - wszystko sprowadza się do tego uczucia, płynącego w tej chwili przeze mnie i Joego, kiedy nasze usta nie chcą się rozstać. Kto by pomyślał, że przez cały czas byłam o jeden pocałunek od Cathy i Julii, i Elizabeth Bennet, i Lady Chatterley!?

Kiedyś, wiele lat temu, leżałam sobie w ogrodzie Gram i Big zapytał mnie, co robię. Powiedziałam mu, że patrzę na niebo. A on na to:

- To błędne pojęcie rzeczywistości, Lennie, niebo jest wszędzie, zaczyna się u twoich stóp.

Całując Joego, wierzę w to, po raz pierwszy w życiu.

Jestem w delirium, Joelirium, myślę, kiedy odrywam się od niego na moment i otwieram oczy, by zobaczyć, że ściemniacz Joego Fontaine'a znów jest podkreślony na maksa i że on też jest w Joelirium.

- To było... - Ledwie potrafię składać słowa.

- Niewiarygodne - przerywa mi. - Totalnie *incroyable*!

Patrzymy na siebie, osłupiali.

- Pewnie - mówię, przypominając sobie nagle, że zaprosił mnie na wieczór.

- Co pewnie? - Patrzy na mnie, jakbym mówiła w suahili, i nagle uśmiecha się, obejmuje mnie i pyta: -Gotowa? - Podnosi mnie z podłogi i obraca dookoła - nagle

jestem w najgłupszym filmie świata, śmieję się i czuję szczęście tak ogromne, że aż wstydzę się je czuć w świecie bez mojej siostry.  
- Pewnie, przyjdę wieczorem - mówię, kiedy wszystko przestaje się kręcić i ląduję z powrotem na własnych nogach.



*Co sie dzieje. Lennie?*

*Nic.*

*Powiedz mi.*

*Nie.*

*No juz, gadaj.*

*. Okej. Chodzi o to, że  
teraz jesteś inna.*

*Jaka?*

*Zombiasta.*

*Jestem zakochana, Len - nigdy sie tak nie czukam.*

*Jak?*

*Jak na zawsze.*

*Na zawsze?*

*Tak. To jest to. On to jest to.*

*Skad wiesz?*

*Powiedziały mi palce stóp. One wiedza.*

*(Znalezione na serwetce upchniętej do kubka w Piekarni Cecylii).*

Idę do Joego - mówię do Gram i Biga; oboje są już w domu i obozują w kuchni, słuchając meczu bejsbolowego w radiu z mniej więcej 1930 roku.

- Niezła myśl - stwierdza Gram. Wyjęła wciąż rozpaczliwą roślinę Lennie spod piramidy i postawiła ją na stole; teraz siedzi obok niej i śpiewa jej cicho, coś o zie-leńszych pastwiskach. - Tylko się odświeżę i wezmę torebkę, skarbie.

Chyba nie mówi poważnie.

- Ja też pójdę - dodaje Big, który siedzi zgarbiony nad krzyżówką. Jest najszybszym krzyżówkowiczem w chrześcijańskim świecie. Ale tym razem, jak stwierdzam, zamiast liter wstawia w kratki cyfry. - Jak tylko to skończę, możemy wyruszyć do Fontaine'ów.

- Ehm, nie wydaje mi się - burczę.

Oboje patrzą na mnie, jakby uszom nie wierzyli. Big mówi:

- Co ty opowiadasz, Len, on tu jest każdego ranka, więc rewizyta jest...

Ale w końcu nie może dłużej wytrzymać i wybucha śmiechem, a Gram razem z nim. Oddycham z ulgą. Naprawdę zaczęłam już sobie wyobrażać, jak wdrapuję się na wzgórze, holując za sobą Gram i Biga: Wednesday na randce z Rodziną Addamsów.

- Ojej, Big, jaka wystrojona. I ma rozpuszczone włosy. Popatrz tylko. - To jest pewien problem. Miałam

nadzieję, że nikt nie zauważy różnicy między krótką kwiecistą sukienką, obcasami i szminką oraz dziką burzą włosów a džinsami, kucykiem i zerem makijażu, który to image praktykowałam przez całe życie. Wiem, że się rumienię, i wiem też, że powinnam wyjść z domu, zanim popędzę z powrotem na górę i pobiję rekord Guinnessa Bailey w zmienianiu ciuchów przed randką, wynoszący trzydzieści siedem kreacji. Ta sukienka była dopiero osiemnasta, ale wiem, że ta wartość rośnie wykładniczo, im dłużej się człowiek przebiera, tym bardziej narasta szaleństwo - takie jest prawo natury. Nawet święty Antoni patrzący na mnie z nocnej szafki i przypominający mi, co znalazłam wczoraj w szufladzie, nie zdołał mnie otrzeźwić. Ale przypomniałam sobie coś na jego temat. Był jak Bailey, charyzmatyczny jak sto pięćdziesiąt. Musiał wygłaszać kazania na targowiskach, bo wierni nie mieścili się nawet w największych kościołach. Kiedy umarł, wszystkie dzwony kościelne w całej Padwie rozdzwoniły się same z siebie. Wszyscy myśleli, że aniołowie zeszli na ziemię.

- Cześć, kochani - mówię do Gram i Biga, ruszając do drzwi.

- Baw się dobrze, Len... i nie wracaj za późno, okej?

Kiwam głową i wychodzę na moją pierwszą prawdziwą randkę w życiu. Te inne wieczory, które spędzałam z chłopakami, nie liczą się, tak jak i wieczory z Tobym, o których usilnie staram się nie myśleć, a już na pewno nie liczą się imprezy, po których przez cały kolejny dzień, tydzień, miesiąc, rok zastanawiałam się, jak odzyskać swoje pocałunki. Nic nie było jak to, nigdy nie czułam się tak jak teraz, idąc na wzgórze do Joego - jakbym miała w piersiach okno, przez które wlewa się słońce.





*Kiedy Joe  
Gra na  
trąbce  
padam  
z  
krzesła na kolana  
kiedy  
on gra  
wszystkie kwiaty  
zamieniają  
się  
kolorami  
i lata  
i dekady  
i stulecia  
deszczu  
wlewają się  
z  
powrotem do  
nieba*

*(Znalezione na ścianie łazienki przy sali muzycznej w Clover High).*

To samo uczucie, które przepełniało mnie dzisiaj, gdy Joe był w Świątyni, spada na mnie, kiedy tylko dostrzegam go na werandzie wielkiego białego domu. Gra na gitarze; siedzi pochylony i śpiewa cicho, a wiatr niesie jego słowa w powietrzu jak trzepoczące liście.

- Hej, John Lennon - mówi, odkładając gitarę na bok. Wstaje i zeskakuje ze stopnia werandy. - O kurde. Wyglądasz *vachement*<sup>2</sup> niesamowicie. Za dobrze, żebyś siedziała sama ze mną cały wieczór.

Dosłownie podskakuje. Poziom jego zachwyty hipnotyzuje mnie. W fabryce ludzi ktoś musiał coś schrzą-nić i zwyczajnie dać mu trochę więcej życia niż reszcie z nas.

- Myślałem, że moglibyśmy zagrać duet. Muszę tylko przearanżować... Nie słucham go już. Mam nadzieję, że nie przestanie gadać jak nakręcony, bo ja nie mogę wydusić z siebie słowa. Wiem, że wyrażenie miłość rozkwitła" jest metaforyczne, ale w moim sercu jest w tej chwili wielki, wypasiony kwiat, sfotografowany klatka po klatce, jak rozkwita od pączka do dzikiej, promiennej pełni w dziesięć sekund.

- Dobrze się czujesz? - pyta Joe. Trzyma mnie za ramiona, zagląda mi w twarz.

---

<sup>2</sup> *vachement* (fr.) - tu: cholernie.

- Tak. - Zastanawiam się, jak ludzie oddychają w takich sytuacjach. -  
Wszystko w porządku.
- Bardziej niż w porządku - mówi i ogląda mnie sobie szczegółowo, jak  
totalny palant, co natychmiast wyrywa mnie z miłosnego ogłupienia.
- Uch, *quel* palant - mówię, odpychając go. Wybucho śmiechem i  
obejmuje mnie jednym ramieniem.
- Idziemy. Ale wchodzisz do Maison<sup>3</sup> Fontaine na własne ryzyko.  
Pierwsze, co zauważam w Maison Fontaine, to to, że telefon dzwoni, a  
Joe jakby tego nie zauważa. Słyszę dziewczęcy głos nagrywający się na  
sekretarkę, daleko, w innym pokoju, i przez sekundę myślę, że brzmi jak  
głos Rachel, po czym uznaję, że jednak nie brzmi. Po drugie zauważam,  
jak bardzo ten dom różni się od Maison Walker. Nasz dom wygląda,  
jakby mieszkali w nim Hobbici. U nas sufity są niskie, stolarka ciemna i  
sękata, podłogi zaślane są kolorowymi chodnikami ze skrawków, ściany  
zasłonięte obrazami. Dom Joego pływa wysoko na niebie, wśród chmur.  
Wszędzie jest pełno okien, z których widać uprażone słońcem pola  
falujące na wietrze, dalekie, ciemne lasy otulające rzekę, i samą rzekę,  
wijącą się w oddali z miasta do miasta. Nie ma tu stolików ze stertami  
poczty z wielu tygodni, butów wkopanych gdzie popadnie pod meble,  
otwartych książek na każdej poziomej powierzchni. Joe mieszka w mu-  
zeum. Na wszystkich ścianach wiszą przecudne gitary we wszystkich  
kolorach, kształtach i rozmiarach. Wyglądają jak żywe, jakby mogły  
same z siebie tworzyć muzykę.
- Fajne, co? Mój tata robi niesamowite instrumenty. I nie tylko gitary.  
Mandoliny, lutnie, cymbały - mówi, kiedy chciwie przyglądam się  
wszystkim po kolei.

A teraz coś zupełnie z innej bajki: pokój Joego. Fizyczna manifestacja teorii chaosu. Pęka w szwach od instrumentów, jakich w życiu nie widziałam i nawet nie potrafię sobie wyobrazić, jakie wydają dźwięki, kompaktów, czasopism muzycznych, książek po francusku i angielsku, koncertowych plakatów francuskich zespołów, o których w życiu nie słyszałam, komiksów, zeszytów pełnych kanciastego pisma dziwaka, arkuszy nut, sprzętu grającego, podłączonego i nie, rozbebeszonych wzmacniaczy i innej elektroniki, której nie rozpoznaję, gumowych zwierzątek, misek pełnych niebieskich szklanych kulek, talii kart, stert ciuchów sięgających kolan, nie wspominając już o talerzach, butelkach, szklankach... a nad biurkiem wisi mały fotos Johna Lennona.

- Hm... - mówię, wskazując fotos. Rozglądam się, ogarniam to wszystko wzrokiem. - Twój pokój daje mi całkiem nowe pojęcie o Joem Fontainie, szaleńcu z horroru.

- Tak, pomyślałem, że lepiej będzie ci pokazać to rumowisko, dopiero kiedy...

- Kiedy co?

- Nie wiem, kiedy już sobie uświadomiłaś...

- Co uświadomiłam?

- Nie wiem, Lennie. - Widzę, że jest zażenowany. Jakoś nagle zrobiło się niezręcznie.

- Powiedz mi. Kiedy sobie uświadomiłam co?

- Nic, to głupie. - Patrzy na swoje stopy, a potem znów na mnie. Jego rzęsy robią swój popisowy numer.

- Chcę wiedzieć - naciskam.

- Okej, powiem to: chciałem poczekać, aż sobie uświadomisz, że może ty też mnie lubisz.

Kwiat znów zakwita w mojej piersi, tym razem w trzy sekundy od pączka do najpiękniejszego okazu na wystawie.

- Lubię - przyznaję i dodaję bez zastanowienia: -Bardzo. - Co we mnie wstąpiło? Teraz naprawdę nie

mogę oddychać. Sytuację pogarszają usta, które nagle przyciskają się do moich.

Nasze języki zakochały się w sobie szaleńczo, wzięły ślub i wyjechały do Paryża.

Kiedy jestem już pewna, że nadrobiłam wszystkie minione bezcałusne lata, mówię:

- Jeśli nie przestaniemy się całować, świat wybuchnie.

- Na to wygląda - szepcze. Patrzy rozmarzony w moje oczy. Heathcliff i Cathy nie dorastają nam do pięt. -Możemy przez chwilę porobić coś innego - proponuje. -Jeśli chcesz... - Uśmiecha się. I nagle znów te jego rzęsy. Zastanawiam się, jak ja przetrwam ten wieczór.

- Chcesz pograć? - pyta.

- Chcę - mówię mu - ale nie wzięłam instrumentu.

- Zaraz przyniosę. - Wychodzi z pokoju, dzięki czemu mogę dojść do siebie i, niestety, pomyśleć o tym, co wcześniej wydarzyło się z Tobym. Jakie to było przerażające i niekontrolowane, jakbyśmy próbowali rozerwać się nawzajem na strzępy. Ale dlaczego? Żeby znaleźć Bailey? Żeby wyrwać ją z serca tego drugiego? Z jego ciała? A może to było coś gorszego? Czy próbowaliśmy o niej zapomnieć, wymazać jej wspomnienie dla jednej chwili namiętności? Ale nie, to nie to, to nie może być to, prawda? Kiedy jesteśmy razem, Bailey jest wszędzie dookoła nas, jak powietrze, którym oddychamy; to było pociechą aż do dzisiaj, aż tak fatalnie wymknęło się spod kontroli. Nie wiem. Wiem tylko, że tu chodzi wyłącznie o nią, bo nawet teraz, wyobrażając sobie Toby'ego samego z jego bólem, kiedy ja jestem tutaj z Joem, który przesłania mój ból, czuję się winna, jakbym go opuściła, a razem z nim moją żalobę, a z żalobą moją siostrę.

Znów dzwoni telefon i litościwie wyrывa mnie z tych myśli; ląduję z hukiem z powrotem na pobojuwisku -w tym pokoju, w którym Joe sypia na tym niezaścielonym

łóżku i czyta te porozrzucane wszędzie książki i pije z tych pięciuset niedopitych szklanek, jakby ze wszystkich naraz. Kręci mi się w głowie od tej intymności, od przebywania w miejscu, gdzie on myśli i śni; gdzie zmienia ubrania i rzuca je dosłownie wszędzie; gdzie jest nagi. Joe - nagi. Na myśl o tym, o nim, o nim całym - o kurde. Nigdy w życiu nie widziałam prawdziwego, żywego faceta całkowicie gołego. Nigdy. Tylko jakieś pornosy w Internecie, które wchłaniałyśmy z Sarą przez pewien czas. I tyle. Zawsze się bałam zobaczyć wszystko - zobaczyć to". Sarah mówiła, że kiedy pierwszy raz zobaczyła takiego twardego, z jej ust w tej jednej chwili wyfrunęło więcej nazw zwierząt niż przez całe życie. I to nie zwierząt, jakie każdemu przyszłyby do głowy. Żadnych pytonów czy węgorzy. Z tego, co mówiła, była to pełna menażeria: hipopotamy, słonie, orangutany, tapiry, gazyle itd.

Nagle powala mnie tęsknota za nią. Jak to się stało, że jestem w cholernej sypialni Joego Fontaine'a, i ona o tym nie wie? Jak mogłam ją tak olać? Wyciągam telefon, piszę: Odwołaj ekipę poszukiwawczą. Proszę. Wybacz".

Znów rozglądam się dookoła, dusząc w sobie wszelkie pokusy, żeby pogrzebać w szufladach, zajrzeć pod łóżko, przeczytać notes, który leży otwarty u moich stóp. Okej, duszę dwie z tych trzech pokus. To zły dzień dla moralności. A poza tym to nie jest takie znowu czytanie czyjegoś pamiętnika, jeśli ten pamiętnik leży otwarty, i możesz zerknąć, i widzisz swoje imię - czy też imię, jakim cię nazywa - w zdaniu, które brzmi... Uginam kolana i nie dotykając notesu żadną częścią ciała czytam tylko ten kawałek wokół inicjałów JL.

*Nigdy nie znałem nikogo tak cierpiącego jak JL, chcę sprawić, żeby poczuła się lepiej, chcę być przy niej cały czas, to wariactwo, zupełnie jakby była rozkręcona na*

*cały regulator, a wszyscy inni są wygtuszeni, i jest uczciwa, taka uczciwa, nie jak Genevieve, zupełnie nie jak Genevieve...*

Słyszę jego kroki na korytarzu, podnoszę się. Telefon znów dzwoni. Joe wraca z dwoma klarnetami, B i basowym, unosi je wyżej. Decyduję się na sopran, do jakiego jestem przyzwyczajona.

- Co jest grane z tym telefonem? - rzucam, zamiast spytać: Kto to jest Genevieve?" Zamiast paść na kolana i wyznać, że wcale nie jestem uczciwa, że prawdopodobnie jestem dokładnie taka jak Genevieve, kimkolwiek ona jest, tyle że bez tej francuskiej egzotyki.

Wzrusza ramionami.

- Mnóstwo ludzi do nas dzwoni - mówi i zaczyna swój rytuał ze strojeniem, podczas którego znika wszystko prócz niego i kilku akordów. Niedoceniony duet gitary i klarnetu z początku jest trochę niezręczny.

Potykam się o dźwięki, wpadamy na siebie, spoglądamy sobie zażenowani w twarze, próbujemy znów. Ale po chwili zaczynamy się zgrywać, a kiedy nie wiemy, dokąd zmierza to drugie, patrzymy sobie w oczy i słuchamy tak uważnie, że przez jeden ulotny moment jest tak, jakby rozmawiały ze sobą nasze dusze. Za którymś razem, kiedy przez chwilę improwizuję sama, Joe wykrzykuje:

- Twoje brzmienie jest niesamowite, tak strasznie samotne, jak... no nie wiem, dzień bez ptaków czy coś! - Ale ja wcale nie czuję się samotna.

Czuję się, jakby Bailey słuchała.

- No więc, późnym wieczorem wcale nie jesteś inna, jesteś dokładnie tą samą John Lennon. - Siedzimy na trawie, pijemy jakieś wino, które Joe zwędził ojcu. Frontowe drzwi są otwarte i francuska pieśniarka ryczy



z nich w ciepłą noc. Popijamy prosto z butelki, jemy ser i bagietkę. Wreszcie jestem z Joem we Francji, myślę, i się uśmiecham.

- Co? - pyta.

- Nie wiem. To jest fajne. Nigdy wcześniej nie piłam wina.

- Ja piłem przez całe życie. Kiedy byliśmy mali, tata mieszał je nam z wodą.

- Naprawdę? Pijani mali Fontaine'owie wpadający na ściany?

Wybuchają śmiechem.

- Właśnie. To moja teoria, dlaczego francuskie dzieci są takie grzeczne.

Przez większość czasu są pijane w *petit mignon*<sup>4</sup> sztok. - Przechyliła butelkę, wypija łyk i podaje ją mnie.

- Twoi oboje rodzice są Francuzami?

- Tata jest, urodził się i wychował w Paryżu. Moja mama pochodzi stąd. Ale tata sobie to odbija, jest jak agencja castingowa dla francuskich ciż. - W jego głosie słyszę gorycz, ale nie drażę tematu. Dopiero co otrząsnęłam się ze skutków mojego wścibstwa; prawie zapomniałam o Genevieve i o znaczeniu uczciwości dla Joego, kiedy nagle on pyta: - Byłaś kiedyś zakochana? - Leży na plecach, patrzy w niebo pijane od gwiazd.

Nie wrzeszczę: Tak, jestem w tej chwili, w tobie, głupku!", jak mam ochotę, ale mówię:

- Nie, do tej pory byłam raczej żadna. Unosi się na jednym łokciu, patrzy na mnie.

- Jak to: żadna?

Siedzę, obejmując kolana, i patrzę na wysypkę świateł w dolinie.

- To było tak, jakbym spała czy coś; byłam szczęśliwa, ale przez sen, całych siedemnaście lat, a potem Bailey

---

<sup>4</sup> *petit mignon* (fr.) - tu: maluteńki.

umarła... - Wino rozwiązało mi język, ale nie wiem, czy mówię do rzeczy. Patrzę na Joego. Słucha mnie tak uważnie, jakby chciał łapać w dłonie słowa, które spadają z moich ust.

- A teraz?

- A teraz nie wiem. Czuję się całkiem inaczej. -Podnoszę kamyk i rzucam go w ciemność. Myślę o tym, jaki był kiedyś świat: przewidywalny, rozsądny. A ja byłam taka sama. Myślę o tym, że nie ma przewidywalności, nigdy jej nie było, tylko wcześniej tego nie wiedziałam. -Teraz już chyba nie śpię, i może to i dobrze, ale to jest bardziej skomplikowana sprawa, bo teraz jestem kimś, kto wie, że najgorsze może się stać w każdej chwili.

Joe kiwa głową, jakbym mówiła sensownie, i to dobrze, bo ja nie mam pojęcia, co przed chwilą powiedziałam. Ale wiem, o co mi chodziło. Chodziło mi o to, że wiem, jak blisko jest śmierć. Jak się czai. A kto chce to wiedzieć? Kto chce wiedzieć, że jesteśmy zaledwie jeden beztrioski oddech od własnego końca? Kto chce wiedzieć, że osoba, którą kochasz, której potrzebujesz najbardziej, może po prostu zniknąć na zawsze?

Joe mówi:

- Ale skoro jesteś kimś, kto wie, że w każdej chwili może się stać najgorsze, to czy nie jesteś jednocześnie kimś, kto wie, że w każdej chwili może się stać najlepsze?

Myślę o tym i nagle ogarnia mnie euforia.

- Tak, masz rację - przyznaję. - Jak w tej chwili z tobą, na przykład - To zdanie wylatuje z moich ust, nim udaje mi się je powstrzymać, i widzę, jak twarz Joego zaczyna promienieć z zachwytu.

- Jesteśmy pijani? - pytam. Wypija kolejny łyk.

- Całkiem możliwe.

- A wracając do tematu, czy ty kiedykolwiek...

- Nigdy nie przeżyłem niczego takiego jak to, co ty teraz przeżywasz.
- Nie, chodziło mi o to, czy byłeś kiedyś zakochany? - Ściska mnie w żołądku. Tak strasznie chcę, żeby powiedział: nie, ale wiem, że nie powie, i nie mówi.
- Tak, byłem. Chyba. - Kręci głową. - A przynajmniej tak mi się wydaje.
- Co się stało?

W oddali słychać syrenę. Joe siada.

- W wakacje co roku pomieszkowałem w internacie. Któregoś dnia nakryłem ją z moim współlokatorem, zabiło mnie to. Dosłownie zabiło. Nigdy więcej nie rozmawiałem ani z nią, ani z nim, rzuciłem się w muzykę zupełnie po wariacku, przysiągłem sobie, że nigdy więcej dziewczyn, hm, w każdym razie do teraz... - Uśmiecha się, ale nie tak jak zwykle. W jego uśmiechu jest jakaś bezbronność, wahanie; to jest w całej jego twarzy, pływa w jego pięknych zielonych oczach. Zamykam swoje, żeby nie musieć na to patrzeć, bo mogę myśleć tylko o tym, jak dzisiaj o mało nie nakrył mnie z Tobym.

Joe bierze butelkę i pije.

- Morał z tej historii: skrzypaczki są szalone. To wszystko pewnie przez ten wariacki smyczek. - Genevieve, piękna francuska skrzypaczka. Uch.
- Tak? A klarncistki? Uśmiecha się.
- Najsmutniejsze. - Przeciąga palcami po mojej twarzy, od czoła do policzka, do podbródka, a potem w dół szyi. - I takie piękne. - O rany, już rozumiem, dlaczego król Edward VIII zrzekł się tronu dla miłości. Gdybym ja miała tron, zrzekłabym się go dla ostatnich trzech sekund.
- A trębacze? - pytam, splatając palce z jego palcami. Kręci głową.

- Diabły wcielone. Lepiej omijać szerokim łukiem. Typy w stylu wszystko albo nic, dla tych zarzumialców nie ma żadnych stanów pośrednich. - Oo. - Nie chciałabyś rozzłościć trębacza - dodaje żartobliwie, ale ja nie słyszę w tym żartu. Nie mogę uwierzyć, że go dzisiaj okłamałam. Muszę się trzymać z daleka od Toby'ego. Z bardzo daleka.

Para kojotów wyje w oddali; po plecach przebiega mi dreszcz. Niezłe wycucie chwili, pieski.

- Nie wiedziałam, że wy, trębacze, jesteście tacy przerażający - mówię, puszczając jego rękę. Wychylam łyk z butelki. - A gitarzyści?

- Ty mi powiedz.

- Hm, niech pomyślę... - Tym razem to ja przeciągam palcem po jego twarzy. - Pospolici i nudni, i oczywiście beztalencia... - Joe zaczyna chichotać. - Jeszcze nie skończyłam. Ale rekompensują to wszystko, bo są strasznie, strasznie namiętni...

- O Boże - szepcze, obejmując dłonią mój kark i zaczyna mnie całować. - Tym razem niech ten pieprzony świat sobie wybucha.

I wybucha.



Leżę w łóżku i słyszę głosy.

- Jak myślisz, co się z nią dzieje?

- Nie wiem. Może te pomarańczowe ściany tak na nią działają. - Pauza, a potem: - Pomyślmy logicznie. Objawy: ciągle w łóżku w słoneczne sobotnie południe, półprzymiotny uśmiech na twarzy, plamy na wargach, prawdopodobnie od czerwonego wina, którego nie wolno jej pić, ale tym zajmiemy się później, i najważniejsze, ciągle jest w ubraniu; dodam: w sukience w kwiaty.

- No więc, według mojej opinii jako eksperta, a jestem nim dzięki ogromnemu doświadczeniu i pięciu cudownym, choć pełnym wad małżeństwom, nasza Lennie, alias John Lennon, dostała szajby z miłości. Big i Gram patrzą na mnie z góry i się uśmiechają. Czuję się jak Dorotka, która obudziła się w swoim łóżku, otoczona przez swoje Kansas po wycieczce na drugi koniec tęczycy.

- Myślisz, że jeszcze kiedyś wstaniesz? - Teraz Gram siedzi na moim łóżku i głaszcze mnie po dłoni, którą trzyma w swojej.

- Nie wiem. - Przekręcam się przodem do niej. - Mam ochotę leżeć tu w nieskończoność i myśleć o nim. - Nie zdecydowałam się jeszcze, co jest lepsze: przeżycie wczorajszego wieczoru czy błogi film w mojej głowie, gdzie mogę wcisnąć pauzę i zmienić ekstatyczne sekundy w całe godziny, gdzie mogę przewijać pewne chwile, aż znów

czuję w ustach słodki, trawiasty smak Joego, aż koniczynowy zapach jego skóry znów wypełnia powietrze, aż czuję jego dłonie głaszczące moje włosy, wędrujące po mojej sukience, tej jednej cieniutkiej warstwie między nami, aż do tej chwili, kiedy wsunął dłonie pod materiał i poczułam jego palce na skórze jak muzykę - i wszystko to sprawia, że wciąż od nowa i od nowa spadam z tego urwiska, którym jest moje serce.

Tego ranka po raz pierwszy Bailey nie była moją pierwszą myślą po przebudzeniu i ogarnęło mnie przez to poczucie winy. Ale poczucie winy nie miało szans ze świtającą mi myślą, że się zakochuję. Wczesnym rankiem patrzyłam przez okno we mgłę i przyszło mi do głowy, że może to Bailey zesłała mi Joego, żebym wiedziała, że w tym samym świecie, w którym ona mogła umrzeć, mogło się wydarzyć coś takiego.

Big mówi:

- Popatrz na nią tylko. Musimy ściąć te przeklęte krzaki róż. - Jego włosy są dziś wyjątkowo pokręcone i sprężyste, a wąsy nie są nawoskowane, więc wyglądają jak wiewiórka przebiegająca mu po twarzy. W każdej bajce Big gra króla.

Gram beszta go:

- Dajże spokój, przecież nawet w to nie wierzysz. - Gram nie lubi, kiedy ktoś podsycy plotkę o jej różach afrodyzjakach, bo był czas, kiedy zdesperowani kochankowie rozkradali je, by próbować odmienić serca swoich ukochanych. Doprowadzało ją to do szału. Gram niewiele spraw na świecie traktuje poważniej niż właściwe przycinanie krzaków.

Ale Big nie odpuszcza.

- Wyznaję metodę naukową wierzę w to, co widzę". Bardzo proszę, zechciej spojrzeć na rzeczowy dowód leżący na tym łóżku. Ona jest gorsza ode mnie.

- Nikt nie jest gorszy od ciebie, jesteś miejscowym casanową. - Gram przewraca oczami.

- Określenie casanowa" implikuje rozpustnika - odgryza się Big, podkreślając wiewiórkę dla podkreślenia swoich słów.

Siadam na łóżku i opieram się plecami o parapet, żeby móc wygodniej przysłuchiwać się temu słownemu meczowi. Czuję przez okno letni dzień, rozkosznie grzejący mnie w plecy. Ale jedno spojrzenie na łóżko Bailey od razu mnie gasi. Jak coś tak potężnego może mi się przydarzać bez niej? A co z wszystkimi potężnymi wydarzeniami, które przyjdą później? Jak ja przeżyję każde z nich bez niej? Nie obchodzi mnie, że miała przede mną tajemnice. Chcę jej opowiedzieć absolutnie wszystko o wczorajszym wieczorze, o wszystkim, co mnie kiedykolwiek spotka! Nawet nie zauważam, kiedy zaczynam płakać, ale nie chcę, żebyśmy wszyscy cofnęli się do punktu wyjścia, więc łykam i łykam te łzy, i staram się skupić na wczorajszym wieczorze, na zakochiwaniu się. Zauważam swój klarnet po drugiej stronie pokoju, na wpół przykryty wzorzystą apaszką Bailey, którą ostatnio zaczęłam nosić.

- Joe nie wpadł dzisiaj rano? - pytam, bo znów chcę zagrać, chcę wydmuchać to wszystko, co czuję, z mojego klarnetu.

Big odpowiada:

- Nie, założę się o milion dolarów, że jest dokładnie w tym samym miejscu, co ty, chociaż zapewne ma ze sobą gitarę. Pytałaś go już, czy z nią sypia?

- On jest muzycznym geniuszem - oznajmiam i czuję, że moje wcześniejsze upojenie wraca. To już pewne: mam cyklofrenię.

- Jezu kochany. Chodź, Gram, to beznadziejny przypadek. - Big puszcza do mnie oczko i rusza do drzwi.



Gram wciąż siedzi obok mnie i czochra mi włosy, jakbym była małą dziewczynką. Przygląda mi się uważnie i trochę za długo. O nie. W tym transie zapomniałam, że ostatnio właściwie nie rozmawiałam z Gram, że od wielu tygodni nie byliśmy sam na sam, jak w tej chwili.

- Len. - To z całą pewnością jest jej poważnorozmowny ton, ale tym razem chyba nie chodzi jej o Bailey. O wyrażanie moich uczuć. O pakowanie rzeczy Bailey. O pójście do miasta na lunch. O wznowienie lekcji muzyki. O wszystkie te rzeczy, których nie chciałam robić.

- Tak?

- Rozmawialiśmy o antykoncepcji, chorobach i tak dalej... - Uff. To jest nieszkodliwe.

- Tak, z milion razy.

- Okej, pod warunkiem że nagle nie zapomniałaś tego wszystkiego.

- Nie.

- I dobrze. - Znów klepie mnie po dłoni.

- Gram, jeszcze nie ma potrzeby, okej? - Czuję rumieniec, nie do uniknięcia przy takim wyznaniu, ale lepiej żeby się nie bała i nie przesłuchiwała mnie bez przerwy.

- Jeszcze lepiej, jeszcze lepiej - mówi; w jej głosie słychać ewidentną ulgę, a ja zaczynam się zastanawiać. Wczoraj z Joem było strasznie seksownie, trzymaliśmy pożądanie na wodzy, żeby się w tym rozsmakowywać. Z Tobym było zupełnie inaczej. Niepokoję się, co by było, gdyby nikt nam nie przeszkodził. Czy miałabym dość rozsądku, żeby nas powstrzymać? Czy on by miał? Wiem tylko tyle, że wszystko działo się strasznie szybko, że kompletnie nie panowałam nad sobą, a prezerwatywy byłyby ostatnią rzeczą, o jakiej bym pomyślała. Boże. Jak do tego doszło? Jakim cudem ręce Toby'ego Shawa w ogóle wylądowały na moich piersiach? Toby'ego! I ledwie parę godzin przed rękami Joego. Mam ochotę zanurkować pod

łóżko i zamieszkać tam na stałe. Jakim sposobem z mola książkowego i orkiestrowej ciamajdy zmieniłam się w latawicę, która zalicza dwóch chłopaków tego samego dnia?

Gram uśmiecha się, błogo nieświadoma mdłości podchodzących mi do gardła, skurczów moich kiszek. Znow mierzwi mi włosy.

- W tej tragedii ty dorastasz, skarbie, i to jest naprawdę cudowna sprawa. Jęk.



Lennie! Lennie! Lennnieeeeeeeee! Boże, ależ za tobą tęskniłam! - Odsuwam komórkę od ucha. Sarah nie odpisała mi na SMS, więc założyłam, że jest naprawdę wściekła. Przerywam jej, żeby to powiedzieć, a ona odpowiada: -Bo jestem wściekła! I nie gadam z tobą! - Po czym rzuca się głową naprzód we wszystkie letnie plotki, które przegapiłam. Wchłaniam je, ale wiem, że w jej słowach było trochę prawdziwej goryczy. Leżę w łóżku, wykończona po ćwiczeniu adagio i *Tarantelli* Cavalliniego przez bite dwie godziny; to było niesamowite, jakbym zmieniała powietrze w kolory. Przypomniało mi to cytaty z Charliego Parkera, który lubił powtarzać pan James: Jeśli tym nie żyjesz, to nie wyjdzie z twojej trąbki". Pomyślałam też, że może jednak pójść na próbę orkiestry.

Sarah i ja umawiamy się w Wąwozie Samobójcy. Strasznie chcę jej powiedzieć o Joem. O Tobym nie. Myślę sobie, że jeśli nie będę o tym mówić, to będę mogła udawać, że to się po prostu nie stało.

Sarah leży na skale w słońcu i czyta *Drugą płęć* Simone de Beauvoir, przygotowując się zapewne do swojej bardzo obiecującej wyprawy łowieckiej na seminarium feministyczne na Stanowym Wydziale Studiów Genderowych. Na mój widok zrywa się na nogi i ściska mnie jak wariatka, nie zważając na fakt, że jest kompletnie goła. Mamy własny sekretny basenik i miniwodospadzik za Samobójcą; przychodzimy tu od lat. Uznałyśmy,

że w tym miejscu ubranie jest opcjonalne i wybieramy opcję bez.

- Boże, to trwało całe wieki - mówi.

- Strasznie cię przepraszam - odpowiadam, odwzajemniając jej uścisk.

- Już w porządku, naprawdę. Wiem, że teraz muszę ci dać kredyt wyrozumiałości. Więc to jest... - Odsuwa się na sekundę i przygląda mojej twarzy. - Chwilunia. Co ci jest? Wyglądasz dziwnie. Ale tak totalnie dziwnie.

Nie mogę przestać się uśmiechać. Pewnie wyglądam jak Fontaine.

- Co, Lennie? Co się stało?

- Chyba się zakochałam. - Ledwie te słowa wychodzą z moich ust, czuję, że twarz mi płonie ze wstydu. Powinnam być w żałobie, a nie się zakochiwać. Nie wspominając już o wszystkich innych rzeczach, które robiłam.

- Coo?! Niewiarykurnakurnakurnakurnagodne! Krowy na księżycu, Len! Krowy. Na. Księ. Życu! - To by było tyle, jeśli chodzi o mój wstyd. Sarah przeszła w tryb cheerliderki, wymachuje rękami, podskakuje jak wariatka. Nagle się zatrzymuje. - Zaraz. W kim? Mam nadzieję, że nie w Tobym?

- Nie, nie, oczywiście że nie - mówię spod rozpedzonego tira wstydu, który mnie właśnie rozjechał na placek.

- Uff - oddycha z ulgą Sarah, teatralnie ocierając czoło. - Więc w kim? W kim ty się mogłaś zakochać? Nigdzie nie chodziłaś, a przynajmniej ja o tym nie wiem, a to miasto to zagłębienie oferm, więc gdzie go znalazłaś?

- Sarah, to jest Joe.

- Nie jest.

- Jest.

- Nie!

- Tak.

- Nieprawda.

- Prawda.
- Nie-e, nie-e, nie-e.
- Ta-ak, ta-ak, ta-ak. I tak dalej.

Jej wcześniejszy popis entuzjazmu był niczym w porównaniu z tym, co dzieje się teraz. Chodzi wokół mnie i nadaje:

- Omajgad. Jestem taaka zazdrosna. Wszystkie laski w Clover uganiają się za tym czy innym Fontaine'em. Nic dziwnego, że się odcięłaś. Też bym się odcięła, gdybym była odcięta z którymś z nich. Boże, pozwól mi pożycić twoim życiem. Opowiadaj wszystko z cholernymi szczegółami. Ten piękny, piękny chłopak, te oczy, te rzęsy, ten niewiarykurnagodny uśmiech, ta trąbka, tał, Lennieee. - Teraz chodzi w tę i z powrotem, zapaliła kolejnego papierosa, kopci jednego za drugim z tej radości, goła zakopcona ma-niaczka. Jestem taka szczęśliwa, że mogę być z tym cudem natury, moją przyjaciółką Sarą. I jestem taka szczęśliwa, że jestem szczęśliwa z tego powodu.

Opowiadam jej wszystko ze szczegółami. Jak przychodził każdego ranka z croissantami, jak graliśmy razem, jak uszczęśliwiał Gram i Biga samym przebywaniem w naszym domu, jak piliśmy wino wczoraj wieczorem i całowaliśmy się, aż byłam pewna, że poszłam prosto do nieba.

Powiedziałam jej, że wydaje mi się, że słyszę bicie jego serca, nawet kiedy nie ma go przy mnie, że czuję, jak kwiaty - gargantuiczne - kwitną w mojej piersi, że na pewno tak samo czuli się Heathcliff i Cathy, zanim...

- Okej, zatrzymaj się na sekundę. - Wciąż się uśmiecha, ale wygląda też na lekko zaniepokojoną i zaskoczoną. - Lennie, ty się nie zakochałaś, ty dostałaś świra. Nigdy nie słyszałam, żeby ktoś tak mówił o facecie.

Wzruszam ramionami.

- No więc dostałam świra.

- Rany, ja też chcę dostać świra. - Siada obok mnie na skale. - Całowałaś się w życiu ledwie z trzema facetami, i nagle to. Pewnie oszczędzałaś się dla kogoś...

Wyłuszczam jej moją odjechaną teorię, że spałam przez całe życie, aż do niedawna.

- No nie wiem, Len. Mnie się zawsze wydawałaś całkiem przytomna.

- Tak, ja też nie wiem. To teoria wyprodukowana po winie. - Sarah bierze kamień, rzuca go do wody z trochę przesadną siłą. - Co? - pytam.

Nie odpowiada od razu; podnosi kolejny kamyk i jego też ciska w wodę.

- Jestem na ciebie wściekła, ale nie wolno mi, rozumiesz?

Dokładnie to samo czuję ostatnio do Bailey.

- Tyle przede mną ukrywałaś, Lennie. Myślałam... nie wiem.

Zupełnie jakby wygłaszała moje kwestie w sztuce.

- Przepraszam - mówię znów, słabym głosem. Chcę powiedzieć więcej, jakoś jej to wyjaśnić, ale prawda jest taka, że nie wiem, dlaczego byłam tak zamknięta na nią, od kiedy Bailey umarła.

- Już w porządku - powtarza Sarah cicho.

- Teraz już będzie inaczej - mówię, mając nadzieję, że to prawda - Obiecuję.

Patrzę na słońce, kokietujące powierzchnię rzeki, na zielone liście, na mokre skały za wodospadem.

- Chcesz pójść popływać?

- Jeszcze nie - mówi. - Ja też mam nowiny. Nie tak wstrząsające, ale jednak. - To wyraźny przytyk, ale zasłużyłam sobie. Nawet nie spytałam, co u niej.

Uśmiecha się do mnie znacząco i dość świrowato, szczerze mówiąc.

- Spiknęłam się wczoraj wieczorem z Lukiem Jacobusem.

- Z Lukiem? - Jestem zaskoczona. Nie licząc jego ostatniej zapaści umysłowej, w wyniku której został kolejną padliną przejechaną przez Rachel, od drugiej klasy jest pod-dańczo i bez wzajemności zakochany w Sarze. Nazywała go zawsze Królem Nerdiversum. - A nie całowałaś się z nim przypadkiem w siódmej ldasie i nie rzuciłaś go natychmiast, kiedy ten głupi surfer błysnął na ciebie zębami?

- Tak, to pewnie głupie - mówi. - Zgodziłam się napisać tekst do takiego jednego niesamowitego kawałka, który skomponował, no i siedzieliśmy przy tym, i tak jakoś wyszło.

- A co z zasadą Jeana-Paula Sartre'a?

- Uznałam, że poczucie humoru przebija odczytanie, a poza tym, Len, skaczące żyrafy, gejzer wzrostu! Facet ostatnio wygląda jak Hulk.

- Jest zabawny - przyznaję. - I zielony.

Wybucha śmiechem; w tej samej chwili moja komórka sygnalizuje SMS. Grzebię w torebce i wyciągam telefon, mając nadzieję na wiadomość od Joego.

Sarah wyśpiewuje:

- Lennie dostała list miłosny od Fontaine'a - i próbuje przeczytać mi SMS przez ramię. - No, pokaż. - Wrywa mi telefon. Odbieram jej go, ale jest już za późno. SMS brzmi: Muszę z tobą porozmawiać. T".

- Znaczy, Toby? - pyta. - Ale ja myślałam... To znaczy, dopiero co mówiłaś... Lennie, co ty wyprawiasz?

- Nic - mówię jej, wrzucając telefon z powrotem do torby. Już łamię swoją obietnicę. - Naprawdę. Nic.

- Dlaczego ci nie wierzę? - jęczy Sarah, kręcąc głową. - Mam przeczucie, że to się źle skończy.

- To nie miej - ucinam, przetykając własne koszmarne przeczucie. - Naprawdę. Przecież ześwirowałam, pamiętasz? - Dotykam jej ręki. - Chodźmy popływać.



Unosimy się na plecach na wodzie przez ponad godzinę. Wyciągam od Sary wszystko na temat jej wieczoru z Lukiem, żeby nie myśleć o SMS-ie od Toby'ego, nie zastanawiać się, co może być aż tak pilne. Potem wdrapujemy się na wodospad i włączymy pod niego, i wrzeszczymy raz po raz w jego ryku, jak robiłyśmy to od dziecka. Mój wrzask jest wrzaskiem wściekłości.



*Były sobie raz dwie siostry,  
które nie bały się ciemności,  
bo ciemność była pełna głosu, siostry  
po drugiej stronie pokoju.,  
bo nawet kiedy noc była czarna  
i bezgwiezdna,  
wracały do domu.  
razem znad rzeki,  
sprawdzając się, która wytrzyma dłużej bez zapalania latarki,  
nie bały się  
bo czasami w najgłębszej ciemności  
kładły się na plecach pośrodku ścieżki  
i patrzyły w góry, dopóki nie wróciły gwiazdy, a kiedy wracały,  
siostry wyciągały rece,  
by ich dotknąć,  
i dotykały.*

*(Znalezione na kopercie wetkniętej pod oponę samochodu na Main Street).*

Wracając do domu znad rzeki, przez las, uznaję, że Toby, tak jak ja, czuje się fatalnie z powodu tego, co zaszło, i stąd ten naglący SMS. On pewnie chce po prostu postawić sprawę jasno, że to się już nigdy nie powtórzy. No więc, zgoda. Żadnych sprzeciwów ze strony starej dobrej ześwirowanej *moi*.

Chmury się zebrały i powietrze zdaje się gęste od możliwości letniego deszczu, tak rzadkiego w naszych stronach. Dostrzegam na ziemi kubek po kawie, siadam, piszę na nim kilka wersów i grzebię go pod kupką sosnowych igieł. Wreszcie kładę się na plecach na gąbczastej ziemi lasu. Uwielbiam to robić - rezygnować ze wszystkiego na rzecz ogromu nieba, albo sufitu, jeśli jest taka potrzeba, kiedy jestem w domu. Wyciągam rękę, wciskam palce w piaszczystą ziemię i zaczynam się zastanawiać, co robiłabym w tej chwili, co bym czuła w tej minucie, gdyby Bailey wciąż żyła. Dociera do mnie coś, co mnie przeraża: byłabym szczęśliwa, ale tak nijako, nie byłoby w tym żadnego świra. Dreptałabym przed siebie żółwym krokiem, jak zawsze dreptałam, skulona w skorupie, cała i zdrowa.

Ale co, jeśli teraz jestem żółwiem bez skorupy, w równej mierze ześwirowanym co zdruzgotanym, niewiarykur-nagodnie pogubioną dziewczyną, która chce pokolorować powietrze klarnetem - i jeśli w głębi duszy wolę właśnie taki stan? Jeśli - mimo że boję się cienia śmierci - podoba mi się, jak przyspiesza ona puls, nie tylko mój, ale puls

całego świata? Wątpię, czy Joe w ogóle by mnie zauważył, gdybym wciąż siedziała w tej twardej skorupie nijakiego szczęścia. Napisał w swoim pamiętniku, że jego zdaniem jestem rozkręcona na cały regulator, ja, i może teraz jestem, ale nigdy przedtem nie byłam. Jak to możliwe, żeby koszt tej zmiany we mnie był tak wielki? To wydaje się nie fair, że coś dobrego może wynikać ze śmierci Bailey. To nie fair, że w ogóle mam takie myśli.

Ale potem myślę o mojej siostrze, o tym, jakim ona była żółwiem bez skorupy, i jak chciała, żebym ja też była. Noo, Lennie", mówiła do mnie niecierpliwie z dziesięć razy dziennie. Noo, Len". I kiedy o tym myślę, robi mi się lepiej, jakby to raczej jej życie, a nie jej śmierć, uczyło mnie teraz, jaka mam być, kim mam być.

Wiem, że Toby jest u nas, jeszcze przed wejściem do domu, bo Lucy i Ethel leżą na werandzie. Kiedy wchodzę do kuchni, widzę, że on i Gram siedzą przy stole i rozmawiają ściszymi głosami.

- Cześć - mówię osłupiała. Czy do niego nie dociera, że nie może tutaj być?

- Popatrz, jakiego miałam farta - mówi Gram. - Szłam do domu z ciężkimi zakupami i nagle Toby śmignął koło mnie na desce. - Gram nie prowadzi samochodu od końca XX wieku. Wszędzie w Clover chodzi pieszo i właśnie dzięki temu została Ogrodową Guru. Nie mogła się powstrzymać; zaczęła zabierać ze sobą sekator na wycieczki do miasta i ludzie zastawali ją w swoich ogrodach, przycinając ich krzaki do perfekcji. Ironia losu, biorąc pod uwagę jej własną politykę Ręce precz od mojego ogrodu".

- Farta, powiadasz - mówię do Gram, przyglądając się Toby'emu. Jego ręce pokrywają świeże zadrapania, pewnie od szaleństw na desce. Ma dziki wzrok, potargane włosy i ciuchy, wygląda, jakby kompletnie odleciał. W tej

chwili docierają do mnie dwie rzeczy: myślałam się co do SMS-a, i nie chcę już być odleciiana z nim.

Tak naprawdę to chcę pójść do Świątyni i pograć na klarnecie.

Gram patrzy na mnie, uśmiecha się.

- Pływałaś. Twoje włosy wyglądają jak cyklon. Chciałabym je namalować. - Wyciąga rękę i dotyka mojego cyklonu. - Toby zje z nami kolację.

Nie mogę w to uwierzyć.

- Nie jestem głodna - mówię. - Idę na górę.

Gram aż się zachłystuje przez moją nieuprzejmość, ale ja mam to gdzieś.

Za żadne skarby nie mam zamiaru siedzieć przy kolacji z Gram, Bigiem i Tobym, który dotykał moich piersi. Co jej strzeliło do głowy?

Idę na górę do Świątyni, rozpakowuję i montuję klarnet, po czym wyjmuję nuty Edith Piaf, które pożyczył mi pewien *garçon*", otwieram na stronie *La Vie en Rose* i zaczynam grać. To piosenka, której słuchaliśmy wczoraj wieczorem, kiedy świat wybuchnął. Mam nadzieję, że uda mi się tu po prostu siedzieć w stanie Joelirium i że nie usłyszę pukania do drzwi, kiedy tamci już zjedzą, ale oczywiście słyszę.

Toby, który dotykał moich piersi, i - nie zapominajmy o tym - wkładał mi rękę do dzinsów, otwiera drzwi, idzie niepewnie przez pokój i siada na łóżku Bailey. Przystaję grać, odkładam klarnet na stojak. Idź sobie, myślę bezdusznie, po prostu idź sobie. Udawajmy, że to się nie wydarzyło. Że nic się nie wydarzyło.

Żadne z nas nie mówi ani słowa. Toby pociera dłońmi uda tak zawzięcie, że z pewnością generuje ciepło. Jego spojrzenie błądzi po całym pokoju.

Wreszcie uczepia się zdjęcia na komodzie, przedstawiającego jego i Bailey.

***garçon* (fr.) - chłopak.**

Bierze wdech, spogląda na mnie. Jego spojrzenie zostaje dłużej.

- Jej bluzka...

Patrzę w dół. Zapomniałam, że mam ją na sobie.

- Tak. - Coraz częściej noszę rzeczy Bailey, już nie tylko w Świątyni, ale i poza nią. Przyłapuję się na tym, że grzebiąc we własnych szufladach, myślę: kim była dziewczyna, która nosiła te rzeczy? Jakiś psychiatra byłby tym wszystkim zachwycony, myślę, patrząc na Toby'ego. Pewnie powiedziałby mi, że próbuję zająć miejsce Bailey. Albo, co gorsza, że rywalizuję z nią w taki sposób, w jaki nie mogłam tego robić, kiedy żyła. Ale czy to naprawdę jest to? Kiedy noszę jej ubrania, po prostu czuję się bezpieczniejsza, jakby szeptała mi do ucha.

Jestem zamyślona, więc zaskakuje mnie, kiedy Toby odzywa się nagle dziwnym, drżącym głosem:

- Len, przepraszam. Za wszystko. - Spoglądam na niego. Jest jakiś taki bezbronny, przestraszony. - Zupełnie nad sobą nie panuję, fatalnie się z tym czuję. - To to chciał mi powiedzieć? Ulga wytacza się z mojej piersi.

- Ja też - mówię, tając natychmiast. Jesteśmy w tym razem.

- Ja bardziej, uwierz mi - przekonuje, znów rozcierając uda. Jest taki zrozpaczony. Czyżby myślał, że to jego wina czy coś?

- Oboje to zrobiliśmy, Toby - mówię. - Za każdym razem. Oboje jesteśmy okropni.

Patrzy na mnie, jego ciemne oczy są ciepłe.

- Ty nie jesteś okropna, Lennie. - Jego głos jest łagodny, serdeczny.

Widzę, że chce do mnie sięgnąć. Cieszę się, że jest po drugiej stronie pokoju. Chciałabym, żeby był po drugiej stronie równika. Czy nasze ciała teraz myślą, że ilekroć są razem, będzie im wolno się dotykać? Mówię

mojemu, że absolutnie nie ma mowy, nieważne, że znowu to czuję.  
Nieważne.

I nagle zdradziecka asteroida przebija się przez ziemską atmosferę i z grzmiotem wpada do Świątyni:

- Tylko chodzi o to, że nie mogę przestać o tobie myśleć - mówi Toby. -  
Nie mogę. Po prostu... - Zgniatą narzutę Bailey w pięściach. - Chcę...  
- Proszę cię, nie mów nic więcej. - Przechodzę przez pokój do mojej  
komody, wyciągam środkową szufladę, sięgam do niej i wyjmuję bluzkę.  
Moją bluzkę. Muszę zdjąć bluzkę Bailey. Bo nagle zaczyna mi się  
wydawać, że ten wyimaginowany psychiatra trafił w sedno.  
- To nie ja - szepczę cicho, otwierając drzwi szafy i wślizgując się do  
środku. - Ja nie jestem nią.

Siedzę w ciemności, milcząca, starając się odzyskać kontrolę nad  
oddechem, nad życiem, włożyć moją własną bluzkę na moje własne ciało.  
Czuję się tak, jakby pod moimi stopami płynęła rwąca rzeka, która pcha  
mnie do niego, mimo tego wszystkiego, co stało się z Joem - rycząca,  
namiętna, rozpaczliwa rzeka - ale tym razem nie chcę iść. Chcę zostać na  
brzegu. Nie możemy ciągle brać w objęcia ducha.

Kiedy wychodzę z szafy, jego już nie ma.

- Przepraszam - mówię głośno do pustego pomarańczowego pokoju.

Jakby w odpowiedzi, tysiące dłoni zaczynają pukać w dach. Podchodzę  
do łóżka, wspinam się do parapetu i wystawiam ręce na dwór. Jako że  
latem miewamy tylko jedną, dwie burze, deszcz jest wydarzeniem.

Wychyłam się daleko poza parapet, z dłońmi odwróconymi do nieba,  
pozwalam, żeby to wszystko przepływało mi przez palce i przypominam  
sobie, co Big powiedział Toby'emu i mnie tamtego popołudnia. Nie da się  
tego ominąć, trzeba przez to przejść." Kto to wtedy wiedział, przez co  
będziemy przechodzić?



Widzę, że ktoś biegnie ulicą w ulewie. Kiedy postać zbliża się do oświetlonego ogrodu, widzę, że to Joe, i natychmiast robi mi się lepiej. Moje koło ratunkowe.

- Hej! - wrzeszczę i macham jak wariatka.

On spogląda w okno, uśmiecha się, a ja mało nóg nie gubię, pędząc na dół, za drzwi i w deszcz, byle tylko być przy nim.

- Tęskniłam za tobą - mówię, dotykając palcami jego policzka. Krople deszczu kapią z jego rzes, płyną strumykami po twarzy.

- Boże, ja też. - Nagle jego dłonie są na moich policzkach i całujemy się, a deszcz leje się na nasze szalone głowy i znów całe moje jestestwo rozpala radość.

Nie wiedziałam, że zakochany człowiek czuje coś takiego - jakby zamieniał się w światło.

- Co ty wyprawiasz? - pytam, kiedy wreszcie udaje mi się oderwać od niego na chwilę.

- Zobaczyłem, że pada, wymknąłem się, chciałem cię zobaczyć, tak po prostu.

- Dlaczego musisz się wymykać? - Deszcz wsiąka w nas, moja bluzka klei się do mnie, dłonie Joego kleją się do bluzki, wędrują w górę i w dół.

- Mam areszt domowy - mówi. - Niezła wtopa, to wino, które wypiliśmy, kosztuje czterysta dolarów za butelkę. Nie miałem pojęcia. Chciałem zrobić na tobie wrażenie, więc wziąłem je z piwnicy. Tato dostał szału, kiedy zobaczył butelkę; każe mi sortować drewno w warsztacie, dzień i noc, a sam przez cały czas gada ze swoją dziewczyną przez telefon.

Chyba czasem zapomina, że mówię po francusku.

Nie bardzo wiem, czy odnieść się do butelki wina za czterysta dolarów, czy do dziewczyny; w końcu decyduję się na tę drugą.

- Ze swoją dziewczyną?

- Nieważne. Musiałem cię zobaczyć, ale muszę już wracać, a chciałem dać ci to. - Wyciąga z kieszeni kartkę papieru i upycha ją szybko do mojej, żeby nie zamokła.

Znów mnie całuje.

- Okej, idę. - Nie rusza się.

- Nie chcę cię zostawiać.

- Ja też nie chcę, żebyś mnie zostawiał - mówię. Jego włosy wiją się jak małe węże wokół błyszczącej twarzy. Czuję się, jakbym stała z nim pod prysznicem. Rany... być z nim pod prysznicem.

Odwraca się, żeby naprawdę iść, i widzę, jak nagle mruży oczy, patrząc na coś nad moim ramieniem.

- Dlaczego on wiecznie tu jest?

Odwracam się. W drzwiach stoi Toby i patrzy na nas - wygląda, jakby walnęła go kula do wyburzania. Boże. Widocznie nie wyszedł, widocznie był z Gram w pracowni czy gdzieś. Otwiera siatkowe drzwi, bierze swoją deskę i przebiega koło nas bez jednego słowa, skulony w deszczu.

- Co jest grane? - pyta Joe, prześwietlając mnie spojrzeniem. Jego całe ciało jest sztywne.

- Nic. Naprawdę - odpowiadam, tak jak odpowiedziałam Sarze. - Jest smutny przez Bailey. - Bo co innego mogę mu powiedzieć? Jeśli mu powiem, co się dzieje, co się działo nawet po tym, jak mnie pocałował, stracę go.

Więc kiedy mówi:

- Jestem idiotą i paranoikiem? Odpowiadam po prostu:

- Właśnie. - A w głowie słyszę: Nie chciałabyś rozzłościć trębacza".

Uśmiecha się szeroko i otwiera jak łąka.

- Okej. - Całuje mnie mocno i znów spijamy nawzajem deszcz ze swoich warg. - Cześć, John Lennon.

I już go nie ma.

Biegnę do domu, zamartwiając się tym, co powiedział mi Toby i czego ja nie powiedziałam Joemu, a deszcz zmywa ze mnie te wszystkie piękne pocałunki.



Leżę w łóżku i trzymam w dłoniach antidotum na wszelkie zmartwienia. To arkusz nutowy, wciąż jeszcze wilgotny od deszczu. U góry swoim kanciastym pismem dziwaka Joe napisał:

*Dla smutnej, pięknej klarncistki od pospolitego, nudnego, pozbawionego talentu, choć namiętnego gitarzysty. Część 1; Część 2 wkrótce.*

Próbuję usłyszeć melodię w głowie, ale moja umiejętność słyszenia bez grania jest żadna. Wstaję, idę po klarnet i chwilę później melodia rozlewa się po pokoju. Grając, przypominam sobie, co Joe powiedział o moim brzmieniu, że jest takie samotne, jak dzień bez ptaków, ale teraz jest tak, jakby ta jego melodia składała się z samych ptaków, które sfruwają z końca klarnetu i zapełniają powietrze letniego dnia, zapełniają drzewa i niebo - jest cudowna. Gram ją w kółko i w kółko, aż znam ją na pamięć. Jest druga w nocy i jeśli zagram tę melodię jeszcze choć jeden raz, palce mi odpadną, ale jestem w Joelirium i nie mogę spać. Schodzę na dół, żeby wziąć sobie coś do jedzenia, a kiedy wchodzę z powrotem do Świątyni, znieścacka dopada mnie pragnienie tak przemożne, że muszę zakryć usta, by nie zawyc. Chcę, żeby Bails leżała na swoim łóżku z książką. Chcę z nią porozmawiać o Joem, chcę jej zagrać tę piosenkę.

Chcę moją siostrę.

Chcę rzucić budynkiem w Boga.

Nabieram powietrza i wypuszczam je tak gwałtownie, że mogłabym zdmuchnąć pomarańczową farbę ze ścian.

Już nie pada - wyszorowana świeżość nocy wlewa się przez otwarte okno.

Nie wiem, co robić, więc podchodzę do biurka Bailey i siadam, jak zwykle. Jeszcze raz przyglądam się wizytówce detektywa. Myślałam o tym, żeby do niego zadzwonić, ale jeszcze tego nie zrobiłam, niczego też nie spakowałam. Przyciągam pudło, postanawiam załatwić jedną czy dwie szuflady. Nie cierpię widoku pustych pudeł niemal równie mocno jak myśli o pakowaniu jej rzeczy.

Dolna szuflada jest pełna szkolnych zeszytów, całych lat pracy, teraz bezużytecznych. Wyjmuję jeden, przeciągam palcami po okładce, przyciskam go do piersi i wkładam do pudła. Cała jej wiedza przepadła. Wszystko, czego kiedykolwiek się nauczyła, co usłyszała, zobaczyła. Jej specyficzne spojrzenie na *Hamleta*, na stokrotki, na miłość, wszystkie te intymne, zawile myśli, jej nielogiczne potajemne dumania -to wszystko przepadło. Słyszałam kiedyś takie powiedzonko: Za każdym razem, kiedy ktoś umiera, płonie cała biblioteka". Teraz właśnie patrzę, jak obraca się w popiół.

Układam resztę zeszytów na tym pierwszym, zamykam szufladę i biorę się do następnej. Zamykam pudło i biorę następne. W kolejnej szufladzie jest jeszcze więcej zeszytów, jakieś pamiętniki, których nie przeczytam. Przeglądam stosik, wkładając je, jeden po drugim, do pudła. Na samym dnie leży otwarty zeszyt. Jest zapisany ba-zgrołami Bailey; kolumny wyrazów pokrywają całą stronę, większość jest przekreślona. Wyjmuję go z poczuciem winy, ale nagle zmienia się ono w zaskoczenie, a potem strach, kiedy orientuję się, co to za wyrazy.

To są wszelkie kombinacje nazwiska naszej matki, skojarzone z innymi nazwiskami i nazwami rzeczy. Jest

cała sekcja imienia Paige zestawionego z ludźmi i rzeczami mającymi związek z Johnem Lennonem, moim imiennikiem, i - jak zakładałyśmy - jej ulubionym muzykiem. Nie wiemy o mamie właściwie niczego. Zupełnie jakby odchodząc, zabrała ze sobą wszystkie ślady swojego życia, zostawiając tylko legendę. Gram rzadko mówi o czymkolwiek prócz jej zdumiewającego pragnienia włóczęgi, a Big jest niewiele lepszy.

- W wieku pięciu lat - opowiadała nam w kółko Gram, unosząc pięć palców dla efektu - wasza mama wymknęła się którejś nocy z łóżka. Znalazłam ją w środku miasta, z małym niebieskim plecaczkiem i z laską. Powiedziała, że wyruszyła szukać przygód. W wieku pięciu lat, dziewczynki!

Więc miałyśmy tylko tyle, nie licząc pudła z jej rzeczami, które trzymałyśmy w Świątyni. Było pełne książek podpisanych jej imieniem, które wykradłyśmy z półek na dole: *Oliver Twist*, *W drodze*, *Siddhartha*, *Poezje zebrane* Williama Blake'a i trochę harlequinów, które nas, książkowe snobki, wprawiały w konsternację. Żadna z tych książek nie jest zaczytana na śmierć, w żadnej nie ma notatek. Mamy parę klasowych książek pamiątkowych, ale w żadnej nie ma dedykacji od kolegów. Jest egzemplarz *Radości gotowania*, cały uciapany jedzeniem (Gram powiedziała nam kiedyś, że mama była czarodziejką w kuchni, i podejrzewa, że Paige zarabia na życie w drodze gotowaniem).

Ale głównie są to mapy, całe mnóstwo: samochodowe, topograficzne, plany Clover, Kalifornii, czterdziestu dziewięciu pozostałych stanów, mapy różnych krajów i kontynentów. Jest też kilka atlasów i wszystkie wyglądają na czytane i przeglądane w kółko, jak mój egzemplarz *Wichrowych Wzgórz*. Te mapy i atlasy mówią o niej najwięcej: o dziewczynie, którą wołał świat. Kiedy byłyśmy

młodsze, ślęczałyśmy długie godziny nad tymi atlasami, wymyślając dla niej trasy i przygody.

Zaczynam przeglądać zeszyt. Strona za stroną wszelkich kombinacji: Paige/Lennon/Walker, Paige/Lennon/ Ono, Paige/Lennon/Imagine, Paige/Dakota/Ono i tak dalej, i tak dalej. Pod niektórymi kombinacjami są notatki. Na przykład pod Paige/Dakota widnieje adres w North Hampton w Massachusetts. Ale jest przekreślony i obok naskrobane: za młoda".

Jestem w szoku. Obie wiele razy wrzucałyśmy nazwisko naszej mamy do wyszukiwarek, bezskutecznie, i czasem próbowałyśmy wymyślać pseudonimy, jakie mogłaby wybrać, i ich też szukałyśmy bez sukcesu, ale nigdy tak, nigdy metodycznie, nigdy z taką konsekwencją i uporem.

Zeszyt jest praktycznie zapisany. Bailey musiała robić te notatki w każdej wolnej chwili, w każdej chwili, kiedy mnie nie było w domu, bo bardzo rzadko widywałam ją przy komputerze. Ale teraz, jak się nad tym zastanawiam, rzeczywiście, zanim umarła, widywałam ją bardzo często przed *Półmatką*; przyglądała się jej uważnie, niemal jakby czekała, aż obraz do niej przemówi.

Zaglądam na pierwszą stronę zeszytu. Jest datowany dwudziestego siódmego lutego, niecałe dwa miesiące przed jej śmiercią. Jak mogła zrobić to wszystko w tak krótkim czasie? Nic dziwnego, że potrzebowała pomocy świętego Antoniego. Szkoda, że mnie o nią nie poprosiła.

Odkładam zeszyt do szuflady, wracam do łóżka, znów wyjmuję klarnet z futerału i gram piosenkę Joego. Chcę znów znaleźć się w tym letnim dniu i chcę być tam z moją siostrą.



*Noca, kiedy byliśmy male,  
robiliśmy namiot z poscieli Bailey, wpelzalysmy do niego z latarkami  
i gralysmy w karty, kierki, w wista, w UNO  
i nasza ulubiona – bite kuku.  
Rywalizacja byla zazarta. Przez caly dzien, codziennie, bylyśmy  
Walkerownami – dwoma groszkami w straczku, trzymajacymi sztame –  
Ale kiedy Gram zamykala drzwi na noc, wyszczerzalysmy zeby.  
Gralysmy w domowe obowiazki, o niewolnicza sluzbe, o wyznania,  
wyzwania i pieniadze.  
Gralysmy o to, ktora jest milsza, madrzejsza, piekniejsza, lepsza,  
Po prostu lepsza.  
Ale to wszystko bylo tylko pretekstem –  
Gralysmy, zeby moc zasnac w tym samym lozku bez pytania o pozwolenie;  
Zeby moc splesc sie ze soba  
Jak warkocz,  
Zeby w nocy  
Wymienic sie snami.*

*(Znalezione od wewnątrz okładki Wichrowych Wzgórz, w pokoju  
Lennie).*



*Kiedys czesto rozmawialam z Polmatka, ale czekalam, az nikogo nie  
bedzie w domu i wtedy mowilam:*

*Wyobrazam sobie ciebie tam, w gorze*

*Nie jako chmure czy ptaka, czy gwiazde,*

*Ale jako matke,*

*Tylko taka, ktora mieszka na niebie,*

*Ktora nie przejmuje sie*

*Grawitacja,*

*Ktora po prostu zajmuje sie swoimi sprawami,*

*Dryfujac z wiatrem.*

*(Znalezione na kawalku gazety pod weranda Walkerów).*

Kiedy następnego ranka schodzę do kuchni, Gram stoi przy kuchence i smaży kiełbaski; jej przygarbione ramiona są jak szerokie, zmarszczone czoło. Big siedzi przy stole nad kawą. Za nimi poranna mgła przesłania okno, jakby dom bujał we wnętrzu chmury. Kiedy tak stoję w progu, wypełnia mnie to samo uczucie przerażenia i pustki, jakie ogarnia mnie na widok opuszczonych domów, takich z chwastami porastającymi schodki od frontu, z brudną, popękaną farbą, z wytłuczonymi szybami, oknami zabitymi deskami.

- Gdzie jest Joe? - pyta Big. Wtedy dociera do mnie, dlaczego rozpacz jest tak naga dziś rano. Nie ma Joego.

- W areszcie - mówię.

Big patrzy na mnie, uśmiecha się znacząco.

- Co zrobił? - Nastrój natychmiast się poprawia. Łał. Zdaje się, że on nie jest tylko moim kołem ratunkowym.

- Podprowadził ojcu butelkę wina za czterysta dolarów i wypił któregoś wieczoru z niejaką John Lennon.

Gram i Big jednocześnie zachłystują się ze zdumienia i wykrzykują chórem:

- Czterysta dolarów?!

- Nie miał pojęcia.

- Lennie, nie podoba mi się, że pijesz. - Gram macha na mnie łopatką.

Kiełbaski skwierczą i pryskają na patelni za nią.

- Nie piję. No, prawie. Nie martw się.

- Do licha, Len. A było dobre? - Twarz Biga jest jak studium ciekawości.
- Nie wiem. Nigdy wcześniej nie piłam czerwonego wina. Chyba tak. - Nalewam sobie filiżankę kawy cienkiej jak herbata. Przyzwyczałam się do błota, które parzy Joe.
- Do licha - powtarza Big. Wypija łyk kawy i krzywi się z niesmakiem. Podejrzewam, że on też woli teraz smołę Joego. -1 pewnie już się go więcej nie napijesz, przy tak wysokiej poprzeczce.
- Zastanawiam się, czy Joe będzie dzisiaj na pierwszej próbie orkiestry - bo zdecydowałam się pójść - kiedy nagle on wchodzi przez drzwi z croissantami, martwymi ro-balami dla Biga i uśmiechem dla mnie, wielkim jak Bóg...
- Hej! - mówię.
- Wypuścili cię - zagaja Big. - Wspaniale. To wizyta małżeńska czy wyrok ci się skończył?
- Big! - karci go Gram. - Proszę cię. Joe się śmieje.
- Skończył się. Mój ojciec jest strasznym romantykiem, to jego najlepsza i najgorsza cecha jednocześnie. Kiedy mu wyjaśniłem, co czuję... - Joe patrzy na mnie, czerwieni się, co oczywiście mnie zmienia w kompletnego pomidora. To z pewnością wbrew wszelkim zasadom, czuć się tak, kiedy twoja siostra nie żyje!
- Gram kręci głową.
- Kto by pomyślał, że Lennie jest taką romantyczką?
- Żartujesz?! - wykrzykuje Joe. - *Wichrowe Wzgórza* przeczytane dwadzieścia trzy razy nie dały ci do myślenia? - Wbijam wzrok w podłogę. Jestem zażenowana, jak bardzo mnie to wzruszyło. On mnie zna. Jakimś cudem lepiej niż oni.
- *Touche5*, panie Fontaine - mówi Gram i ukrywa szeroki uśmiech, odwracając się do kuchenki. Joe staje za

mną, oplata mnie rękami w pasie. A ja zamykam oczy, myślę o jego ciele nagim pod ubraniem, przyciskającym się do mnie, nagim pod moim ciałem. Odwracam głowę, żeby na niego spojrzeć.

- Ta melodia, którą napisałeś, jest przepiękna. Chcę ci ją zagrać. - Zanim ostatnie słowo wychodzi z moich ust, on mnie całuje. Odwracam się w jego ramionach, tak, że stoimy przodem do siebie, i zarzucam mu ręce na szyję; jego dłonie odnajdują mój krzyż i przyciskają mnie do niego. Boże, nie obchodzi mnie, czy tak można, czy łamię wszelkie zasady zachodniego świata, nie obchodzi mnie nic, do diabła, bo nasze usta, które rozdzieliły się na chwilę, teraz znów się spotkały i wszystko z wyjątkiem tego ekstatycznego faktu przestaje istnieć.

Jak ludzie funkcjonują, kiedy się tak czują? Jak sznurują buty? Albo prowadzą samochody? Albo obsługują ciężkie maszyny? Jakim cudem trwa cywilizacja, kiedy dzieje się coś takiego?

Głos, dziesięć decybeli cichszy niż zwykłe natężenie, wyrywa się zająkliwie z wujka Biga.

- Ehm, dzieciaki. Może wolelibyście, no nie wiem, eeemm... - Wszystko zatrzymuje się z piskiem opon w mojej głowie. Czy Big się jąka? Ehm, Lennie? Pewnie to nie jest fajne, obcałowywać się tak na środku kuchni na oczach własnej babci i wujka. Odsuwam się od Joego; jakbym odrywała przyssawkę. Patrzę na Gram i Biga, którzy stoją, nerwowi, zażenowani; kiełbaski się przypalają. Czy to możliwe, że udało nam się zawstydzić Króla i Królową Frików?

Spoglądam na Joego. Ma minę jak otumaniona postać z kreskówki, która dostała w głowę pałką. Cała scena wydaje mi się histerycznie śmieszna, więc padam na krzesło

i rechoczę. Joe uśmiecha się niepewnie, półgębkiem, do Gram i Biga, opiera się o szafkę; futerałem z trąbką strategicznie zasłania krocze. Chwała Bogu, że ja nie mam czegoś takiego. Kto by chciał mieć żądzometr sterczący pośrodku ciała?

- Idziesz na próbę, nie? - pyta. I znów te trzepoczące rzęsy. Tak, jeśli dotrzemy.

Docieramy, chociaż ja - wyłącznie ciałem. Jestem zdumiona, że moje palce w ogóle odnajdują klawisze, kiedy z wdziękiem płynę przez utwory, które pan James wybrał dla nas na zbliżający się Festiwal Rzeki. Nawet Rachel, która posyła mi wzrokiem zatrute strzały przez Joego i bez przerwy przekręca stojak tak, że nie widzę nut, nie potrafi zmienić tego, że tonę w muzyce, czuję się, jakbym grała tylko z Joem, że improwizuję, rozkoszując się niewiedzą, co się wydarzy z nuty na nutę... Ale w połowie próby, w pół utworu, w pół nuty ogarnia mnie nagle przerażenie, bo zaczynam myśleć o Tobym, o tym, jak wyglądał, kiedy wychodził wczoraj wieczorem. O tym, co powiedział w Świątyni. Przecież na pewno wie, że musimy się teraz trzymać od siebie z daleka. Na pewno wie. Odsuwam od siebie panikę, ale przez resztę próby jestem boleśnie spięta, trzymam się aranżacji bez najmniejszej wariacji.

Po próbie Joe i ja mamy całe popołudnie dla siebie, bo on wyszedł z aresztu, a ja mam wolne w pracy. Idziemy pieszo w stronę mojego domu, a wiatr miota nami jak liśćmi.

- Nie wiem, co powinniśmy teraz zrobić - mówię.

- Nie chciałaś mi zagrać tej piosenki?

- Chciałam, ale chcę ci ją zagrać gdzie indziej. Pamiętasz, jak tamtego wieczoru rzuciłam ci wyzwanie,

żebyś odważył się wejść do lasu w naprawdę wietrzny dzień? No więc dzisiaj jest taki dzień.

Skrećamy z drogi i zapuszczamy się w las, przedzierając się przez gęstwiny krzaków, aż znajdujemy ścieżkę, której szukam. Słońce miejscami przebija się przez korony, rzucając przyćmione, pełne cieni plamy światła na poszycie. Wiatr sprawia, że drzewa skrzypią symfonicznie -istna filharmonia skrzypiących drzwi. Idealnie.

Po chwili Joe mówi:

- Chyba trzymam się wyjątkowo dobrze, nie sądzisz? Biorąc pod uwagę...
- Biorąc pod uwagę co?
- Że maszerujemy przez las przy soundtracku najbardziej upiornego horroru w historii, a wszystkie drzewne trolle świata zebrały się nad nami, żeby otwierać i zamykać swoje frontowe drzwi.
- Jest biały dzień, nie możesz się bać.
- Tak się składa, że mogę, ale staram się nie wyjść na mięczaka. Mam bardzo niską tolerancję na niesamowi-tość.
- Będiesz zachwycony miejscem, w które cię zabieram. Obiecuję.
- Będę nim zachwycony, jeśli ściągniesz tam z siebie wszystkie ciuchy, a przynajmniej część. Może chociaż skarpetkę. - Podchodzi do mnie, rzuca trąbkę i odwraca mnie przodem do siebie.

Mówię:

- Masz straszne zahamowania, wiesz? To wkurzające.
- Nic na to nie poradzę. Jestem pół-Francuzem, pełnym *joie de vivre* i tak dalej. Ale mówiąc poważnie, nie widziałem cię nigdy w żadnym stadium negliżu, a minęły już całe trzy dni od naszego pierwszego pocałunku, *quelle catastrophe*, wiesz? - Próbuje odsunąć mi z twarzy włosy szarpane wiatrem, a potem całuje mnie, aż moje serce



zaczyna brykać w piersi jak dziki mustang. - Chociaż mam bardzo dużą wyobraźnię...

- *Quel* palant - mówię, pociągając go dalej.

- Wiesz, że zachowuję się jak palant tylko po to, żebyś mówiła: *quel* palant" - odpowiada.

Ścieżka wspina się do miejsca, w którym sekwojowy starodrzew wystrzela w niebo, zmieniając las w prywatną katedrę drzew. Wiatr ucichł, las jest teraz nieziemsko cichy i nieruchomy. Liście sfruwają wokół nas jak maleńkie skrawki światła.

- To jak to jest z twoją mamą? - pyta nagle Joe.

- Co? - Moja głowa nie mogła być chyba dalej od myśli o matce.

- Kiedy przyszedłem do was pierwszy raz, Gram powiedziała, że dokończy portret, kiedy wasza mama wróci. Gdzie ona jest?

- Nie wiem. - Zwykle na tym poprzestaję i nie uzupełniam zbędnych szczegółów, ale on jakoś nie uciekł jeszcze od naszych innych rodzinnych osobliwości. - Nie znałam jej - mówię. - To znaczy, znałam, ale odeszła, kiedy miałam rok. Ma naturę włóczęgi, to podobno rodzinne.

Joe się zatrzymuje.

- I tyle? To jest całe wyjaśnienie? Tego, że odeszła? I nigdy nie wróciła? Owszem, to jest obłąd, ale ten Walkerowski obłąd zawsze miał dla mnie sens.

- Gram mówi, że ona wróci. - Żołądek związuje mi się w supeł, kiedy myślę, że mogłaby wrócić teraz. Kiedy myślę, że Bailey tak usilnie jej szukała. Kiedy myślę, jak huknęłabym jej drzwiami przed nosem, gdyby rzeczywiście wróciła, jak wrzasnęłabym: Spóźniłaś się!" Kiedy myślę, że może jednak nigdy nie wróci. I że już nie bardzo umiem w to wierzyć, teraz, kiedy Bailey nie wierzy w to razem ze mną.

- Ciotka Gram, Sylvie, też to miała - dodaje, i czuję się jak idiotka. -  
Wróciła po dwudziestu latach.

- Kurde - wzdycha Joe. Nigdy nie widziałam u niego tak zmarszczonego  
czoła.

- Posłuchaj, nie znam mojej mamy, więc za nią nie tęsknię... - mówię, ale  
mam wrażenie, że próbuję przekonać bardziej siebie niż Joego. - Jest  
wolnym duchem, nieustraszoną kobietą, która wyruszyła w podróż  
dookoła świata całkiem sama. Jest tajemnicza. To jest cool. - To jest cool?  
Boże, gadam jak totalna idiotka. Ale kiedy wszystko się zmieniło? Bo  
kiedyś to było cool, nawet supercool; była naszym Magellanem, naszym  
Markiem Polo, jedną z tych narowistych Walkerek, które niespokojny,  
nieznoszący ograniczeń duch popycha z miejsca na miejsce, od miłości  
do miłości, od jednej nieprzewidywalnej chwili do drugiej.

Joe uśmiecha się i patrzy na mnie tak ciepło, że zapominam o wszystkim  
innym.

- To ty jesteś cool - mówi. - Taka wielkoduszna. Zupełnie nie jak ten  
uparty fiut, który siedzi we mnie. - Wielkoduszna? Biorę go za rękę i jego  
reakcja, i moja własna, każą mi się zastanawiać, czy rzeczywiście jestem  
cool i wielkoduszna, czy tylko kompletnie obłąkana. I co z tym fiutem,  
który rzekomo w nim siedzi? Kto to jest? Czy to ten Joe, który nie  
odezwał się więcej do tej skrzypaczki? Jeśli tak, to ja nie chcę poznać tego  
gościa. Idziemy dalej w milczeniu, oboje bujamy pod niebem naszych  
umysłów przez jakiś kilometr czy dwa, aż nagle jesteśmy na miejscu i  
wszystkie myśli o jego wewnętrznym fiucie i mojej tajemniczej  
nieobecnej matce znikają.

- Okej, zamknij oczy - proszę. - Poprowadzę cię. - Sięgam zza jego  
pleców, zakrywam mu oczy rękami i prowadzę go dalej ścieżką. - Okej,  
otwórz.

Przed nami jest sypialnia. Kompletna sypialnia w środku lasu.

- Rany, a gdzie Śpiąca Królewna? - pyta Joe.
- To pewnie ja - mówię i z rozbiegu rzucam się na puchowe łóżko. Zupełnie jakbym wskoczyła na chmurę. Joe idzie za mną.
- Ty jesteś za bardzo pobudzona jak na Śpiącą Królewnę, już to ustaliliśmy. - Staje obok łóżka, rozgląda się. - Niewiarygodne. Jakim cudem to tutaj jest?
- Jakieś półtora kilometra stąd, nad rzeką, jest zajazd. W latach sześćdziesiątych była tam komuna i właściciel, Sam, jest starym hippisem. Urządził tę leśną sypialnię dla swoich gości, jeśli wybiorą się tu na spacer, pewnie żeby mogli się pokochać znienacka, ale nigdy nie widziałam, żeby ktoś się tu zapuścił, a przychodzę tu od zawsze. Chociaż nie, raz tu kogoś widziałam. Sama, jak zmieniał pościel. W czasie deszczu przykrywa wszystko plandeką. No więc, ja sobie piszę przy tym biurku, czytam w tym bujanym fotelu, leżę na tym łóżku i marzę. Ale nigdy wcześniej nie przyprowadziłam tu chłopaka.
- Joe uśmiecha się, siada na łóżku obok mnie i zaczyna wodzić palcami po moim brzuchu.
- A o czym tu sobie marzysz? - pyta.
- O tym - mówię, kiedy jego dłoń rozpląszcza się na moim brzuchu, pod bluzką. Oddech mi przyspiesza; chcę czuć jego ręce wszędzie.
- John Lennon, mogę cię o coś zapytać?
- Oo, kiedy ludzie tak mówią, zwykle następuje po tym jakieś straszne pytanie.
- Jesteś dziewczicą?
- No widzisz? Nastąpiło straszne pytanie - mamrocze, śmiertelnie zawstydzona. Ten to potrafi zepsuć nastrój. Wywijam się spod jego dłoni.
- To aż tak widać?
- No, trochę. - Uch. Mam ochotę wczłogać się pod kołdrę. On próbuje się wycofywać. - Nie, no wiesz, ja uważam, że to fajne, że jesteś.

- Z całą pewnością nie jest fajne.  
- Może dla ciebie, ale nie dla mnie, gdybym...  
- Gdybyś co? - Mój żołądek zaczyna nagle burczeć. Wywija koziółki.  
Teraz to on wygląda na zawstydzonego, i dobrze.  
- No wiesz, gdybyś kiedyś, nie teraz, ale kiedyś, nie chciała już nią być, i gdybym ja miał być tym pierwszym, właśnie wtedy jest ta fajna część, no wiesz, dla mnie. - Ma zawstydzoną, słodką minę, ale jego słowa budzą we mnie strach i podniecenie, i przerastają mnie, i czuję, że zaraz wybuchnę płaczem, i wybucham, i chociaż ten jeden raz nawet nie wiem dlaczego.  
- Och, Lennie, przepraszam, powiedziałem coś złego? Nie płacz, nie ma żadnego pośpiechu, całowanie cię, bycie z tobą w jakikolwiek sposób jest niesamowite...  
- Nie - mówię, teraz już śmiejąc się i płacząc jednocześnie. - Płaczę, bo... no więc, nie wiem, dlaczego płaczę, ale jestem szczęśliwa, nie smutna. - Pociągam go za rękę, więc kładzie się na boku tuż przy mnie, opiera się na łokciu, nasze ciała dotykają się na całej długości. Patrzy mi w oczy takim wzrokiem, że aż drzę.  
- Samo patrzenie w twoje oczy... - szepcze. - Nigdy nie czułem czegoś takiego.  
Myślę o Genevieve. Powiedział, że był w niej zakochany. Czy to nie znaczy...  
- Ja też nie - odpowiadam, i nie mogę powstrzymać łez, które znów płyną.  
- Nie płacz. - Jego głos jest nieważki jak mgiełka. Całuje moje powieki, delikatnie muska moje wargi.  
A potem patrzy na mnie tak otwarcie, że kręci mi się od tego w głowie; czuję, że muszę się położyć, chociaż już leżę. - Wiem, że to nie trwa zbyt długo, Len, ale myślę... nie wiem... że to może być...

Nie musi tego mówić, ja też to czuję. To nie jest subtelne - raczej jakby wszystkie dzwony w promieniu kilometrów rozdzwoniły się jednocześnie, głośne, dźwięczne, żarłoczne, i te małe radosne dzwoneczki; wszystkie one naraz obwieszczają tę chwilę. Zarzucam Joemu ręce na szyję, przyciągam go do siebie, a on całuje mnie tak mocno, tak głęboko, a ja lecę, płynę, szybuję...

Mruczy w moje włosy:

- Zapomnij, co powiedziałem wcześniej, poprzestańmy na tym, bo mógłbym nie przeżyć czegoś więcej. - Śmieję się. Nagle on przeskakuje nade mnie, odnajduje moje nadgarstki i przygwaźdża je nad moją głową. - No właśnie. Żartowałem. Chcę zrobić z tobą wszystko, kiedy tylko będziesz gotowa. To ja jestem tym gościem, obiecujesz? - Wisi nade mną, trzepocze rzęsami i suszy zęby jak kompletny wariat.

- Obiecuję - mówię.

- Dobrze. Cieszę się, że to ustaliliśmy. - Unosi brew. - Rozdziewicę cię, John Lennon.

- Boże święty, co za żenada, *quel, quel* totalny palant. - Próbuję zakryć twarz rękami, ale mi nie pozwala. A potem mocujemy się, śmiejemy i mija wiele, wiele minut, zanim przypominam sobie, że moja siostra umarła.



*SWIAT  
NIE  
JEST  
BEZPIECZNYM  
MIEJSCEM.*

*(Znalezione na papierku od cukierka, na wpół zakopany między różami  
w ogrodzie Gram).*

Widzę pikapa Toby'ego przed domem i wstrząsa mną błyskawica gniewu. Dlaczego on nie może się trzymać z daleka ode mnie, choćby przez jeden cholerny dzień? Ja tylko chcę zatrzymać w sobie to szczęście. Błagam. Zastaję Gram w pracowni; czyści pędzle. Toby'ego nigdzie nie widać.

- Dlaczego on wiecznie tu jest? - syczę do niej. Patrzy na mnie, zaskoczona.

- Co się z tobą dzieje, Lennie? Zadzwoiłam do niego i poprosiłam, żeby pomógł mi naprawić treliaz wokół ogrodu, i obiecał, że wpadnie po pracy na ranczu.

- Nie mogłaś poprosić kogoś innego? - Mój głos kipi od gniewu i rozpaczę i jestem pewna, że wychodzę przed Gram na totalnie walniętą. Jestem walnięta; po prostu chcę być zakochana. Chcę czuć tę radość. Nie chcę szamotać się z Tobym, jego smutkiem, żalobą, poczuciem winy i śmiercią. Mam wyżej uszu śmierci.

Gram nie wygląda na zadowoloną.

- Boże, Len, miej serce, ten chłopak jest zdruzgotany. Czuje się lepiej, kiedy jest z nami. Tylko my go rozumiemy. Powiedział mi to wczoraj wieczorem. - Otrząsa pędzle nad umywalką, głośno strzelając nadgarstkiem przy każdym potrząśnięciu. - Zapytałam cię kiedyś, czy między wami wszystko jest w porządku i powiedziałaś, że tak.

Uwierzyłam ci.



Biorę głęboki wdech i powoli wypuszczam powietrze, próbując nakłonić Pana Hyde, żeby schował się z powrotem w moim ciele.

- Jest okej, jest dobrze, przepraszam. Nie wiem, co się ze mną dzieje - mówię, po czym strzelam Gram i wychodzę z pokoju.

Idę do Świątyni i puszczam najohydniejszą, walącą po głowie punkową muzykę, jaką mam, zespół z San Francisco o nazwie Syf. Wiem, że Toby nie cierpi żadnego rodzaju punka, bo zawsze był to zapalny temat między nim

i Bailey, która punka uwielbiała. W końcu przekonał ją do alternatywnego country, które sam lubi, i do Williego Nelsona, Hanka Williamsa i Johnny'ego Casha, swojej świętej trójcy, ale sam nigdy nie przełknął punka.

Muzyka nie pomaga. Skaczę jak wariatka po niebieskim dywaniku, poguję w rytm nieustępliwego bitu, ale jestem zbyt wściekła nawet na pogowanie, bo nie chcę tańczyć w świątyni wyznawców dyni sama. W jednej chwili cała złość na Toby'ego przenosi się na Bailey. Nie rozumiem, jak mogła mi to zrobić, zostawić mnie tu całkiem samą. Zwłaszcza że przyrzekała mi całe życie, że nigdy, nigdy! nie zniknie tak jak mama, że zawsze będziemy miały siebie, zawsze, zawsze, zawsze.

- To jedyna umowa, która się liczyła, Bailey! - krzyczę, a potem biorę poduszkę i walę nią raz po raz w łóżko, aż wreszcie, wiele kawałków później, czuję się trochę spokojniejsza.

Padam na plecy na łóżku, zasapana i spocona. Jak ja przetrwam tę tęsknotę? Jak inni to robią? Przecież ludzie umierają bez przerwy.

Każdego dnia. Każdej godziny. Na całym świecie są rodziny patrzące na łóżka, w których nikt już nie śpi, na buty, których nikt już nie nosi.

Rodziny, które nie muszą już kupować jakichś płatków

śniadaniowych, jakiegoś szamponu. Wszędzie są ludzie, którzy stoją w kolejkach do kinowej kasy, kupują zasłony, wyprowadzają psy, chociaż ich serca rozdzierają się na strzępy. Przez lata. Przez całe życie. Ja nie wierzę, że czas leczy rany. Nie chcę, żeby leczył. Jeśli ta rana się zagoi, czy nie będzie to oznaczać, że zaakceptowałam świat bez niej?

Nagle przypominam sobie o zeszycie. Wstaję, wyłączam Syf, puszczam nokturn Chopina w nadziei, że mnie uspokoi, i podchodzę do biurka.

Wyjmuję zeszyt i otwieram na ostatniej stronie, gdzie jest parę opcji, które nie zostały jeszcze wykreślone. Cała strona to kombinacje nazwiska mamy z postaciami z Dickensa. Paige/Twist, Paige/ Fagan, Walker/Havisham, Walker/OHver/Paige, Pip/Paige.

Włączam komputer, wklepuję w wyszukiwarkę Paige Twist" i zaczynam przeszukiwać strony za stronami, ale nie znajduję nic, co mogłoby się odnosić do naszej mamy, potem wklepuję Paige Dickens" i znajduję parę możliwości, ale dokumenty to w większości składy licealnych drużyn sportowych i artykuły ze studenckich gazetek - nic, co mogłoby mieć związek z nią. Sprawdzam jeszcze parę dickensowskich kombinacji, ale nie znajduję niczego, co kryłoby w sobie choć cień prawdopodobieństwa. Minęła godzina, a ja mam z głowy ledwie kilka wyszukiwań. Przekładam pełne kartki opcji, które sprawdziła Bailey, i znów zastanawiam się, kiedy to robiła i gdzie to robiła; może w sali informatycznej w college'u, bo jak mogłabym nie zauważyć, że siedzi godzinami z czerwonymi oczami przy naszym kompie? Znów uderza mnie, jak bardzo chciała znaleźć mamę - bo niby dlaczego miałyby na to poświęcać tyle czasu? Co takiego stało się w lutym, że weszła na tę drogę? Może to wtedy Toby poprosił ją o rękę. Może chciała, żeby mama przyjechała na ślub. Ale

Toby powiedział, że się oświadczył tuż przed jej śmiercią. Muszę z nim porozmawiać.

Schodzę na dół, przeproszam Gram, mówię jej, że cały dzień miałam huśtawkę emocjonalną, co ostatnio można powiedzieć o każdym moim cholernym dniu. Gram patrzy na mnie, głaszcze mnie po włosach i mówi: - Nic nie szkodzi, skarbie, może jutro mogłybyśmy pójść na spacer, porozmawiać trochę... - Kiedy ona to wreszcie załapie? Nie chcę rozmawiać z nią o Bailey, o niczym.

Kiedy wychodzę z domu, Toby stoi na drabinie i pracuje przy treliżu od frontu ogrodu. Po niebie snują się serpentyny różu i złota. Cały ogród pała od zachodzącego słońca, róże wyglądają jak podświetlone od środka, jak lampiony. Toby patrzy na mnie, wzdycha teatralnie, po czym powoli złązi z drabiny i opiera się o nią z założonymi rękami.

- Chciałem cię przeprosić... jeszcze raz. - Wzdycha znów. - Ostatnio totalnie mi odwała. - Patrzy mi badawczo w oczy. - U ciebie okej?

- Tak, nie licząc tego, że mi totalnie odwała - mruczę. Uśmiecha się na to, jego całą twarz rozjaśnia dobroć i zrozumienie. Odprężam się trochę. Czuję się fatalnie, że godzinę temu miałam ochotę odgryźć mu głowę.

- Znalazłam w biurku Bailey zeszyt - mówię mu; bardzo chcę się dowiedzieć, czy coś o tym wie, i bardzo nie chcę rozmawiać ani myśleć o wczorajszym dniu. - To wygląda tak, jakby szukała mamy, ale strasznie gorączkowo. Toby, tam są całe strony możliwych pseudonimów, które pewnie wklepywała w wyszukiwarki. Próbowwała wszystkiego, musiała to robić dwadzieścia cztery godziny na dobę. Nie wiem, gdzie to robiła, nie wiem, dlaczego to robiła...

- Ja też nie wiem - odpowiada Toby lekko drżącym głosem. Patrzy w dół. Czyżby coś przede mną ukrywał?

- Zeszyt ma datę. Zaczęła to robić pod koniec lutego. Czy wtedy stało się coś, o czym nie wiem?

Kości Toby'ego wypadają z zawiasów; osuwa się po treliażu, opiera głowę na dłoniach i zaczyna płakać. Co się dzieje?

Klękam przed nim, kładę mu dłonie na ramionach.

- Toby - mówię łagodnie. - Już dobrze. - Głaszczę go po włosach. Mrówki strachu chodzą mi po karku i rękach.

Toby kręci głową.

- Nie jest dobrze. - Ledwie może wydobyć głos. -Miałem ci nigdy nie mówić.

- C<sup>^</sup>? O czym miałeś mi nie mówić? - Mój głos jest piskliwy, oszalały.

- Przez to jest jeszcze gorzej, Len, a nie chciałem, żeby tobie było jeszcze ciężiej.

- Co? - Sterczą mi wszystkie włoski na ciele. Teraz już jestem naprawdę przerażona. Co takiego może sprawić, że śmierć Bailey będzie jeszcze gorsza?

Chwyta moją dłoń, mocno ściska w swojej.

- Mieliliśmy mieć dziecko. - Słyszę swój zduszony krzyk. - Była w ciąży, kiedy umarła. - Nie, myślę, to niemożliwe. - Może dlatego szukała waszej mamy. Dowiedzieliśmy się właśnie jakoś pod koniec lutego.

Ta wiadomość narasta we mnie jak lawina, nabiera prędkości i masy.

Moja druga ręka łąduje na jego ramieniu i chociaż patrzę na jego twarz, widzę moją siostrę, która unosi ich dziecko wysoko w powietrze, robi do niego miny, widzę, jak ona i Toby biorą swoje dziecko za rączki i prowadzą je nad rzekę. Swojego synka. Albo córeczkę. Boże. Widzę w oczach Toby'ego to wszystko, co dźwigał sam, i po raz pierwszy od śmierci Bailey jest mi bardziej żal kogoś innego niż mnie samej.

Obejmuję go, zaczynam go bujać. I nagle, kiedy nasze oczy się spotykają i znów jesteśmy razem w tym beznadziejnym domu żałoby, w miejscu, gdzie nigdy nie będzie

Bailey i gdzie Joe Fontaine nie istnieje, gdzie jesteśmy tylko ja i Toby, porzuceni, całuję go. Całuję go, żeby go pocieszyć, żeby mu powiedzieć, jak mi przykro, żeby pokazać mu, że ja tu jestem, że żyję i że on żyje. Całuję go, bo nie radzę sobie z tym wszystkim, i tak jest od miesiący. Całuję go, nie przestaję całować, tulę go i głaszczę, bo z jakiegoś pokręconego powodu nie potrafię inaczej.

W chwili kiedy Toby sztywnieje w moich ramionach, już wiem.

Wiem, ale nie wiem, kto to jest.

Z początku myślę, że to Gram; to musi być ona. Ale nie jest.

To nie jest też Big.

Odwracam się i on stoi przede mną, kilka metrów dalej, nieruchomy jak posąg.

Spoglądamy sobie w oczy i nagle on leci do tyłu, potykając się. Zrywam się, wyrywam z objęć Toby'ego, zmuszam nogi do działania i pędzę do Joego, ale on się odwraca, zaczyna biec.

- Poczekaj, błagam! - krzyczę. - Błagam. Zamiera, plecami do mnie - sylwetka na tle płonącego

nieba, na tle pożaru szalejącego nad horyzontem. Czuję się, jakbym spadała ze schodów, turlam się i leczę, i nie mogę się zatrzymać. Mimo to zmuszam się, by do niego podejść. Biorę go za rękę i próbuję go odwrócić, ale on mi ją wyrywa, jakby mój dotyk go brzydził. Potem odwraca się powoli, jakby poruszał się pod wodą. Czekam, śmiertelnie przerażona, boję się na niego spojrzeć i zobaczyć, co zrobiłam. Kiedy wreszcie staje przodem do mnie, jego oczy są bez życia, twarz jak głaz. Zupełnie jakby jego cudowna dusza opuściła ciało.

Słowa wypadają z moich ust.

- To nie tak jak z nami, nie czuję do niego... to coś innego, moja siostra... -  
Moja siostra była w ciąży, chcę

mu wytłumaczyć, ale w jaki sposób to miałoby cokolwiek wytłumaczyć? Rozpaczliwie chcę, żeby to zrozumiał, ale samą nie rozumiem. - To nie tak, jak myślisz - mówię sztamowo, żałośnie. Widzę, jak wściekłość i uraza eksplodują jednocześnie w jego twarzy.

- Dokładnie tak. To jest dokładnie tak, jak myślę, dokładnie tak, jak myślałem. - Wypluwa na mnie te słowa. - Jak mogłaś... Myślałem, że mnie...

- Bo tak jest, tak jest. - Teraz już ryczę na całego, łzy płyną mi po twarzy.

- Ty nie rozumiesz.

Jego twarz jest jak burza rozczarowania.

- Masz rację. Nie rozumiem. Masz. Wyciąga z kieszeni kartkę.

- Przyszedłem ci to dać. - Zgniata ją w kulkę i rzuca we mnie, a potem odwraca się i pędzi najszybciej jak może w zapadającą noc.

Schylam się i podnoszę zmiętą kartkę, rozprostowuję ją. U góry jest napisane: *Część 2: duet dla wcześniej wspomnianych klarncistki i gitarzysty*. Składam ją starannie, chowam do kieszeni, a potem siadam na trawie jak bezwładny wór kości. Dociera do mnie, że jestem dokładnie w tym samym miejscu, w którym Joe i ja całowaliśmy się wczoraj w deszczu. Niebo straciło swoją furie, zostało ledwie parę złotych strzępków, które nieubłagane pożera ciemność. Staram się usłyszeć w głowie melodię, którą dla mnie napisał, ale nie mogę. Słyszę tylko jego głos:

Jak mogłaś?

Jak mogłam?

Ktoś równie dobrze mógłby zrolować całe niebo i schować bezpowrotnie. Po chwili czuję dłoń na ramieniu. Toby. Sięgam w górę i kładę na niej swoją dłoń. On przykłęka obok mnie na jednym kolanie.

- Przepraszam - mówi cicho. Po chwili dodaje: - Ja już pójdę, Len. - Potem czuję na ramieniu tylko zimno, w miejscu, gdzie leżała jego dłoń. Słyszę, jak zapala pikapa, i słucham pomruku silnika, gdy odjeżdża drogą za Joem.

Jestem sama. A przynajmniej tak mi się wydaje, dopóki nie spoglądam na dom; widzę Gram stojącą na tle drzwi, tak jak wczoraj stał Toby. Nie wiem, jak długo tu była, nie wiem, co widziała, a czego nie. Otwiera siatkę, przechodzi na brzeg werandy i opiera się o barierkę obiema rękami.

- Chodź do domu, skarbie.

Nie mówię jej, co się stało między mną i Joem, tak jak nie mówiłam jej nigdy, co się działo między mną i Tobym. Ale kiedy na mnie spogląda, widzę w jej smutnych oczach, że najprawdopodobniej już to wszystko wie.

- Któregoś dnia znowu ze mną porozmawiasz. - Bierze mnie za rękę. - Tęsknię za tobą. Big też.

- Ona była w ciąży - szepczę. Gram przytakuje ruchem głowy.

- Powiedziała ci?

- Autopsja.

- Byli zaręczeni - mówię. Tego nie wiedziała, widzę to w jej twarzy.

Bierze mnie w ramiona i stoję tak, w jej bezpiecznych, mocnych objęciach i pozwalam, żeby łzy wzbierały i wzbierały, i płynęły, i płynęły, aż jej sukienka jest od nich cała mokra, a dom jest pełen nocy.





Nie idę do biurka-oltarza, żeby porozmawiać z Bailey na szczycie góry. Nawet nie zapalam światła. Idę prosto do łóżka, całkowicie ubrana, i modlę się o sen. Nie przychodzi.

Przychodzi za to wstyd, tygodnie wstydu, fale wstydu, przetaczające się przeze mnie gorącymi uderzeniami jak mdłości, aż jęczę od nich w poduszkę. Kłamstwa i półprawdy, i uniki, którymi karmiłam Joego, powalają mnie i przygniatają do łóżka, aż prawie nie mogę oddychać. Jak mogłam go tak zranić, zrobić mu to samo, co zrobiła Genevieve? Cała miłość, jaką do niego czuję, szamocze się w moim ciele. Boli mnie w piersi. Boli mnie wszędzie. Wyglądał jak kompletnie inny człowiek. Jest innym człowiekiem. Nie tym, który mnie kochał.

Widzę twarz Joego, potem twarz Bailey i obie mającą nade mną, wypowiadając tylko dwa słowa: "Jak mogłaś?"

Nie mam odpowiedzi. "Przepraszam", piszę palcem na prześcieradle, w kółko, aż nie mogę tego dłużej znieść i zapalam światło.

Ale światło przynosi prawdziwe mdłości, a razem z nimi wszystkie chwile z moją siostrą, które teraz pozostaną nieprzeżyte: trzymanie jej dziecka w ramionach. Uczenie jej dziecka gry na klawirze. Zwyczajne dorastanie i starzenie się razem, dzień za dniem. Cała przyszłość, której nie będzie, wyrywa się ze mnie, wyrzucając ją do kosza na śmieci, nad którym wiszę, aż w środku nie

zostaje nic, aż jestem tylko ja w tym upiornie pomarańczowym pokoju.  
I wtedy do mnie dociera.

Bez przystani i sztormu objąć Toby'ego, bez subtelnego uczucia Joego  
jestem tylko ja.

Ja, mała muszelka, w której wnętrzu szaleje niewidzialnie cały ocean  
samotności.

Ja.

Bez.

Bailey.

Zawsze.

Rzucam się głową na poduszkę i krzyczę w nią, jakby moja dusza  
rozdierała się na pół, bo tak jest.

*Bailey, kochasz Gram bardziej niz mnie?*

*Nie.*

*A wujka Biga?*

*nie*

*a Toby'ego?*

*Nie kocham nikogo bardziej niz ciebie, Lennie, okej?*

*Ja tez*

*No to wszystko jasne.*

*Nigdy nie znikniesz, tak jak mama?*

*Nigdy*

*Przyrzekasz?*

*Boze, ile razy mam to powtarzac:*

*Nigdy nie znikne tak jak mama. Idz juz spac.*

*(Znalezione na kubku na wynos w rzece Rain)*

*Bailey, kochasz Gram bardziej niz mnie?*

*Nie.*

*A wujka Biga?*

*nie*

*a Toby'ego?*

*Nie kocham nikogo bardziej niz ciebie, Lennie, okej?*

*Ja tez*

*No to wszystko jasne.*

*Nigdy nie znikniesz, tak jak mama?*

*Nigdy*

*Przyrzekasz?*

*Boze, ile razy mam to powtarzac:*

*Nigdy nie znikne tak jak mama. Idz juz spac.*

*(Znalezione na gałęzi drzewa przed Clover High)*

*Bailey, kochasz Gram bardziej niz mnie?*

*Nie.*

*A wujka Biga?*

*nie*

*a Toby'ego?*

*Nie kocham nikogo bardziej niz ciebie, Lennie, okej?*

*Ja tez*

*No to wszystko jasne.*

*Nigdy nie znikniesz, tak jak mama?*

*Nigdy*

*Przyrzekasz?*

*Boze, ile razy mam to powtarzac:*

*Nigdy nie znikne tak jak mama. Idz juz spac.*

*(Znalezione na stoliku w Bibliotece Publicznej Clover)*

## Czesc 2



*Len, gdzie ona dzisiaj jest?*

*Juz spalam.*

*Noo, Len.*

*Okej, w Indiach, wspina sie na Himalaje.*

*Wymyslilysmy to w zeszlym tygodniu.*

*No to ty zacznij*

*Dobra. Jest w Hiszpanii w Barcelonie. Na glowie ma chustke, siedzi nad woda, pije sangrie z mezczyzna o imieniu Pablo.*

*Sa zakochani?*

*Tak.*

*Ale rano go zostawi.*

*Tak.*

*Obudzi sie przed switem, cicho wysunie walizke spod lozka, wlozy ruda peruke, zielona chustke, zolta sukienke, biale buty na obcasach.*

*Zlapie pierwszy pociag z miasta.*

*Zostawi list?*

*Nie.*

*Nigdy nie zostawia.*

*Nie.*

*Usiadzie w pociagu i bedzie patrzec za okno, na morze.*

*Jakas kobieta usiadzie kolo niej i zaczyna rozmawiac.*

*Kobieta spyta ja, czy ma jakies dzieci, a ona powie „Nie”.*

*Nie tak, Len. Powie: „Wlasnie jade zobaczyc sie z moimi corkami”.*

*(Znalezione*

*na kartce wetkniętej między kamienie w Wąwozie Samobójcy).*



Budzę się później, z twarzą wklejoną w poduszkę. Opieram się na łokciach i wyglądam przez okno. Gwiazdy swoimi czarami okradły niebo z ciemności. Jest świetlista, rozmigotana noc. Otwieram okno i odgłos rzeki wpływa na wietrze pachnącym różami prosto do naszego pokoju. Osłupiała stwierdzam, że czuję się trochę lepiej, jakbym dospała się do jakiegoś miejsca, gdzie jest więcej powietrza. Odpycham od siebie myśli o Joem i Tobym, biorę jeszcze jeden głęboki wdech kwiatów, rzeki, świata, a potem wstaję, wynoszę kosz do łazienki, myję go, myję siebie, a po powrocie siadam przy biurku Bailey.

Włączam komputer, wydaję zeszyt z górnej szuflady (bo tu go teraz trzymam) i postanawiam kontynuować od miejsca, w którym przerwałam przedwczoraj. Muszę zrobić coś dla mojej siostry i jedyne, co mi przychodzi do głowy, to znaleźć dla niej naszą matkę.

Zaczynam wyszukiwać pozostałe kombinacje z zeszytu. Rozumiem, dlaczego fakt, że miała zostać matką, popchnął ją do tych poszukiwań. To jest dla mnie w jakiś sposób sensowne. Ale podejrzewam jeszcze coś innego. W odległym, zagraconym kącie mojego umysłu jest komoda, a w tej komodzie jest myśl upchnięta na dno najniższej szuflady. Wiem, że tam jest, bo sama schowałam ją w tym miejscu, żeby nie musieć na nią patrzeć. Ale dzisiaj otwieram tę skrzypiącą szufladę i stawiam czoła temu, w co zawsze wierzyłam, a mianowicie: Bailey też to miała.

Gen włóczykija szalał w mojej siostrze przez całe życie, kształtując wszystko, co robiła, od biegów przełajowych po zmiany postaci na scenie. Zawsze uważałam, że właśnie dlatego chciała znaleźć mamę. A teraz wiem też, że właśnie dlatego ja nie chciałam, żeby ją znalazła. Założę się, że to dlatego nie powiedziała mi, że szuka jej tak intensywnie. Wiedziała, że będę próbowała ją powstrzymać. Nie chciałam, żeby nasza matka zdradziła Bailey sposób, jak zniknąć z naszego życia.

Jedna podróżniczka na rodzinę to już zupełnie wystarczająca liczba.

Ale teraz mogę się zrehabilitować, znajdując mamę. Wpisuję kombinację za kombinacją do najróżniejszych wyszukiwarek. Ale po godzinie jestem gotowa wyrzucić komputer przez okno. To na nic. Doszłam już do końca zeszytu Bailey i zaczęłam własny, ze słowami i symbolami z wierszy Blake'a. Z zeszytu Bailey widzę, że szukała wskazówek i pseudonimów, systematycznie przedzierając się przez pudło z rzeczami mamy.

Wykorzystała odniesienia do *Olivera Twista*, do *Siddharthy*, *W drodze*, ale nie dotarła jeszcze do Williama Blake'a. Mam przed sobą otwarty zbiór poezji i zestawiam słowa takie jak Tygrys, Zatrute drzewo, Diabeł, z Paige albo Walker, a do tego dorzucam szef, kucharz, restauracja", przekonana, tak jak Gram, że mama w ten sposób zarabia w podróży - ale to wszystko na nic. Kiedy w ciągu kolejnej godziny nie znajduję żadnych sensownych trafień, mówię Bailey na szczycie góry z obrazka podróżniczki, że się nie poddaję, potrzebuję tylko przerwy, i schodzę na dół, żeby sprawdzić, czy może ktoś jeszcze nie położył się do łóżka.

Big jest na werandzie, siedzi na środku sofy jak na tronie. Wciskam się obok niego.

- Nie do wiary - mruczy, podszczypując mnie w kolano. - Już nie pamiętam, kiedy ostatnio przysiadłaś się

do mnie na nocną pogawędkę. Właśnie myślałem, że jutro zrobię sobie węgry i spytam, czy moja nowa przyjaciółka chciałaby zjeść ze mną lunch w restauracji. Mam wyżej uszu jądania na drzewach. - Podkręca wąs, trochę za bardzo rozmarzony. Oo.

- Pamiętaj - ostrzegam. - Nie wolno ci prosić żadnej kobiety o rękę, dopóki nie pobędiesz z nią przez cały rok. Twoja własna zasada, ustalona po ostatnim rozwodzie. - Pociągam go za wąsy i dodaję dla lepszego efektu: - Piątym rozwodzie.

- Wiem, wiem - odpowiada. - Ale, rany, strasznie mi brakuje oświadczyń. Nie ma nic bardziej romantycznego. Koniecznie tego spróbuj, Len, przynajmniej raz, to swobodny lot ze spadochronem, chociaż nie odrywasz nóg od ziemi. - Jego gulgoczący śmiech można by nazwać chichotem, gdyby Big nie miał dziesięciu metrów wzrostu. Powtarzał to Bailey i mnie przez całe nasze życie. Szczerze mówiąc, dopóki Sarah w szóstej ldasie nie wygłosiła diatryby o nierówności płci w małżeństwie, byłam przekonana, że oświadczyń to impreza, w której obie płcie mają równe szanse.

Patrzę na mały ogródek, gdzie parę godzin temu porzucił mnie Joe, prawdopodobnie na zawsze. Zastanawiam się przez moment, czy nie powiedzieć Bigowi, że Joe pewnie już nie będzie do nas wpadał, ale jakoś nie mogę się na to zdobyć. Jest do niego przywiązany prawie tak samo mocno jak ja. Chcę z nim porozmawiać o czymś innym.

- Big?

- Hm?

- Ty naprawdę wierzysz w ten cały gen włóczykija? Patrzy na mnie zaskoczony i mówi:

- To brzmi jak piramidalna bzdura, prawda?

Myślę o tym, jakim niedowierzaniem zareagował na to Joe dzisiaj w lesie, o własnych wątpliwościach,

o wątpliwościach wszystkich innych, bo wątpliwości były zawsze. Nawet w tym mieście, gdzie wolnomyślicielstwo jest podstawową wartością rodzinną, ilekroć mówiłam komuś, że moja matka zostawiła mnie, roczne dziecko, by prowadzić wolne, wędrownie życie, ludzie patrzyli na mnie, jakby mieli ochotę zamknąć mnie w jakimś miłym pokoiku bez klamek. Mimo to mnie ta rodzinna ewangelia nigdy nie wydawała się aż tak znów nieprawdopodobna. Każdy, kto czytał jakąś powieść, przeszedł się ulicą czy przekroczył próg mojego domu, wie, że ludzie są najróżniejsi i najdziwniejsi. A zwłaszcza moi ludzie, myślę, spoglądając na Biga, który robi Bóg wie co na drzewach, żeni się raz do roku, próbuje wskrzeszać owady, pali więcej ziółka niż cała jedenasta klasa i wygląda jak król jakiegoś bajkowego królestwa. Więc dlaczego jego siostra nie mogłaby być żadnym przygód latawcem? Dlaczego moja matka nie mogłaby być jak bohaterki tytułu opowieści, tą najdzielniejszą, która wyruszyła w drogę? Jak Lukę Skywalker, Guliwer, Kapitan Kirk, Don Kichot, Odyseusz. Nie całkiem rzeczywistą matką dla mnie, zgoda, ale mityczną i magiczną, tak jak moi ulubieni święci czy postacie z powieści, których czepiam się być może trochę zbyt kurczowo.

- Nie wiem - odpowiadam szczerze. - A to jest bzdura?

Big długo się nie odzywa, podkreca tylko wąsy, zamyślony.

- Nie, to wszystko kwestia klasyfikacji, wiesz? - Nie wiem, ale nie przerywam. - Mnóstwo cech dziedziczy się w rodzinach, tak? A ta tendencja, czymkolwiek ona jest, z jakiegoś powodu dziedziczy się w naszej. Mogłoby być gorzej, to mogłyby być depresja, alkoholizm albo zgorzknienie. A nasi niektórzy krewni po prostu ruszają w drogę...

- Big, ja myślę, że Bailey to miała. - Słowa wypadają ze mnie, zanim udaje mi się je złapać, co świadczy o tym, jak bardzo, być może, jednak w nie wierzę. - Zawsze mi się tak zdawało.

- Bailey? - Marszczy brwi. - Nie, jakoś tego nie widzę. Szczerze mówiąc, nigdy nie widziałem u nikogo takiej ulgi jak u niej, kiedy nie przyjęli jej do tej nowojorskiej szkoły.

- Ulgi? - O, to jest dopiero piramidalna bzdura! - Żartujesz? Ona od zawsze chciała iść do Juillarda. Tak ciężko na to pracowała. To było jej marzenie.

Big przygląda się badawczo mojej płonącej twarzy, a w końcu mówi łagodnie:

- Czyje, Len? - Układa ręce, jakby grał na niewidzialnym klawirze. - Bo jedyną ciężko pracującą osobą, jaką widziałem w tym domu, byłaś ty. Boże.

Śpiwny głos Marguerite wypełnia moją głowę: Grasz porywająco. Jeśli popracujesz nad nerwami, Lennie, pójdiesz do Juillarda".

A ja zamiast tego zrezygnowałam z lekcji.

A ja zamiast tego upchnęłam się i zamknęłam w pudełku diabełka bez sprężyny, które sama sobie stworzyłam.

- Chodź tu. - Big wyciąga ramię jak ogromne skrzydło i zamyka mnie pod nim, kiedy wtulam się w niego i staram się nie myśleć o tym, jaka przerażona się czułam, ilekroć Marguerite wspominała o Juillardzie, ilekroć wyobrażałam sobie siebie... - Marzenia się zmieniają - mówi Big.

- Myślę, że jej się zmieniły.

Marzenia się zmieniają, tak, to logiczne, ale nie miałam pojęcia, że marzenia potrafią się ukrywać w człowieku.

Big otacza mnie drugim ramieniem i zapadam się w jego niedźwiedziowatość, wdycham gęsty zapach trawki, który przesycza jego ubranie. Ścisła mnie mocno,

głaszcząc po włosach gigantyczną łapą. Już zapomniałam, jaką pociechą jest Big, człowiek piec. Spoglądam w jego twarz. Po jego policzku płynie łza. Po kilku minutach mówi:

- Bails może i trochę nosiło, jak większość ludzi, ale myślę, że ona była bardziej jak ja i jak ty ostatnio, skoro już o tym mowa: niewolnica miłości. - Uśmiecha się do mnie, jakby wprowadzał mnie do jakiegoś tajemnego stowarzyszenia. - Może to przez te przeklęte róże, w które, tak nawiasem mówiąc, wierzę: działają jak wędka. Są zabójcze dla serca, przysięgam, jesteśmy jak szczury laboratoryjne, wdychamy ten aromat przez cały sezon... - Podkreśla wąsa; chyba zapomniał, o czym mówił. Czekam cierpliwie, pamiętając, że jest upalony. Zapach róż wije się jak wstążka w powietrzu, wciska między nas. Wdycham go, myśląc o Joem; doskonale wiem, że to nie róże rozpałyły tę miłość w moim sercu, ale ten chłopak, ten cudowny chłopak. Jak ja mogłam?

Gdzieś daleko pohukuje sowa - pusty, samotny dźwięk, który sprawia, że czuję się równie głucha i samotna. Big mówi dalej, jakby nie upłynęła nawet sekunda.

- Nie, to nie Bails to miała...

- Co masz na myśli? - pytam, prostując się. Przestaje kręcić wąs. Jego twarz spoważniała.

- Gram była inna, kiedy dorastaliśmy - mówi. - Jeśli jeszcze ktoś to miał, to właśnie ona.

- Gram praktycznie nie opuszcza naszej okolicy - mówię, nic nie rozumiejąc.

Big się śmieje.

- Wiem. To chyba świadczy o tym, że jednak wierzę w ten gen. Zawsze byłem przekonany, że ma go moja matka. Myślałem po prostu, że jakoś go dusiła w sobie, zamykała się na całe tygodnie w tej swojej pracowni i wylewała go na te swoje płótna.

- Ale jeśli tak jest, to dlaczego moja matka nie mogła go po prostu zdusić?

- Próbuję panować nad głosem, ale nagle jestem wściekła. - Dlaczego musiała odejść, skoro Gram wystarczyło namalowanie paru obrazów?

- Nie wiem, kotku, może u Paige to było bardziej nasilone.

- Co było bardziej nasilone?

- Nie wiem! - I widzę, że nie wie, że jest równie sfrustrowany i skołowany jak ja. - To coś, co każe kobiecie zostawić dwójkę dzieci, brata i matkę i nie wracać przez szesnaście lat. Ot, co! Widzisz, my to nazywamy genem włóczykija, inne rodziny być może nie byłyby tak oględne.

- A jak nazwałyby to inne rodziny? - pytam. Nigdy wcześniej nie sugerował czegoś takiego na temat mamy. Czy to wszystko jest tylko historyjka, która ma kryć wariatkę? Czy ona naprawdę i autentycznie spadła z drzewa?

- To nie ma znaczenia, jak nazwałyby to ktokolwiek inny, Len. To jest nasza historia i my ją opowiadamy.

To jest nasza historia i my ją opowiadamy". Mówi to tonem Dziesięciorga Przykazań, i to zdanie zapada we mnie równie głęboko. Można by pomyśleć, że skoro tyle czytam, powinnam była wpaść na to wcześniej, ale nie wpadłam. Nigdy nie pomyślałam o interpretacyjnym, powieściowym aspekcie życia, mojego życia. Zawsze czułam się, jakbym żyła w powieści, owszem, ale nigdy nie pomyślałam, że to ja jestem autorką, czy że w ogóle mam cokolwiek do powiedzenia w kwestii fabuły.

Możesz opowiedzieć swoją historię w taki sposób, w jaki ci się żywnie podoba.

To twoje solo.





*To jest sekret, który chowałam przed tobą, Bails.  
i przed sama sobą,  
chyba podobało mi się, że mama odeszła,  
ze może być każdym,  
wszędzie,  
robić wszystko.  
podobało mi się, że była naszym wynalazkiem,  
kobieta żyjąca  
na ostatniej stronie powieści  
i że czeka ją tylko to,  
co dla niej wymyślimy.  
Podobało mi się, że była nasza, tylko nasza.*

*(Znalezione na stronie wydartej z Wichrowych Wzgórz, nadzianej na gałąź w lesie).*

Joego nieobecność przykrywa poranek jak całun. Gram i ja siedzimy oklapnięte, jak bez kręgosłupów, przy kuchennym stole, gapiąc się w przeciwnych kierunkach.

Kiedy wczoraj w nocy wróciłam do Świątyni, schowałam zeszyt Bailey do pudła razem z innymi i zamknęłam wieko. Potem odniosłam świętego Antoniego na półkę przed *Półmatką*. Nie bardzo wiem, jak znajdę mamę, ale wiem, że na pewno nie przez Internet. Przez całą noc myślałam o tym, co powiedział Big. To całkiem możliwe, że nikt z naszej rodziny nie jest tym, za kogo go uważałam, a zwłaszcza ja. Jestem prawie pewna, że w moim przypadku trafił w dziesiątkę.

A może też i w przypadku Bailey. Może ma rację, i ona tego nie miała - cokolwiek to jest. Może moja siostra po prostu chciała zostać tutaj, wyjść za mąż i mieć rodzinę.

Może właśnie taki kolor miała dla niej nadzwyczajność.

- Bailey miała tyle tajemnic - mówię do Gram.

- To chyba rodzinne - odpowiada ze znużonym westchnieniem.

Chcę ją zapytać, co ma na myśli, przypominam sobie, co Big powiedział w nocy także o niej, ale nie mogę, bo Big właśnie wchodzi do kuchni, jednak ubrany do pracy - wygląda jak legendarny amerykański drwal.

Rzuca na nas okiem i pyta:

- Kto umarł? - Nagle zatrzymuje się w pół kroku, kręci głową. - Nie wierzę, że to powiedziałem. - Puka się w głowę w stylu nikogo nie ma w domu". Wreszcie rozgląda się dookoła. - Hej, a gdzie jest Joe?

Gram i ja spuszczaemy oczy.

- Co? - pyta.

- Chyba nie będzie już przychodził - mówię.

- Naprawdę? - Big na moich oczach kurczy się z rozmiaru Guliwera do Liliputa. - Dlaczego, kotku?

Czuję, że łzy napływają mi do oczu.

- Nie wiem.

Na szczęście nie drażny tematu i wychodzi z kuchni, żeby zajrzeć do owadów.

Przez całą drogę do delikatesów myślę o szalonej francuskiej skrzypaczce Genevieve, w której Joe był zakochany i do której się więcej nie odezwał. Myślę o jego stwierdzeniu, że trębacze to typy w stylu wszystko albo nic. Myślę o tym, że miałam wszystko, a teraz nie będę miała nic, chyba że jakimś cudem uda mi się to wytłumaczyć; że zrozumie, co się działo wczoraj wieczorem, i we wszystkie inne wieczory z Tobym. Ale jak? Dzisiaj rano zostawiłam mu już dwie wiadomości na poczcie głosowej i nawet raz zadzwoniłam do jego domu. Brzmiało to tak:

Lennie (trzęsąca się jak galareta w japonkach): Czy jest Joe?

Marcus: Rany, Lennie skandalistka... chciałem powiedzieć, odważniara.

Lennie (patrzy w dół i widzi szkarłatną literę, wyhaftowaną na koszulce): Jest tam gdzieś?

Marcus: Nie, wyszedł wcześniej.

Marcus i Lennie: Kłępujące Milczenie.

Marcus (niepewnie): Lennie, jeśli go lubisz, to... nie poddawaj się.

Ciągły sygnał.

I właśnie w tym problem, lubię go do szaleństwa. Wykonuję alarmowy telefon do Sary i mówię jej, żeby przyszła do delikatesów na mojej zmianie.

Normalnie, kiedy robię lazanie, jestem jak mistrz zen. Po trzech i pół wakacjach, czterech zmianach w tygodniu, ośmiu lazaniach na szychtę, czyli w sumie ośmiuset dziewięćdziesięciu sześciu (policzyłam), mam to opanowane. To moja medytacja.

Oddzielam płat za płatem makaronu z kleistej sterty wyjętej z lodówki, z cierpliwością i precyzją chirurga. Zanurzam ręce w ricottę i przyprawy i ugniatam mieszankę, aż jest puszysta jak chmurka. Kroję ser na plasterki cienkie jak papier. Przyprawiam sos, aż zaczyna śpiewać. A potem układam to wszystko warstwami w jedną perfekcyjną całość. Moje lazanie są boskie. Ale dzisiaj moje lazanie nie śpiewają. Zaliczam palec prawie ucięty na krajalnicy, upuszczenie lepkiej sterty makaronu na podłogę, rozgotowanie nowej porcji, wrzucenie całej solniczki do sosu pomidorowego, aż wreszcie Maria posyła mnie do roboty dla głupków, czyli nadziewania can-nelli za pomocą tępego narzędzia, a sama robi lazanie u mojego boku. Jestem osaczona. Za wcześnie na klientów, więc jestem tylko ja i starszy śledczy-Maria jest miejscową rozgłośnią radiową, bez przerwy nadaje o sprośnych i lubieżnych sprawkach mieszkańców Clover, włącznie, oczywiście, z leśnymi eskapadami naszego miejscowego Romea: mojego wujka Biga.

- Co tam u niego?

- No wiesz.

- Wszyscy o niego pytają. Kiedyś wpadał do Saloonu co wieczór, kiedy już schodził na ziemię z tych swoich drzew. - Maria miesza gar sosu, istna czarownica przy kotle, a ja próbuję ukryć fakt, że zgmiotłam kolejną rurkę z ciasta. Jestem zakochaną wariatką z martwą siostrą. -

Bez niego ta knajpa to nie to samo. Trzyma się jakoś? -Maria odwraca się do mnie, odgarnia ciemny lok ze spoconego czoła i zauważa z irytacją rosnącą stertę połamanych rurek do cannelloni.

- Jakoś sobie radzi, tak jak my wszyscy - mówię. - Po pracy przychodzi do domu. - Nie dodaję: i wypala trzy fajki ziela, żeby stępić ból". Ciągłe zerkam na drzwi, wyobrażając sobie wchodzącego przez nie Joego.

- Słyszałam, że przedwczoraj miał na drzewie gościa - śpiewa Maria, wracając do cudzych spraw.

- No coś ty? - Udaję zdziwienie, doskonale wiedząc, że najprawdopodobniej tak było.

- No. Dorothy Rodriguez, znasz ją, nie? Uczy w drugiej klasie. Wczoraj w barze słyszałam, że wjechała z nim w beczce wysoko w korony i, no wiesz... - Puszcza do mnie oczko. - Urządzili sobie piknik.

Jęcę.

- Maria, to jest mój wujek, proszę cię.

Śmieje się, a potem papla o tuzinie innych schadzek w mieście, aż wreszcie do delikatesów wpływa Sarah, przebrana za sklep tekstylny specjalizujący się w indyjskich wzorkach. Staje w drzwiach, unosi ręce i obiema dłońmi pokazuje znak pokoju.

- Sarah! A niech mnie, wyglądasz dokładnie jak ja, dwadzieścia... Jezu, prawie trzydzieści lat temu - mówi Maria i rusza do chłodni. Słyszę, jak drzwi zamykają się za nią z głuchym tąpnięciem.

- Co to za panika? - pyta mnie Sarah. Letni dzień wszedł za nią. Jej włosy są jeszcze mokre po pływaniu. Kiedy zadzwoniłam wcześniej, ona i Luke byli w Wąwozie Samobójcy i pracowali" nad jakąś piosenką. Czuję na niej zapach rzeki, kiedy ściska mnie nad ladą.

- Czy ty masz pierścionki na palcach stóp? - zagajam, żeby jeszcze choć przez chwilę odwlec moje wyznanie.

- Oczywiście. - Unosi nogę w kalejdoskopowych szarawarach, żeby mi pokazać.

- Robią wrażenie.

Wskakuje na stołek barowy przy ladzie naprzeciw mnie, rzuca książkę na blat. Hélène Cixous.

- Lennie, te francuskie feministki są o wiele fajniejsze niż ci głupi egzystencjaliści. Totalnie wsiąkłam w koncepcję *jouissance*, czyli transcendentalnego zachwytu, o którym z pewnością ty i Joe wiecie już wszystko... - Bębni w powietrzu niewidzialnymi pałkami.

- Wiedzieliśmy. - Oddycham głęboko. Przygotowuję się na a nie mówiłam" stulecia.

Jej twarz utknęła gdzieś między niedowierzaniem a szokiem.

- Jak to, wiedzieliście?

- Normalnie, czas przeszły.

- Ale wczoraj... - Kręci głową, próbując nadażyć za tą nowiną. -

Wyszliście z próby, obłapiając się, aż wszystkim się robiło niedobrze na widok niezaprzeczalnej, nieodpartej, oczywistej prawdziwej miłości, którą sączyła się z waszych przyssanych do siebie ciał. Rachel o mało nie eksplodowała. To było takie piękne. - I nagle do niej dociera. - Nie. Nie zrobiłaś tego.

- Proszę cię, nie obrzucaj mnie krowami, kobyłami, mrówkojadami ani żadnymi innymi zwierzętami. Żadnej policji obyczajowej, okej?

- Okej, obiecuję. A teraz powiedz mi, że tego nie zrobiłaś. Mówiłam ci, że mam złe przeczucia.

- Zrobiłam. - Zakrywam twarz rękami. - Joe zobaczył nas wczoraj, jak się całowaliśmy.

- Ty chyba żartujesz. Kręcę głową.

Jak na hasło banda małych Tobych na deskach śmiga przed sklepem, rozdzierając chodnik z hukiem beinga.

- Ale dlaczego, Len? Dlaczego to zrobiłaś? - O dziwo, w jej głosie nie słyhać potępienia. Naprawdę chce wiedzieć. - Przecież nie kochasz Toby'ego.

- Nie.

- I masz totalny odpal na punkcie Joego.

- Totalny.

- Więc dlaczego? - Pytanie za milion dolarów. Nadziewam dwa cannelloni, zastanawiając się, jak to ująć.

- Myślę, że tu chodzi o to, że oboje tak bardzo kochamy Bailey, chociaż wiem, że to brzmi jak kompletne bredzenie.

Sarah gapi się na mnie.

- Masz rację, to brzmi jak bredzenie. Bailey by cię zabiła.

Serce dziko tłucze mi się w piersi.

- Wiem. Ale Bailey nie żyje, Sarah. A Toby i ja nie umiemy sobie z tym poradzić. I właśnie to się stało. Okej? - Nigdy w życiu nie krzyczałam na Sarę, a teraz mój głos z całą pewnością zbliża się do krzyku. Ale jestem na nią wściekła za to, że powiedziała prawdę, którą zresztą sama znam.

Bailey by mnie zabiła, i to sprawia, że mam ochotę wrzeszczeć na Sarę jeszcze głośniej i robię to. - Co ja mam zrobić? Odprawić pokutę? Mam umartwiać ciało, moczyć ręce w ługu, wcierać sobie pieprz w twarz jak święta Róża? Nosić włosiennicę?

Sarah wybałusza oczy.

- Tak, uważam, że właśnie to powinnaś zrobić! - krzyczy, ale potem jej usta drgają odrobinę. - Właśnie tak, noś włosiennicę. I włosianą czapkę! Całe włosiane wdzian-ko! - Z twarzą zmarszczoną jak śliwka, kwiczy: - Święta Lennie! - po czym składa się wpół, zgięta histerycznym śmiechem. A ja zaraz po niej; cały nasz gniew przemienia

się w niekontrolowany, spektakularny rechot. Zwijamy się obie, usiłując oddychać, i to jest wspaniałe, chociaż grozi mi śmierć z braku tlenu.

- Przepraszam - rzucam między spazmami Sarah wykrztusza:

- Nie, ja. Obiecałam, że taka nie będę. Ale fajnie było ci nawtykać.

- I nawzajem - beczę.

Maria wpada z powrotem z fartuchem wyładowanym pomidorami, paprykami i cebulami i mówi:

- Ty i twoja pieprznęta kohorta, sio mi stąd. Zrób sobie przerwę.

Sarah i ja zwalamy się na naszą ławkę przed delikatesami. Ulica zaludnia się poparzonymi od słońca parami z San Francisco, które wysypują się z pensjonatów, ubrane w czerń, szukając naleśników, spływów kajakowych i trawki.

Sarah kręci głową i zapala papierosa. Wprawiłam ją w konsternację. Co nie jest łatwe. Wiem, że ciągle ma ochotę wrzasnąć: Coś ty sobie myślała, Lennie, do latających lisów?!", ale nie robi tego.

- Okej, teraz najważniejsza sprawa to odzyskać tego małego Fontaine'a - mówi spokojnie.

- Dokładnie.

- Najwyraźniej wzbudzenie w nim zazdrości nie wchodzi w grę.

- Najwyraźniej. - Opieram podbródek na dłoniach, patrzę na tysiącletnią sekwoję po drugiej stronie ulicy, a ona patrzy na mnie i moją konsternację. Ma ochotę kopnąć mnie w mój żaloszny tyłek świeżo upieczonej Ziemiarki.

- Wiem! - wykrzykuje Sarah. - Uwiedziesz go. - Mruży powieki, odyma wargi wokół papierosa, zaciąga się głęboko, a potem wydmuchuje idealną kluchę z dymu. -



Uwiedzenie zawsze działa. Nie mogę sobie przypomnieć nawet jednego filmu, w którym by nie zadziało, a ty?

- Chyba nie mówisz poważnie. On jest zraniony i wkurzony. Nawet ze mną nie rozmawia, dzwoniłam dzisiaj trzy razy... a poza tym to ja, nie ty, pamiętasz? Ja nie umiem uwodzić. - Jestem żalosna. Ciągłe widzę twarz Joego, skamieniała i bez życia, taką jak wczoraj wieczorem. Jeśli kiedykolwiek istniała twarz odporna na uwodzenie, to właśnie ta. Sarah kręci koniec apaszki jedną ręką, w drugiej trzyma papierosa.

- Ty nie musisz nic robić, Len, wystarczy, że pokażesz się jutro na próbie orkiestry i będziesz wyglądać dobrze, uwodzicielsko. - Przeciąga słowo uwodzicielsko", jakby miało dziesięć sylab. - Jego szalejące hormony i dzika namiętność do ciebie zrobią resztę.

- Czy to nie jest zbyt płytkie, pani Francuska Feministko?

- *Au contraire, ma petite*". Te feministki wiecznie nawijają o celebrycji ciała, o jego *langage*<sup>6</sup>. - Wymachuje apaszką w powietrzu. - Jak powiedziałam, wszystkie poszukują *jouissance*<sup>7</sup>. Jako środka, oczywiście, do obalenia dominującego patriarchalnego paradygmatu i literackiego kanonu białych samców, ale o tym porozmawiamy kiedy indziej. - Pstryka papierosem na ulicę. - Tak czy inaczej, to nie zaszkodzi, Len. I będzie wesoło. Dla mnie, znaczy... - Chmura smutku przesłania jej twarz.

Wymieniamy spojrzenia, w których są całe tygodnie niepowiedzianych słów.

- Ja po prostu nie sądziłam, że jeszcze mnie rozumiesz - wypalam.

Czułam się jak całkiem inna osoba,

\* *Au contraire, ma petite* (fr.) - **przeciwnie, moja mała.**

---

<sup>6</sup>*langage* (fr.) - języku.

<sup>7</sup>*jouissance* (fr.) - radość, przyjemność.

a Sarah wydawała mi się tą samą starą Sarą, i założę się, że Bailey miała takie samo wrażenie, jeśli chodzi o mnie, i miała rację. Czasami po prostu trzeba brnąć dalej na swój własny, prywatny, pokręcony sposób.

- Bo nie rozumiałam! - wykrzykuje Sarah. - Tak naprawdę nie rozumiałam. Czułam się... czuję się taka bezużyteczna, Lennie. I mówię ci, te książki o żałobie są do dupy, są takie bezosobowe. Totalne, stuprocentowe śmieci.

- Dzięki - mówię. - Że je przeczytałaś. Patrzy na swoje stopy.

- Ja też za nią tęsknię. - Do tej chwili nie przyszło mi do głowy, że może czytała te książki również dla siebie. Ale oczywiście. Tak bardzo podziwiała Bailey. A ja zostawiłam ją całkiem samą z jej żałobą. Nie wiem, co powiedzieć, więc sięgam nad ławką i ściskam ją. Mocno. Trąbi na nas samochód pełen pohukujących debili z Clover High. Świetny sposób na zepsucie chwili. Odsuwamy się, Sarah macha na nich swoją feministyczną książką jak religijna fanatyczka; rozśmiesza mnie to. Kiedy tamtych już nie widać, wyjmuję z paczki kolejnego papierosa i delikatnie dotyka nim mojego kolana.

- Ale ta akcja z Tobym... po prostu tego nie łapię. - Zapala fajkę i nie przestaje potrząsać zapalką, chociaż ta już zgasła; kiwa nią jak metronomem. - Między tobą i Bailey była jakaś rywalizacja? Nigdy nie wyglądałyście mi na siostry w stylu *Króla Leara*. Przynajmniej tak mi się zdawało.

- Nie, nie byłyśmy. Nie... ale... nie wiem, sama zadaję sobie to pytanie... Znów rozbiłam się głową o to, co ostatniej nocy powiedział Big - o to ogromne, wielkie coś.

- Pamiętasz, jak oglądałyśmy Derby w Kentucky? - pytam Sarę, niezbyt pewna, czy to, co powiem, będzie zrozumiałe dla kogokolwiek poza mną. Patrzy na mnie jak na wariatkę.

- Tak, ehm, a co?
- Zauważyłaś, że konie wyścigowe mają konie do towarzystwa, które zawsze są przy nich?
- No, chyba.
- No więc ja myślę, że to byliśmy my. Ja i Bails. Sarah milczy przez minutę, wydycha długą chmurę dymu, a potem mówi:
  - Obie byliście wyścigowymi końmi, Len. - Ale widzę, że w to nie wierzy, że po prostu próbuje być miła. Kręcę głową.
  - Daj spokój, spójrz realnie. Ja nie byłam. Jezu, w życiu. I nie jestem. -1 zafundowałam to sobie na własne życzenie. Bailey świrowała tak samo jak Gram, kiedy zrezygnowałam z lekcji.
  - A chcesz nim być? - pyta Sarah.
  - Może - mówię, nie mogąc się zdobyć na tak". Ona uśmiecha się, a potem w milczeniu patrzymy, jak mijają nas powolutku samochód za samochodem, większość wypełniona nedorzecznie jaskrawym wodnym sprzętem: łódkami z głową żyrafy, kajakami w kształcie słonia i tym podobnym badziewiem. Wreszcie mówi:
    - Bycie koniem do towarzystwa to chyba kanał. Nie metaforycznym, znaczy, no wiesz, kiedy jesteś koniem. Pomyśl tylko. Poświęcenie dwadzieścia cztery na siedem, zero chwały, zero błysku fleszy... Powinny założyć związek, urządzić własne Derby Koni do Towarzystwa.
    - Nowy szlachetny cel dla ciebie.
    - Nie. Moim celem jest teraz przemiana świętej Lennon w femme fatale. - Uśmiecha się krzywo. - Noo, Len, zgódź się. Jej Noo, Len" przypomina mi Bails i sama nie wiem, kiedy mówię:
      - Okej, zgoda.
      - To będzie subtelne, obiecuję.

- Taak, subtelność to twoja mocna strona. Wybuchła śmiechem.

- No fakt, masz przewalone.

Pomysł jest beznadziejny, ale nie mam innego. Muszę coś zrobić, a Sarah ma rację: wyglądanie sexy (zakładając, że ja mogę wyglądać sexy) nie może przecież zaszkodzić, prawda? I to prawda, że uwiedzenie właściwie zawsze działa w filmach, zwłaszcza francuskich. Więc zdaję się na eksperckie doświadczenie Sary, na koncepcję *jouissance* i operacja "Femme Fatale" zostaje oficjalnie rozpoczęta.

Mam dekolt. Melony. Bazumby. Wielgobleśne bufory. Pełne garście biustu wylewające się z maciupeńskiej czarnej sukieneczki, w której mam pójść w biały dzień na próbę orkiestry. Nie mogę przestać spoglądać w dół. Jestem cycatką, biuściastą cizią. Moje chude ciało nagle stało się krągłe. Jak stanik mógł zrobić takie cuda? Uwaga, fizycy: materię naprawdę da się stworzyć z niczego. Nie wspominając już, że jestem na platformach, więc wyglądam, jakbym miała dwa siedemdziesiąt wzrostu, a moje usta mają kolor granatu.

Sarah i ja schowałyśmy się w klasie obok sali muzycznej.

- Jesteś pewna, Sarah? - Nie wiem, jak się dałam wciągnąć w ten idiotyczny odcinek *Kocham Lucy*.

- Nigdy niczego nie byłam bardziej pewna. Żaden facet ci się nie oprze. Ale trochę się martwię, że pan James tego nie przeżyje.

- No dobra. Idziemy - mówię.

Postanawiam pokonać korytarz, udając kogoś innego. Kogoś z filmu, z czarnobiałego francuskiego filmu, w którym wszyscy palą, jest tajemniczo i kusząco. Jestem kobietą, nie dziewczyną, i zamierzam uwieść mężczyznę. Kogo ja chcę oszukać? Panikuję i uciekam z powrotem do klasy. Sarah, moja drużna, ucieka za mną.

- Noo, Lennie. - Nie ma już do mnie siły.

I znowu to słyszę. Noo, Lennie". Próbuję jeszcze raz. Tym razem myślę o Bailey, o tym, jak poruszała biodrami, jak zmuszała ziemię, żeby pracowała dla niej, i sunę bez wysiłku, aż jestem w sali muzycznej. Od razu zauważam, że Joego nie ma, ale ciągle jeszcze jest czas do rozpoczęcia próby, jakieś piętnaście sekund, a on zawsze przychodzi wcześniej, ale może coś go zatrzymało.

Czternaście sekund: Sarah miała rację, wszyscy faceci gapią się na mnie, jakbym wyskoczyła z rozkładówki. Rachel o mało nie upuszcza klarnetu. Trzyście, dwanaście, jedenaście: pan James radośnie wyrzuca w górę rękę.

- Lennie, wyglądasz zachwycająco! - Docieram do swojego krzesła. Dziesięć, dziewięć: składam klarnet, ale nie chcę usmarować ustnika szminką. I tak to robię. Osiem, siedem: stroję. Sześć, pięć: ciągle stroję. Cztery, trzy: odwracam się. Sarah kręci głową, samymi ustami mówi: Niewiarykurnagodne".

Dwie, jedna: obwieszczenie, które już mnie nie dziwi.

- Zaczynamy zajęcia. Zawiadamiam was z przykrością, że straciliśmy naszego jedynego trębacza na festiwal. Joe zamiast z nami będzie występował z braćmi. Wyjmijcie ołówki, wprowadziłem zmiany.

Opieram moją zachwycającą głowę na dłoniach, słyszę Rachel:

- Mówiłam ci, że nie dorastasz do jego ligi, Lennie.



*Była sobie raz dziewczyna, która znalazła się poza życiem*

*Wyjrzała przez parapet nieba*

*I zobaczyła, że na ziemi*

*Jej siostra tęskni za nią za bardzo,*

*Jest o wiele za smutna,*

*Więc skrzyżowała parę ścieżek,*

*Które by się nie zbiegły*

*Wzięła w dłoń kilka chwil,*

*Potrząsnęła nimi*

*I rozsypała jak kosi*

*Po żywym świecie.*

*Udało się*

*Chłopak z gitara*

*Zderzył się z jej siostrą*

*Proszę, Len – szepnęła*

*Reszta zależy od ciebie.*

*(Znalezione na ulotce na chodniku przy Main Street).*

Niech Moc będzie z tobą - mówi Sarah i posyła mnie w drogę, czyli w górę wzgórza, do Fontaine'ów, we wcześniej wspomnianej małej czarnej, w platformach i z wiel-gobleśnymi buforami. Przez całą drogę powtarzam sobie mantrę: Jestem autorką mojej historii i mogę ją opowiadać, jak mi się podoba. Jestem artystką solową. Jestem koniem wyścigowym". Owszem, to umiejscawia mnie w kategorii totalnych frików, ale działa jak należy i niesie mnie na wzgórze; piętnaście minut później patrzę już na Maison Fontaine, a wokół mnie szeleszczą suche letnie liście, bzy-czące od ukrytych robali, co nagle przypomina mi Rachel: skąd ona wiedziała, u licha, co się stało między mną i Joem? Kiedy docieram na podjazd, widzę mężczyznę ubranego na czarno, z szopą białych włosów, wymachującego rękami jak derwisz i wrzeszczącego po francusku na elegancką kobietę w czarnej sukience (jej to pasuje), która (kobieta, nie sukienka) wygląda na równie wkurzoną. Syczy na niego po angielsku. Nie mam najmniejszej ochoty przechodzić obok tych dwóch panter, więc przemykam się wokół najdalszego końca posiadłości, a potem nurkuję pod ogromną wierzbę, która rządzi ogrodem jak królowa; gęste draperie jej liści spływają jak zielona balowa suknia wokół prastarego pnia i gałęzi, tworząc doskonałą kryjówkę dla takich jak ja.

Potrzebuję chwili, żeby zebrać się na odwagę, więc zaczynam chodzić w kółko po moim nowym apartamencie i staram się wymyślić, co właściwie powiem Joemu; jakoś ani ja, ani Sarah nie pomyślałyśmy o tym wcześniej.



I wtedy to słyszę: dźwięk klarnetu wypływający z domu; melodię, którą Joe napisał dla mnie. Moje serce wykonuje pełen nadziei podskok. Podchodzę do ściany Maison Fontaine przylegającej do drzewa i, wciąż ukryta za kurtyną liści, stoję na palcach. Przez otwarte okno widzę skrawek Joego, grającego na basowym klarnecie w salonie.

I tak zaczyna się moje życie szpiega.

Mówię sobie, że po tym kawałku zadzwonię do drzwi i powiem mu, co mam do powiedzenia. Ale potem on gra tę melodię jeszcze raz i jeszcze raz i sama nie wiem, kiedy kładę się na plecach, słuchając tej niesamowitej muzyki, sięgam do torebki Sary po długopis, znajduję nawet skrawek papieru. Na szybko piszę wiersz, przyszpilam go patyczkiem do ziemi. Muzyka wprawia mnie w zachwyt; ześlizguję się w czasie z powrotem do tego pocałunku, znów spijam słodki deszcz z jego warg.

Które to marzenia niegrzecznie przerywa mi zirytowany głos Douga-Freda.

- Stary, doprowadzasz mnie do szału; w kółko ta sama piosenka od dwóch dni, już nie daję rady. Wszyscy skoczmy z mostu zaraz za tobą.

Dlaczego po prostu z nią nie porozmawiasz? - Zrywam się i podbiegam do okna. Mata Hari od siedmiu boleści, przebrana za drag queen. Proszę, powiedz, że z nią porozmawiasz, wysyłam Joemu telepatycznie.

- Nie ma mowy - mówi.

- Joe, to jest żalosne... no przestań. Głos Joego jest zirytowany, spięty.

- To ja jestem żalosny. Okłamywała mnie przez cały czas... tak jak Genevieve, tak jak tata okłamuje mamę, skoro już o tym mowa...

Uch. Uch. Uch. Rany, ale to skopałam.

- Skoro tak twierdzisz, ale, do cholery... czasem to wszystko nie jest takie proste, stary. - Alleluja, Doug-Fred.

- Dla mnie jest.

- Bierz trąbkę, musimy poćwiczyć.

Wciąż ukryta pod drzewem słucham, jak Joe, Marcus i Doug-Fred ćwiczą. Wygląda to tak: trzy nuty, dzwoni komórka. Marcus: Hej, Ami"; pięć minut później, kolejny dzwonek. Marcus: *Salut, Sophie*", potem Doug-Fred: Hej, Chloe, potem, piętnaście minut później: Cześć, Nicole". Ci goście działają jak kocimiętka. Przypominam sobie, jak tamtego wieczoru, który tutaj spędziłam, telefon dzwonił praktycznie bez przerwy. Wreszcie Joe mówi: Wyłączcie komórki, bo nie zagramy nawet jednego kawałka..." - ale kiedy kończy zdanie, rozdzwonia się jego własna komórka, a jego bracia wybuchają śmiechem. Słyszę, jak mówi: Hej, Rachel". I to jest mój koniec. Hej Rachel" wypowiedziane głosem, w którym brzmi radość, że ją słyszy, jakby spodziewał się telefonu, nawet czekał na niego.

Myślę o świętej Wilgefortis, która położyła się spać piękna, a obudziła z długą brodą i wąsami, i życzę takiego losu Rachel. Tej nocy.

Nagle słyszę: Miałaś absolutną rację. Gardłowe śpiewy z Tuwy są niesamowite".

Dzwonić pod 911.

Okej, uspokój się, Lennie. Przestań chodzić. Nie myśl o tym, jak on trzepocze rzęsami do Rachel Brazile! Jak śmieje się do niej, całuje ją, sprawia, że ona czuje się jak kawałek nieba... Co ja narobiłam? Kładę się na plecach w trawie pod parasolem drżących, oświetlonych słońcem liści. Zwykły telefon wbił mnie w ziemię. Jak on musiał się czuć, kiedy zobaczył mnie całującą się z Tobym?

Jestem pindą, nie da się tego inaczej ująć.

Tego też nie da się inaczej ująć: jestem tak koszmarnie zakochana - ta miłość ryczy we mnie na cały regulator, jak jakaś psychoopera.

Ale żeby wrócić do suczydła?

Bądź racjonalna, mówię sobie, bądź logiczna, pomyśl o wszystkich niewinnych, nieromantycznych powodach, dla których ona może do niego dzwonić. Jakoś nie mogę wymyślić ani jednego, ale jestem tak pochłonięta próbowaniem, że nawet nie słyszę, kiedy podjechał pikap; budzi mnie dopiero trzask drzwiczek. Wstaję, wyglądam przez gęstą zasłonę liści i o mało nie mdleję na widok Toby'ego, idącego do drzwi. WTFozaur?! Toby waha się przed naciśnięciem dzwonka, bierze głęboki wdech, po czym wciska guzik, czeka chwilę, wciska go znów. Robi krok w tył, spogląda w stronę salonu, w którym dla odmiany ryczy muzyka, i puka głośno. Muzyka milknie, rozlega się tupot stóp, a potem widzę, jak drzwi się otwierają i słyszę Toby'ego:

- Jest Joe? Głyk.

Potem słyszę Joego, ciągle w salonie:

- Czego on chce? Nie chciałem z nim rozmawiać wczoraj i nie chcę z nim rozmawiać dzisiaj.

Marcus jest z powrotem w salonie.

- Po prostu z nim pogadaj.

- Nie.

Ale Joe podchodzi jednak do drzwi, bo słyszę rozmowę i widzę poruszające się usta Toby'ego, chociaż mówi zbyt przyciszonym głosem, żebym mogła rozróżnić słowa.

Nie planuję tego, co się dzieje w następnej chwili. To się po prostu dzieje.

W mojej głowie akurat znów się odzywa ta głupia mantra:

to-jest-moja-historia-jestem-ko-niem-wyścigowym, i uznaję, że cokolwiek ma się stać, do-

brego czy złego, nie chcę się chować w drzewie, kiedy się będzie stawało. Zbieram w sobie całą odwagę i rozchylam kurtynę liści.

Pierwsze, co zauważam, to niebo, tak pełne błękitu i świetlistych białych obłoków, że człowiek popada w ekstazę przez sam fakt posiadania oczu. Pod takim niebem nie może się stać nic złego, uznaję, idąc przez trawnik i starając się nie chwiać na platformach. Dzikich rodziców Fontaine'ow nigdzie nie widać; pewnie przenieśli swoje kocie syki do stodoły. Toby musiał usłyszeć moje kroki; odwraca się.

- Lennie?

Drzwi otwierają się i trzej Fontaine'owie wysypują się z domu, jakby siedzieli upchnięci w za ciasnym aucie. Marcus odzywa się pierwszy:

- Da-da-dduum. Joemu opada szczeka.

Toby'emu też, nawiasem mówiąc.

- Jasna dupa - wyrywa się z wiecznie rozanielonej twarzy Douga-Freda.

Cała czwórka stoi jak rząd ekscytowanych kaczek. Jestem boleśnie świadoma, jak krótka jest moja sukienka, jak obcisła w biuście, jak dzikie są moje włosy, jak czerwone usta. Mam ochotę umrzeć. Mam ochotę zasłonić ciało rękami. Już na resztę życia zostawię femme-fatalowanie innym femmes. Myślę tylko o ucieczce, ale nie chcę, żeby gapili się na mój tyłek, kiedy będę wiać do lasu w tym skrawku szmaty udającym sukienkę. Ale zaraz - oglądam jedną po drugiej ich głupkowate miny. Czyżby Sarah miała rację? Czy to może działać? Czy faceci naprawdę są tak prości?

Marcus nie stracił nic ze swojej żywiołowości.

- Ostro jedziesz, John Lennon. Joe morduje go wzrokiem.

- Zamknij się, Marcus. - Odzyskał już panowanie nad sobą razem ze swoją furją. Nie, Joe z całą pewnością nie jest taki prosty. Natychmiast orientuję się, że to było fatalne, fatalne posunięcie. - Jeszcze nie macie dość? - mówi do mnie i Toby'ego, wyrzucając ręce w górę jak doskonała kopia swojego ojca derwisza.

Przepycha się między swoimi braćmi i Tobym, zeskakuje z werandy, podchodzi do mnie, tak blisko, że czuję zapach jego furii.

- Nie rozumiesz? Co zrobiłaś! To koniec, Lennie, z nami koniec. - Piękne wargi Joego, te, które mnie całowały i szeptały w moje włosy, wykrzywają się wokół słów, których nie chcę słuchać. Ziemia pode mną zaczyna się przechylać. Przecież tak naprawdę ludzie nie mdleją, prawda? - Zrozum to, bo mówię całkiem poważnie. Zniszczyłaś to. Wszystko zniszczyłaś.

Nie posiadam się ze wstydu. Zabiję Sarę. A ta akcja była totalnie w stylu konia do towarzystwa. Wiedziałam, że to się nie uda. To było niemożliwe, żeby zapomniał o tej kolosalnej zdradzie tylko dlatego, że wbiłam się w tę idiotycznie małą kieczę. Jak mogłam być taka głupia?

I właśnie mi zaświtało, że może faktycznie jestem autorką mojej własnej historii, ale też wszyscy inni są autorami swoich i czasami, jak na przykład teraz, te historie się nie zazębiają.

On odchodzi ode mnie. Mam gdzieś, że obserwuje nas i słucha sześć par oczu i uszu. Nie może odejść, dopóki nie będę miała szansy powiedzieć czegokolwiek, spróbować mu wyjaśnić, co się stało, co do niego czuję. Chwytam brzeg jego koszulki. Odwraca się wściekle, odtrąca moją rękę, patrzy mi w oczy. Nie wiem, co w nich widzi, ale trochę mięknie. Patrzę, jak ta wściekłość częściowo wyparowuje z niego, kiedy tak na mnie patrzy. Bez niej jest

zdeenerwowany i bezbronny jak mały, zniechęcony chłopiec. Na ten widok ogarnia mnie wręcz bolesna czułość. Chcę dotknąć jego pięknej twarzy. Patrzę na jego dłonie: trzęsą się.

Tak jak ja cała.

On czeka, aż się odezwę. Ale do mnie dociera, że idealne słowa są chyba w głowie jakiejś innej dziewczyny, bo na pewno nie ma ich w moim. W moim nie ma nic.

- Przepraszam - udaje mi się wydusić.

- Mam to gdzieś. - Głos mu się trochę łamie. Spogląda w ziemię. Podążam wzrokiem za jego spojrzeniem i widzę, że z dzinsów wystają mu bose stopy; są długie, wąskie, z palcami jak u szympansa. Nigdy wcześniej nie widziałam jego stóp bez butów i skarpetek. Są idealnie małpiaste - palce są tak długie, że mógłby grać nimi na pianinie.

- Twoje stopy - mówię bezwiednie. - Nigdy ich nie widziałam.

Moje idiotyczne słowa wibrują w powietrzu między nami i przez ułamek sekundy wiem, że on ma ochotę się roześmiać, chce wyciągnąć ręce i przygarnąć mnie do siebie, chce się ze mnie ponabijać, że powiedziałam coś tak głupiego, kiedy on chce mnie zamordować. Widzę to na jego twarzy, jakby jego myśli były na niej napisane. Ale nagle to wszystko znika równie szybko, jak się pojawiło, i zostaje tylko nieznośna uraza w jego oczach, pod rzęsami, które nie trzepoczą, na jego ustach bez uśmiechu. On mi nigdy nie wybaczy.

Odebrałam radość najbardziej radosnemu człowiekowi na planecie Ziemi.

- Tak strasznie cię przepraszam - mówię. - Ja...

- Jezu, przestań to powtarzać. - Jego dłonie śmigają wokół mnie jak oszalałe nietoperze. Na nowo podpaliłam jego furję. - Mnie nie obchodzą twoje przeprosiny. Ty po

prostu tego nie rozumiesz. - Odwraca się gwałtownie i pędzi do domu, zanim zdążyłam powiedzieć cokolwiek.

Marcus kręci głową i wzdycha, po czym idzie za nim do środka, ciągnąc za sobą Douga-Freda.

Stoję tak, czując, jak słowa Joego wciąż przypalają mi skórę, i myśląc, jaki to był koszmarny pomysł, żeby tutaj przyjść, w tej maleńkiej sukience, w tych drapaczach chmur na nogach. Ścieram syrenią pieśń z moich ust. Sama w sobie budzę niesmak. Nie poprosiłam go o wybaczenie, niczego nie wyjaśniłam, nie powiedziałam mu, że jest najbardziej niesamowitym zjawiskiem, jakie mi się kiedykolwiek przydarzyło, że go kocham, że jest dla mnie jedynym. Zamiast tego mówiłam o jego stopach. Stopach.

Klasyczny przykład pustki w głowie w stresie. Ale nagle przypominam sobie: Hej, Rachel", które jest jak koktajl Mołotowa zazdrości, wrzucony w moje nieszczęście; wybucha, dopełniając tego posepnego obrazka.

Mam ochotę kopnąć to pocztówkowe niebo.

Jestem tak pochłonięta samobiczowaniem, że nie pamiętam o Tobym, dopóki się nie odzywa:

- Uczuciowy facet.

Unoszę wzrok. Toby siedzi na werandzie, z tyłu podpira się rękami, nogi ma wyciągnięte przed siebie. Musiał przyjść prosto z pracy; nie ma na sobie skejtowych szmat, tylko pochłapane błotem dżinsy, wysokie buty i flanelową koszulę, i brakuje mu tylko stetsona do kompletnej podobizny Marlboro Mana. Wygląda tak jak tego dnia, kiedy porwał serce mojej siostry: Rewolucjonista Bailey.

- Wczoraj o mało nie pobił mnie gitarą. Myślę, że robimy postępy - dodaje.

- Toby, co ty tutaj robisz?

- A czemu ty się chowasz w drzewach? - odbija moje pytanie, wskazując ruchem głowy wierzbę za moimi plecami.

- Próbuję jakoś to naprawić.

- Ja też - mówi szybko, zrywając się na nogi. - Ale dla ciebie. Próbowałem mu powiedzieć, co jest grane. - Jego słowa mnie zaskakują. - Zawiozę cię do domu - dodaje.

Wsiadamy do jego pikapa. W żaden sposób nie mogę opanować mdłości: jedyne skutki najbardziej spartaczonych próby uwiedzenia w historii miłości. Uch. A na dodatek jestem pewna, że Joe patrzy na nas z okna i wszystkie podejrzenia gotują się w jego szalonej głowie, kiedy odjeżdżam z Tobym.

- A co mu powiedziałaś? - pytam, kiedy jesteśmy już poza terytorium Fontaine'ów.

- No więc, w tych trzech słowach, które udało mi się powiedzieć wczoraj, i w dziesięciu, które dodałem dzisiaj, zasadniczo udało mi się przekazać, że powinien dać ci drugą szansę, że między nami nic nie ma, byliśmy tylko rozwaleni...

- Łał, to było miłe. Wtrącałskie jak sto pięćdziesiąt, ale miłe.

Patrzy na mnie przez chwilę, potem znów zwraca oczy na drogę.

- Patrzyłem na was tamtego wieczoru, w deszczu... Widziałem to. Widziałem, co czujesz.

Jego głos jest pełen emocji, których nie potrafię rozszyfrować, i prawdopodobnie nie chcę.

- Dzięki - mówię cicho, wzruszona, że zrobił to mimo wszystko, a może ze względu na wszystko.

On nie odpowiada, patrzy tylko prosto przed siebie, w słońce, które przesłania wszystko na naszej drodze rozbrykanym splendorem. Pikap mknie między drzewami, a ja wystawiam rękę przez okno, próbując chwytać wiatr, jak robiła to Bailey; tęsknię za nią, tęsknię za dziewczyną, którą byłam przy niej, tęsknię za tymi wszystkimi ludźmi,



którymi byliśmy. Już nigdy nimi nie będziemy. Ona zabrała ich wszystkich ze sobą.

Zauważam, że Toby nerwowo stuka palcami w kierownicę. Ciągłe to robi. Tap. Tap. Tap.

- Co się dzieje? - pytam.

Mocno ściska kierownicę obiema rękami.

- Ja ją naprawdę kocham - mówi łamiącym się głosem. - Ponad wszystko.

- Och, Toby, wiem. - To jest jedyne, co rozumiem w tym całym bałaganie: że jakimś cudem to wszystko, co zaszło między nami, zaszło dlatego, że jest w nas za dużo miłości do Bailey, nie za mało.

- Wiem - powtarzam. Kiwa głową.

Nagle coś mi przychodzi do głowy: Bailey kochała Toby'ego i mnie tak bardzo - jej serce składało się praktycznie z nas dwojga - i może o to chodzi, może właśnie to próbowaliśmy osiągnąć, będąc razem, może próbowaliśmy złożyć jej serce z powrotem w całość.

Toby zatrzymuje pikapa przed domem. Słońce leje się do szoferki, kapie nas w swoim świetle. Wyglądam przez okienko i widzę Bails wybiegającą z domu, sfruwającą z ganku, żeby wskoczyć do tego samego pikapa, w którym ja siedzę. To takie dziwne. Przez tyle czasu nie cierpiałam Toby'ego za to, że mi odbiera siostrę, a teraz wygląda na to, że liczę na niego, że mi ją odda.

Otwieram drzwiczki, stawiam jedną platformę na ziemi.

- Len?

Odwracam się.

- Zmęczysz go w końcu. - Jego uśmiech jest ciepły i szczery. Opiera skroń o kierownicę. - Zostawię cię na chwilę w spokoju, ale gdybyś mnie potrzebowała... z jakiegokolwiek powodu, okej?

- I nawzajem - mówię przez ściśnięte gardło. Nasza połączona miłość do Bailey drży między nami;  
jest jak coś żywego, delikatnego jak mały ptak, i równie niesamowicie pięknego przez swoje pragnienie zerwania się do lotu. Serce mnie boli za nas oboje.
- Nie rób niczego głupiego na tej twojej desce -proszę.
- Nie będę.
- Okej. - Wysiadam z auta, zamykam drzwi i idę do domu.



*Czasami widziałam, jak Sarah i jej mama*

*spoglądają na siebie przez pokój*

*i miałam ochotę*

*wywrocic moje życie jak stol.*

*Mówiłam sobie, że nie wolno się tak czuć,*

*że miałam szczęście*

*miałam Bailey.*

*Miałam Gram i Biga*

*Miałam swój klarnet, książki, rzekę, niebo*

*Mówiłam sobie, że miałam też matkę, tylko taką, której nie widział nikt*

*oprócz Bailey i mnie*

***(Znalezione na ogłoszeniach drobnych w Clover Gazette, pod ławką przed Delikatesami Marii).***

Sarah jest na uniwerku, jako że dziś po południu jest to seminarium, więc nie mogę nikogo oprócz siebie obwiniać za fiasko operacji "Femme Fatale", czy raczej Hej, Rachel". Nagrywam się jej na pocztę, że przez jej *jouissance* doznałam umartwienia i wstydu jak prawdziwa święta, i teraz czekam już tylko na cud ostatniej szansy.

Dom jest cichy. Gram widocznie wyszła, co się fatalnie składa, bo po raz pierwszy od wieków niczego nie pragnę bardziej niż usiąść z nią przy stole i napić się herbaty.

Idę do Świątyni rozmyślać o Joem, ale kiedy już tam jestem, moje spojrzenie ciągle pada na spakowane pudła. Nie mogę na nie patrzeć, więc przebrawszy się z mojej idiotycznej kreacji, zanoszę je na strych. Nie byłam tu od lat. Nie lubię jego wyglądu grobowca, nie lubię przypalonego zapachu uwiecznionego upału, braku powietrza. I zawsze wydaje mi się taki smutny, pełen wszystkiego, co porzucone i zapomniane. Rozglądam się po bałaganie bez życia, dołuje mnie myśl, że mam zostawić tutaj rzeczy Bailey. Właśnie przed tym migałam się od miesięcy. Biorę głęboki wdech, rozglądam się. Jest tu tylko jedno okno, więc decyduję - chociaż to miejsce jest najbardziej zagrożone pudłami i rupieciami - że rzeczy Bailey powinny leżeć właśnie tu, gdzie przynajmniej codziennie będzie się sączyć trochę słońca.

Przedzieram się tam przez tor przeszkód z popsutych mebli, skrzyń i starych płócien. Natychmiast

przesuwam parę pudeł, żeby móc uchylić okno i usłyszeć rzekę. Popołudniowy wiatr przynosi ślady zapachów róż i jaśminu. Otwieram okno szerzej, wspinam się na stare biurko, żeby się wychylić. Niebo wciąż jest widowiskowe i mam nadzieję, że Joe na nie patrzy. W którekolwiek miejsce siebie bym zajrzała, natrafiam na jeszcze więcej miłości do niego, do wszystkiego w nim; kocham jego gniew równie mocno jak jego czułość - jest taki żywy, przy nim czuję się, jakbym mogła odgryźć kęs z Ziemi. Gdyby tylko słowa nie uciekły mi dzisiaj, gdybym krzyknęła za nim: Rozumiem! Rozumiem, że do końca twojego życia nikt nie będzie cię kochał tak mocno jak ja - mam serce tylko po to, żeby oddać ci je całe!" Właśnie to czuję - ale, niestety, ludzie nie mówią w ten sposób poza wiktoriańskimi powieściami.

Wyjmuję głowę z nieba i wciągam ją z powrotem na duszny strych. Czekam, żeby moje oczy przyzwyczały się na nowo, a kiedy już są przyzwyczajone, wciąż jestem przekonana, że to jest jedyne możliwe miejsce dla rzeczy Bailey. Zaczynam przenosić śmieci, które je zajmują, na półki pod tylną ścianą. Po wielu kursach w tę i z powrotem sięgam wreszcie w dół, żeby podnieść ostatni - pudełko po butach. Wieczko zeskakuje. Pudełko jest pełne listów adresowanych do Biga, pewnie miłosnych. Zerkam na pocztówkę od jakiejś Edie. Postanawiam nie grzebać dalej. Moja karma już chyba nie może być bardziej zapaprana. Zakładam wieczko z powrotem, stawiam pudełko na jednej z niższych półek, gdzie jest jeszcze trochę miejsca. Tuż za nim zauważam stare drewniane pudełko na listy, wypolerowane i błyszczące. Zastanawiam się, co taki antyk robi tutaj, zamiast stać na dole z innymi skarbami Gram. A jest naprawdę piękne. Wysuwam je; drewno to mahoń, na wieku wyrzeźbiony jest krąg galopujących koni. Dlaczego nie jest pokryte kurzem jak wszystko inne na tych półkach? Unoszę wieczko i widzę, że pudełko peł-

ne jest poskładanych kartek z miętowozielonej papeterii Gram; jest ich mnóstwo, a obok nich jest też sporo listów w kopertach. Już zamierzam odstawić pudełko, kiedy nagle widzę wypisane na kopercie starannym pismem Gram imię Paige. Przerzucam koperty. Na każdym widnieje "Paige", a obok imienia rok. Gram pisze listy do mamy? Co roku?

Wszystkie koperty są zapieczętowane. Wiem, że powinnam odstawić pudełko na miejsce, że to osobista sprawa, ale nie mogę. Mam w nosie karmę. Otwieram jedną z kartek z papeterii. Jest na niej napisane:

*Kochanie, kiedy tylko bzy rozkwitają w pełni, muszę do Ciebie napisać. Wiem, że mówię Ci to co roku, ale od kiedy odeszłaś, nie kwitną już tak samo. Teraz są takie marne. Może dlatego, że nikt nie potrafi ich kochać tak jak Ty - bo kto by dał radę? Każdej wiosny zastanawiam się, czy znajdę dziewczynki śpiące w ogrodzie, jak znajdowałam Ciebie, rano za rankiem. Wiedziałaś, że to uwielbiam? Wychodzić rano na dwór i widzieć Cię śpiącą wśród bzów i róż - nigdy nawet nie próbowałam namalować tego obrazka. I nigdy nie spróbuję. Nie chciałam go sobie zepsuć.*

*Mama*

Rany - moja matka kocha bzy, bardzo je kocha. Tak, tak, to prawda, większość ludzi kocha bzy, ale moja matka ma na ich punkcie takiego świra, że nie mogła wytrzymać w domu, wiedząc, że wszystkie te kwiaty szaleją pod jej oknem. Czy brała ze sobą koc? Śpiwór? Nic? Czy wykrażała się, kiedy wszyscy inni spali? Czy robiła to, kiedy była w moim wieku? Czy lubiła patrzeć na niebo tak bardzo jak ja? Chcę wiedzieć więcej. Jestem rozedrgana, krew uderza mi do głowy, jakbym miała ją spotkać pierwszy raz w życiu. Siadam na pudle, próbuję się uspokoić. Nie mogę. Biorę kolejną kartkę. Czytam:

*Pamiętasz to pesto, które robiłaś z orzechów włoskich zamiast z piniowych? No więc spróbowałam pekanów, i wiesz co? Jeszcze lepsze. Masz tu przepis:*

*2 filiżanki paczkowanych świeżych liści bazylii*

*2/3 filiżanki oliwy*

*1/2 filiżanki pekanów, uprażonych*

*1/3 filiżanki świeżo startego parmezanu*

*2 duże ząbki czosnku, zgniecione*

*1/2 łyżeczki soli*

Moja matka robi pesto z orzechów włoskich! To jest jeszcze lepsze niż sypianie pod bzami. Takie normalne. Takie w stylu zrobię na kolację makaron z pesto". Moja matka krząta się w kuchni. Wkłada orzechy, bazylię i oliwę do miksera i wciska guzik. Gotuje wodę na makaron! Muszę to powiedzieć Bails. Mam ochotę wrzasnąć do niej przez okno: Nasza matka gotuje wodę na makaron!" I krzyknę. Powiem Bailey. Idę do okna, włożę na biurko, wystawiam głowę i mówię mojej siostrze o wszystkim, czego się właśnie dowiedziałam. Kiedy wracam do środka, czuję się jak na rauszu i - owszem - lekko nie na swoim drzewie; teraz mam nadzieję, że nikt nie słyszał dziewczyny wrzeszczącej na całe gardło o makaronie i bzach. Oddycham głęboko. Otwieram kolejny list.

*Paige,*

*używałam tych perfum, których Ty używałaś długie lata. Tych, które, jak mówiłaś, pachniały jak słońce. Właśnie się dowiedziałam, że przestali je produkować. Czuję się, jakbym teraz straciła Cię już do reszty. Nie mogę tego znieść.*

*Mama*

Oo.

Ale dlaczego Gram nie powiedziała nam, że nasza mama używała perfum, które pachniały jak słońce? Że spała



wiosną w ogrodzie? Że robiła pesto z orzechów włoskich? Dlaczego ukrywała przed nami tę prawdziwą, realną matkę? Ale ledwie zadaję sobie to pytanie, znam już odpowiedź, bo nagle to nie krew płynie w moich żyłach, krąży po moim ciele, ale tęsknota za matką, która kochała bzy. Tęsknota, jakiej nigdy nie czułam za Paige Walker, która wędruje po świecie. Przy tamtej Paige Walker nigdy nie czułam się jak córka, ale przy tej, która gotuje wodę na makaron, czuję się. Ale żeby być córką, trzeba być chcianą. Trzeba być kochaną, prawda?

A teraz zalewa mnie coś jeszcze gorszego niż tęsknota, bo jak matka, która gotuje wodę na makaron, mogła zostawić dwie małe córeczki? Jak mogła?

Zamykam wieko, wsuwam pudełko z powrotem na półkę, szybko ustawiam pudła Bailey przy oknie i schodzę na dół, do pustego domu.



*Architektura*

*Mysli mojej siostry*

*Jest teraz duchem.*

*Spadam*

*Ze schodow*

*Zrobionych wylacznie z powietrza.*

*(Znalezione na kubku na wynos przy zagajniku starych sekwoi).*

Następne dni wloką się żałośnie krok za krokiem. Opuszczam próby orkiestry i zamykam się w Świątyni. Joe Fontaine nie wpada, nie dzwoni, nie esemesuje, nie mejluje, nie pisze na niebie, nie nadaje alfabetem Morse'a, nie komunikuje się ze mną telepatycznie. Nic. Jestem właściwie pewna, że on i Hej, Rachel przeprowadzili się do Paryża, gdzie odżywiają się czekoladą, muzyką i czerwonym winem, a ja siedzę w tym oknie i patrzę na drogę, którą nie przybiega nikt w podskokach, z gitarą w ręce, jak kiedyś.

W miarę upływu dni miłość Paige Walker do bzów i jej umiejętność gotowania wody działają w szczególny sposób, zmywając z niej szesnaście lat mitu. A bez mitu zostaje tylko to: nasza matka nas porzuciła. Nie da się tego obejść. A jaka matka robi coś takiego? Pojechana Lennie ma rację. Żyłam we śnie, z mózgiem totalnie wypranym przez Gram. Moja matka jest wariatką i ja też jestem, bo jaka dziewczyna przełknęłaby tak niedorzeczną bajkę? Te hipotetyczne rodziny, o których mówił Big, miałyby rację, nie nazywając tego oględnie. Moja matka jest niepoważna, nieodpowiedzialna i prawdopodobnie nie zrównoważona umysłowo. Wcale nie jest bohaterką. Jest tylko samolubną kobietą, której nie chciało się tyrać, więc podrzuciła dwójkę małych dzieci na próg swojej matki i nigdy nie wróciła. Oto, kim jest. I oto, kim jesteśmy my - dwójką opuszczonych dzieciaków, zwykłych podrzutków. Cieszę się, że Bailey nigdy nie musiała przejrzeć na oczy.

Nie wracam więcej na strych.

Ale nic nie szkodzi. Przyzwyczaiałam się do matki jeżdżącej na latającym dywanie, to i do takiej też się przyzwyczaję, prawda? Nie mogę tylko przyzwyczać się do myśli, że Joe, mimo mojej wciąż rosnącej miłości do niego, nigdy mi nie wybaczy. Jak można się przyzwyczać, że nikt już nie nazywa cię John Lennon? Albo nie budzi w tobie wiary, że niebo zaczyna się u twoich stóp? I nikt nie zachowuje się jak palant, żebyś mówiła *quel palant*"? Jak można się przyzwyczać do nieobecności chłopaka, który zamienia cię w światło?

Nie mogę.

A najgorsze jest to, że z każdym mijającym dniem Świątynia robi się coraz cichsza, nawet kiedy puszczam muzykę na cały regulator, nawet kiedy rozmawiam z Sarą, która wciąż przeprasza za fiasko z uwodzeniem, nawet kiedy ćwiczę Strawińskiego - po prostu robi się coraz cichsza i cichsza, aż jest już taka cicha, że słyszę w niej tylko, wciąż od nowa, mechaniczny odgłos trumny opuszczanej w ziemię.

Z każdym mijającym dniem wydłużają się chwile, kiedy nie wydaje mi się już, że słyszę obcasy Bailey stukające na korytarzu, kiedy nie dostrzegam jej przez mgnienie na łóżku z książką, nie widzę jej kątem oka powtarzającej rolę przed lustrem. Zaczynam się przyzwyczajać do Świątyni bez niej, i wścieka mnie to. Wścieka mnie fakt, że kiedy stoję w jej szafie, gorączkowo przerzucając ubrania, wtulając twarz w materiał, nie znajduję ani jednej bluzki czy sukienki, która miałaby jeszcze w sobie jej zapach. I to jest moja wina. Teraz wszystkie pachną mną.

Wścieka mnie, że jej numer komórkowy wreszcie został odłączony.

Z każdym mijającym dniem znika coraz więcej śladów mojej siostry, nie tylko ze świata, ale z mojej głowy, i nic

nie mogę na to poradzić, mogę tylko siedzieć w głuchej, bezwonnej Świątyni i płakać.

Szóstego dnia takiego życia Sarah uznaje mnie za przypadek wymagający reanimacji i wymusza na mnie obietnicę, że wieczorem pójdę z nią do kina.

Przyjeżdża po mnie Ennui, ubrana w czarną miniówkę, czarną koszulkę na ramiączkach odsłaniającą spory kawał opalonego brzucha, w metrowych czarnych szpilkach i do tego wszystkiego w czarnej narciarskiej czapce, którą, jak podejrzewam, włożyła ze względów praktycznych, bo przyszedł chodny front i jest zimno jak na biegunie. Ja jestem w brązowej zamszowej marynarce, w golfie i dżinsach.

Wyglądamy, jakby ktoś wyrwał nas z różnych stref klimatycznych.

- Cześć! - mówi, wyjmując papierosa z ust, żeby mnie pocałować, kiedy wsiadam do auta. - Ten film podobno jest dobry. Nie jak ten ostatni, na który cię zaciągnęłam, w którym kobieta przez pierwszą połowę siedziała w fotelu z kotem. Przyznaję, że tamten był problemático. - Ja i Sarah mamy zupełnie różne filozofie chodzenia do kina. Ja chcę od celuloиду tylko możliwości siedzenia po ciemku z wielkim wiaderkiem popcornu. Łyknę wszystko: pościgi samochodowe, polowanie na chłopaka, triumf nieudacznika. Mogę mdleć, wrzeszczeć i płakać. Z kolei Sarah nie toleruje takich pospolitych produkcji i narzeka przez cały czas, że gniją nam mózgi i jeszcze chwila, a nie będziemy w stanie myśleć samodzielnie, bo nasze umysły przepadną w czeluściach dominującego paradygmatu. Sarah woli kino Guild, gdzie pokazują ciemne zagraniczne filmy, w których nic się nie dzieje, nikt się nie odzywa, wszyscy kochają osobę, która nigdy nie odwzajemni miłości, a potem film się kończy. Dzisiaj w programie mamy otepiająco nudny czarno-biały film z Norwegii.

Sarze rzędzie mina, kiedy przygląda się mojej twarzy.

- Wglądasz żałośnie.
- Wujowy tydzień, od początku do końca.
- Dzisiaj będzie fajnie, obiecuję. - Zdejmuje jedną rękę z kierownicy i wyciąga z plecaka papierową torebkę. -Do kina. - Podaje mi ją. - Wódka.
- Hm, teraz już na pewno usnę na tym pełnym akcji, trzymającym w napięciu, czarno-białym niemym norweskim filmie.

Przewraca oczami.

- Nie jest niemy, Lennie.

Kiedy stoimy w kolejce, Sarah podskakuje, żeby się rozgrzać. Opowiada mi, że Lukę trzymał się zaskakująco dobrze na seminarium, chociaż był tam jedynym facetem, i nawet kazał jej zadać pytanie o muzykę, ale nagle, w pół zdania i w pół podskoku lekko wybałusza oczy. Dostrzegam to, chociaż już zaczęła gadać z powrotem, jakby nic się nie stało.

Odwracam się i po drugiej stronie ulicy widzę Joego z Rachel.

Są tak pogrążeni w rozmowie, że nawet nie widzą zmiany świateł.

Przejdźcie przez ulicę!", mam ochotę wrzasnąć. Przejdźcie przez ulicę, zanim się w sobie zakochacie. Bo wygląda na to, że właśnie to się dzieje. Patrzę, jak Joe lekko pociąga ją za rękę, mówiąc jej coś, zapewne o Paryżu. Widzę uśmiech, całą tę radość bijącą od Rachel i czuję, że zaraz padnę jak ścięte drzewo.

- Chodźmy.

- Tak. - Sarah już idzie w stronę dzipa, grzebiąc w torebce w poszukiwaniu kluczyków. Idę za nią, ale oglądam się jeszcze raz i spoglądam wprost w oczy Joego. Sarah znika. Potem znika Rachel. Potem wszyscy ludzie w kolejce. Potem samochody, drzewa, budynki, ziemia, niebo, aż jesteśmy tylko Joe i ja, patrzący na siebie przez pustą przestrzeń. Joe się nie uśmiecha. On się antyuśmiecha. Ale ja

nie mogę odwrócić wzroku, i on chyba też nie może. Czas zwolnił tak bardzo, że zastanawiam się, czy kiedy przestaniemy na siebie patrzeć, będziemy już starzy, a nasze całe życie będzie za nami, z ledwie paroma marnymi pocałunkami, które wymieniliśmy. Kręci mi się w głowie od tęsknoty za nim, od jego widoku ledwie parę metrów ode mnie. Chcę przebiec przez ulicę, i zaraz to zrobię - czuję, jak moje serce wyrywa się, pcha mnie do niego, ale w tej chwili on kręci głową, jakby do siebie, odwraca ode mnie wzrok i spogląda na Rachel, która nagle znów staje się widoczna. W wysokiej rozdzielczości. Starannie, z rozmysłem, Joe obejmuje ją ramieniem; razem przechodzą przez ulicę i stają w kolejce do kina. Rozdziera mnie potworny ból. On się więcej nie ogląda, ale Rachel to robi.

Salutuje mi z triumfalnym uśmiechem na twarzy, po czym obraźliwie rzuca włosami i obejmuje go w talii. Odwraca głowę.

Mam wrażenie, że moje serce zostało wbite kopniakiem w najciemniejszy kąt mojego ciała. Okej, załapałam!", mam ochotę krzyknąć w niebo. To takie uczucie. Lekcja przyswojona. Dostałam za swoje. Patrzę, jak wchodzi do kina, trzymając się za ręce, i żałuję, że nie mam gumki, żeby wymazać Rachel z tego obrazka. Albo odkurzacza. Odkurzaczy byłby lepszy; po prostu wessała-bym ją i już. Zniknęłaby. Z jego objęć. Z mojego krzesła w orkiestrze. Na dobre.

- Chodź, Len, jedziemy stąd - mówi znajomy głos. Zdaje się, że Sarah wciąż istnieje i mówi do mnie, więc pewnie ja też istnieję. Spoglądam w dół, widzę moje nogi, dociera do mnie, że stoję. Stawiam jedną nogę przed drugą i docieram do Ennui.

Kiedy jedziemy do domu, nie ma księżyca, nie ma gwiazd, tylko bezświatlna, bura miska nad naszymi głowami.



- Zawalczę z nią o pierwszy klarnet - mówię.
  - Nareszcie.
  - Nie przez to...
  - Wiem. Bo jesteś koniem wyścigowym, a nie jakąś głupią chabetą. - W jej głosie nie ma ironii.
- Opuszczam szybę i pozwalam, żeby zimne powietrze spoliczkowało mnie za głupotę.



*Pamiętasz, jak to było kiedy się całowaliśmy?*

*Narecza i narecza światła*

*Rzucane prosto w nas.*

*Lina spadająca z nieba.*

*Jakim cudem słowo miłość słowo życie w ogóle mieści się w ustach?*

*(Znalezione na kawałku papieru pod wielką wierzba).*

Sarah i ja wywieszamy się do pasa z okna mojej sypialni i podajemy sobie butelkę wódki.

- Może ją wykończymy? - sugeruje Sarah; jej słowa zlewają się w jedno.
- Jak miałybyśmy to zrobić? - pytam i pociągam potężny łyk.
- Trucizną. To zawsze najlepsza metoda. Trudno wykryć.
- To jego też otrujmy, i jego głupich, ślicznych braci. -Czuję, że słowa kleją mi się do wnętrza ust. - Nie poczekał nawet tygodnia.
- To nic nie znaczy. On cierpi.
- Jezu, jak on może ją lubić? Sarah kręci głową.
- Widziałam, jak na ciebie patrzył na ulicy, jak obłąkaniec, totalnie odleciany, bardziej zwariowany niż wariat, jasne Toledo tygrysy irysy. Wiesz, co ja myślę? Myślę, że ją objął wyłącznie, żeby ci dopiec.
- A jeśli będzie z nią uprawiał seks, żeby mi dopiec? -Zazdrość pędzi przeze mnie jak wściekły pies. A jednak nie to jest najgorsze, i wyrzuty sumienia też nie są; najgorsze jest to, że ciągle myślę o tym popołudniu na leśnym łóżku, jaka czułam się wtedy bezbronna, jak bardzo mi się to podobało, ta otwartość, to bycie sobą przy nim. Czy kiedykolwiek byłam z kimś tak blisko? - Mogę dostać papierosa? - pytam, i biorę jednego, nie czekając na odpowiedź.

Sarah osłania ręką koniec swojej fajki, podpala, podaje mi ją, bierze moją i podpala dla siebie. Zaciągam się, kaszlę, mam to gdzieś, zaciągam się znów i udaje mi się nie udławić, wydmuchuję szarą taśmę dymu w nocne powietrze.

- Bails by wiedziała, co robić - stwierdzam.

- Wiedziałyby - zgadza się Sarah.

Palimy razem w milczeniu, w świetle księżycy, i nagle przychodzi mi do głowy coś, czego nigdy nie mogłabym powiedzieć Sarze. Może być jeszcze jeden powód, głębszy, dla którego nie chciałam mieć jej przy sobie. Chodzi o to, że ona nie jest Bailey, i to jest dla mnie trochę trudne do zniesienia - ale muszę to znieść. Skupiam się na muzyce rzeki, pozwalam sobie dryfować razem z nią, kiedy spokojnie płynie w dal. Po kilku chwilach mówię:

- Możesz mi już cofnąć ten kredyt pobłażliwości. Przekrzywia głowę i posyła mi uśmiech, który przepelnia mnie ciepłem.

- Załatwione.

Gasi papierosa na parapecie i zsuwa się na łóżko. Ja też gaszę swojego, ale zostaję na zewnątrz, patrząc na lśniący ogród Gram, wdycham go i niemal mdleję od aromatu, który płynie do mnie na grzbiecie chłodnego wiatru.

I wtedy wpadam na pomysł. Genialny pomysł. Muszę porozmawiać z Joem. Muszę przynajmniej spróbować mu wytłumaczyć. Ale przydałoby mi się trochę pomocy.

- Sarah - mówię, wracając na łóżko. - Te róże działają jak afrodyzjak, pamiętasz?

Natychmiast łapie.

- Tak, Lennie! To jest twój cud ostatniej szansy! Na latające figi, tak!

- Figi?

- Nie mogłam wymyślić zwierzęcia, jestem za bardzo schlana.

Wypełniam misję. Zostawiłam Sarę smacznie śpiącą w łóżku Bailey i na paluszkach sprowadzam swoją obolałą, pijaną głowę po schodach; wychodzę w skradające się poranne światło. Mgła jest gęsta i smutna, cały świat wygląda jak swoje własne zdjęcie rentgenowskie. W dłoni trzymam broń i zaraz zacznę swoje zadanie. Gram mnie zabije, ale to cena, którą muszę zapłacić.

Zaczynam od mojego ulubionego krzaka, Magicznych Latarni, róż z symfonią kolorów zamkniętą w każdym płatk. Odcinam głowy najwspanialszych, jakie znajduję. Potem idę do Nocy w Operze i ciach, ciach, ciach, wesolutko przesuwam się do Cudownych Chwil, Słodkich Omdleń, Czarnych Magii. Serce tłucze mi się w piersi ze strachu i z podniecenia. Idę od krzaka do krzaka, od czerwonych, aksamitnych Wiecznych Miłości przez różowe Pachnące Obłoki po morelowe Marilyn Monroe, i wreszcie do najpiękniejszej róży na planecie, czerwono-pomarańczowej i bardzo adekwatnie nazwanej: Róża Trębacza. Tutaj już idę na całość, aż u moich stóp leży sterta róż tak porywających, że gdyby Bóg brał ślub, nie mógłby wybrać innego bukietu. Ściąłam ich tak dużo, że łodygi nie mieszczą mi się w jednej dłoni, więc niosę je w obu, idąc w stronę drogi, bo muszę znaleźć jakieś bezpieczne miejsce, żeby przechować je na później. Układam je pod jednym z moich ulubionych dębów, całkowicie osłonięte od strony domu. Potem zaczynam się martwić, że zwiędną, więc pędzę do domu, przygotowuję koszyk z mokrymi ręcznikami na dnie, wracam na pobocze i owijam wszystkie łodygi.

Później, kiedy Sary już nie ma, Big wyszedł do drzew, a Gram siedzi w pracowni ze swoimi zielonymi kobietami, wykradam się z domu.

Wmówiłam sobie, być może wbrew wszelkiej logice, że to zadziała.

Ciągle myślę, że Bails byłaby dumna z tego pokręconego planu.

Nieziemskie", powiedziałyby. W sumie może i podobałoby jej się, że

zakochałam się w Joem tak krótko po jej śmierci. Może właśnie w taki niestosowny sposób moja siostra chciałaby być opłakiwana przeze mnie. Kwiaty wciąż leżą za dębem, gdzie je zostawiłam. Na ich widok znów poraża mnie ich nieziemska uroda. Nigdy nie widziałam ich w bukietach, jak teraz, nigdy nie widziałam wybuchowych kolorów jednego kwiatu przy drugim.

Wspinam się na wzgórze do Fontaine'ów w chmurze cudownego zapachu. Kto wie, czy to siła sugestii, czy róże są naprawdę z czarownic, ale kiedy docieram do domu, jestem już tak zakochana w Joem, że ledwie daję radę zadzwonić do drzwi. Mam poważne wątpliwości, czy będę w stanie sformułować koherentne zdanie. Jeśli to on otworzy, może po prostu powalę go na ziemię, aż się podda, i będzie po wszystkim. Ale nie mam tyle szczęścia.

Drzwi otwiera mi ta sama elegancka kobieta, która kłóciła się wtedy w ogrodzie.

- Nie mów mi, ty na pewno jesteś Lennie. - Natychmiast staje się dla mnie jasne, że jeśli chodzi o uśmiechy, fontaine'owski pomiot nie może się równać z Mamą Fontaine. Powinnam powiedzieć Bigowi; jej uśmiech ma większe szanse ożywić owady niż jego piramidy.

- Jestem - mówię. - Miło mi panią poznać, pani Fontaine. - Jest tak przyjazna, że na pewno nie wie, co zaszło między jej synem i mną. Pewnie Joe rozmawia z nią mniej więcej tyle, ile ja z Gram.

- I co za niesamowite róże! Nigdy w życiu nie widziałam czegoś takiego. Gdzie je zerwałaś? W Edenie? - Jaka matka, taki syn. Pamiętam, że Joe powiedział to samo pierwszego dnia.

- Coś w tym rodzaju - odpowiadam. - Moja babcia ma rękę do kwiatów. Są dla Joego. Jest w domu? - Nagle

jestem zdenerwowana. Bardzo zdenerwowana. W moim żołądku odbywa się chyba konferencja pszczół.

- A ten zapach! Mój Boże, co za zapach! - wykrzykuje. Wygląda na to, że kwiaty ją zahipnotyzowały. Rany. Może jednak działają. - Ale z niego szczęściarz, co za prezent. Niestety, przykro mi, kochanie, nie ma go w domu. Ale powiedział, że niedługo wróci. Mogę je włożyć do wody i zostawić mu w pokoju, jeśli chcesz.

Jestem zbyt rozczarowana, żeby odpowiedzieć. Kiwam tylko głową i podaję jej róże. Założę się, że Joe jest u Rachel i karmi jej rodzinę czekoladowymi croissantami. Dopada mnie straszna myśl - a jeśli róże naprawdę budzą miłość, i Joe wróci tu z Rachel i oboje ulegną ich czarowi? To był kolejny katastrofalny pomysł, ale teraz nie mogę już odebrać tych róż. Szczerze mówiąc, potrzebowałabym chyba broni automatycznej, żeby wydrzeć je pani Fontaine, która z każdą sekundą zanurza się coraz głębiej w bukiet.

- Dziękuję - mówię. - Za ich przekazanie Joemu. -Czy ona będzie w stanie się z nimi rozstać?

- Bardzo miło było cię poznać, Lennie. Nie mogłam się doczekać. Jestem pewna, że Joe baaardzo je doceni.

- Lennie - odzywa się za mną zdesperowany głos. Ta pszczela konferencja w moim żołądku właśnie otworzyła drzwi dla os i szerszeni. Oto chwila prawdy. Odwracam się i widzę Joego idącego ścieżką. W jego kroku nie ma sprężystości. Zupełnie jakby grawitacja trzymała mu rękę na ramieniu, czego nigdy przedtem nie robiła.

- Och, kotku! - wykrzykuje pani Fontaine. - Zobacz, co Lennie ci przyniosła. Widziałeś kiedyś takie róże? Bo ja na pewno nie. Jak słowo daję. - Pani Fontaine mówi bezpośrednio do róż, zaciągając się głęboko ich aromatem. -No dobrze, zaniosę je do środka, znajdę im jakieś ładne miejsce. Bawcie się dobrze, dzieci...



Patrzę, jak jej głowa całkowicie znika w bukiecie; drzwi zamykają się za nią. Mam ochotę rzucić się za nią, złapać róże, wrzasnąć: Potrzebuję ich bardziej niż ty, paniusiu!", ale mam w tej chwili na głowie pilniejszą sprawę: milczącą furię Joego za plecami.

Kiedy tylko drzwi są zamknięte, mówi:

- Ty ciągle nie rozumiesz, co? - Jego głos brzmi złowrogo; może nie aż tak jak głos rekina, który nauczyłby się mówić, ale blisko. Wskazuje na drzwi, za którymi tuziny roślinnych afrodyzjaków wypełniają powietrze obietnicą. - Chyba żartujesz. Myślisz, że to takie proste? - Jego twarz robi się czerwona, oczy wyłupiaste i dzikie. - Nie chcę małych sukieneczek ani głupich, pieprzonych, magicznych kwiatów! - Rzuca się w miejscu jak marionetka. - Ja już jestem w tobie zakochany, Lennie, nie rozumiesz? Ale nie mogę z tobą być. Za każdym razem, kiedy zamykam oczy, widzę cię z nim.

Stoję jak rażona gromem - owszem, powiedział kilka zniechęcających rzeczy, ale one wszystkie jakby odpłynęły. Zostało mi tylko sześć cudownych słów: Ja już jestem w tobie zakochany". Czas terazniejszy, nie przeszedł. Rachel Brazile, idź do diabła. Pełne niebo nadziei zwała się na mnie.

- Pozwól sobie wytłumaczyć - mówię, tym razem starając się nie zapomnieć swoich kwestii. Tak bardzo chcę, żeby zrozumiał.

Wydaje odgłos, który jest na wpół jękiem, na wpół rykiem, coś jak aachgrrr, i oznajmia:

- Tu nie ma czego tłumaczyć. Widziałem was. W kółko mnie okłamywałaś.

- Toby i ja byliśmy... Przerywa mi:

- Nie ma mowy, nie chcę tego słuchać. Powiedziałem ci, co mnie spotkało we Francji, a ty i tak to zrobiłaś. Nie

potrafię ci wybaczyć. Po prostu już taki jestem. Musisz mi dać spokój. Przykro mi.

Nogi mi się uginają, kiedy dociera do mnie, że jego uraza i gniew, ten ból bycia oszukanym i zdradzonym, już przesłoniły jego miłość.

Wskazuje w dół wzgórza, gdzie Toby i ja byliśmy tamtego wieczoru, i mówi:

- Czego. Się. Spodzie. Wałaś? - No więc, czego się spodziewałam? W jednej chwili mówi mi, że mnie kocha, a w następnej widzi, jak całuję się z innym chłopakiem. To oczywiste, że się tak czuje.

Muszę coś powiedzieć, więc mówię jedyną rzecz, jaka jeszcze jest jasna w moim skołowanym sercu:

- Tak strasznie cię kocham. Moje słowa odbierają mu dech.

Zupełnie jakby wszystko dookoła nas zatrzymało się, żeby zobaczyć, co się stanie: drzewa pochylają się bliżej, ptaki zawisają, kwiaty trzymają płatki nieruchomo. Jak on może się nie poddać tej szaleńczej, potężnej miłości, którą oboje czujemy? Przecież nie może się nie poddać, prawda? Wyciągam rękę, żeby go dotknąć, ale on odsuwa swoją poza mój zasięg. Kręci głową, patrzy w ziemię.

- Nie mogę być z kimś, kto mógł mi zrobić coś takiego. - Potem spogląda prosto w moje oczy i mówi: - Nie mogę być z kimś, kto mógł to zrobić swojej siostrze.

Jego słowa spadają jak gilotyna. Zataczam się do tyłu, rozpadam na drzazgi. Jego dłoń frunie do ust. Może chciałby cofnąć te słowa. Może nawet myśli, że posunął się za daleko, ale to nie ma znaczenia. Chciał, żeby do mnie dotarło, i dotarło.

Robię jedyne, co jestem w stanie zrobić. Odwracam się i uciekam od niego, modląc się, żeby moje drżące

nogi utrzymały mnie, dopóki nie zniknę. Jak Cathy z Heathcliffem, miałam swój Wielki Wybuch, swoją mi-łość-która-zdarza-się-raz-w-życiu i zniszczyłam to wszystko. Chcę tylko dotrzeć do Świątyni, żeby móc nakryć głowę kołdrą i zniknąć na kilkaset lat. Śmiertelnie zdyszana po sprincie ze wzgórza wbijam się przez drzwi domu, przebiegam przez kuchnię, ale cofam się, kątem oka dostrzegając Gram. Siedzi przy kuchennym stole z rękami założonymi na piersi, z twardą, surową twarzą. Na stole przed nią leżą sekator i mój egzemplarz *Wichrowych Wzgórz*.

Oo.

Zaczyna z miejsca.

- Nawet nie masz pojęcia, jak mało mi brakowało do poszatkwania twojej ukochanej książki na strzępki, ale ja mam w sobie trochę samokontroli i szacunku dla cudzej własności. - Wstaje. Kiedy Gram jest zła, robi się dosłownie dwa razy większa, i teraz całe jej trzy i pół metra wali przez kuchnię prosto na mnie. - Coś ty sobie wyobrażała, Lennie? Wpadasz do ogrodu jak śmierć i wycinasz go w pień. Mój ogród, moje róże. Jak mogłaś? Przecież wiesz, że nikomu oprócz mnie nie wolno tykać moich kwiatów. To jest jedna, jedyna rzecz, o jaką proszę. Jedna jedyna.

Staje nade mną jak wieża.

- No więc?

- Odrosną. - Wiem, że nie to powinnam powiedzieć, ale ten dzień pod hasłem "Pokrzyżuj sobie na Lennie" zaczyna się na mnie odbijać.

Wyrzuca ręce w górę, tracąc resztki cierpliwości do mnie, a mnie uderza, jak bardzo z tą miną i machaniem rękami przypomina Joego.

- Nie o to chodzi i dobrze o tym wiesz. - Celuje we mnie palcem. - Stałaś się straszną egoistką, Lennie Walker.

Tego się nie spodziewałam. Nikt nigdy w życiu nie nazwał mnie egoistką, a już na pewno nie Gram, nigdy niewysychająca fontanna pochwał i komplementów. Czy ona i Joe zeznają na tym samym procesie?

Czy ten dzień może być jeszcze gorszy?

Czy odpowiedź na to pytanie nie brzmi zawsze tak"?

Gram wzięła się teraz pod boki, twarz ma zaczerwienioną, jej oczy płoną - podwójne oo. Opieram się o ścianę, przygotowuję na nieunikniony atak.

Pochyla się nade mną.

- Tak, Lennie. Zachowujesz się, jakbyś tylko ty w tym domu kogoś straciła. Ona była dla mnie jak córka, wiesz, jak to jest? Wiesz? Moja córka. Nie, nie wiesz, bo nigdy, ani razu, nie zapytałaś. Ani razu nie zapytałaś, jak ja się czuję. Przyszło ci kiedykolwiek do głowy, że może potrzebuję porozmawiać?! - Teraz już krzyczy. - Wiem, że jesteś zdruzgotana, ale, Lennie, nie ty jedna!

Całe powietrze ucieka z pokoju, a ja uciekam razem z nim.



*Bailey chwyta mnie za reke*

*i wyciąga przez okno*

*W niebo,*

*Wyciąga muzyke z moich kieszeni*

*Pora, żebyś nauczyła sie latać,*

*mówi*

*i znika.*

*(Znalezione na papierku od lizaka na ścieżce do rzeki Rain).*

Pędzę korytarzem, wypadam za drzwi i zeskakuję ze wszystkich stopni werandy. Chcę pobiec do lasu, skręcić ze ścieżki, znaleźć miejsce, w którym nikt mnie nie znajdzie, usiąść pod starym, sękatym dębem i płakać. Chcę płakać i płakać, i płakać, i płakać, aż cała ziemia w lesie zamieni się w błoto. I właśnie to zamierzam zrobić, tyle że kiedy dobiegam do ścieżki, uświadamiam sobie, że nie mogę. Nie mogę tak uciec od Gram, zwłaszcza po tym, co powiedziała. Bo wiem, że ma rację. Od śmierci Bailey ona i Big byli dla mnie jak szum w tle.

Nawet przez moment się nie zastanowiłam, co oni przeżywają.

Mianowałam Toby'ego na swojego sojusznika w żałobie, jakbyśmy ja i on mieli na nią wyłączność, jakbyśmy mieli wyłączność na Bailey. Myślę o tych wszystkich chwilach, kiedy Gram sterczała w drzwiach Świątyni, próbując mnie skłonić do rozmowy o Bailey, prosząc mnie, żebym zeszła i napiła się herbaty, a ja zakładałam, że po prostu chce mnie pocieszać.

Nigdy mi nie zaświtało, że ona sama potrzebuje rozmowy, że potrzebuje mnie.

Jak mogłam tak nieostrożnie obchodzić się z jej uczuciami? Z uczuciami Joego? Wszystkich dookoła?

Biorę głęboki wdech, zawracam i idę z powrotem do kuchni. Nie mogę pogodzić się z Joem, ale mogę przynajmniej spróbować pogodzić się z Gram. Siedzi na tym samym krześle przy stole. Staję naprzeciw niej, opieram palce o blat i czekam, aż na mnie spojrzy. Wszystkie okna są

pozamykane i rozgrzana, duszna kuchnia zalatuje niemal zgnilizną.

- Przepraszam - mówię. - Naprawdę. - Kiwa głową, patrzy na swoje dłonie. Dociera do mnie, że w ciągu ostatnich dwóch miesięcy zawiodłam albo zraniłam, albo zdradziłam wszystkich, których kocham: Gram, Bailey, Joego, Toby'ego, Sarę, nawet Biga. Jak mi się to udało? Przed śmiercią Bailey nie zawiodłam chyba nikogo. Czy Bailey po prostu zajmowała się wszystkim i wszystkimi za mnie? Czy może przedtem nikt niczego ode mnie nie oczekiwał? A może ja niczego nie robiłam i nie pragnęłam, więc nigdy nie musiałam mierzyć się z własnymi pokreconymi czynami? A może naprawdę stałam się samolubna i egoistyczna? Albo wszystkie powyższe?

Patrzę na chorą roślinę Lennie na szafce i wiem, że to już nie jestem ja. To jest ktoś, kim byłam przedtem, i dlatego ona umiera. Tamta ja odeszła.

- Nie wiem, kim jestem - mówię, siadając. - Nie mogę być tym, kim byłam, bez niej się nie da, a osoba, którą się staję, to jakaś chora sucz.

Gram nie zaprzecza. Wciąż jest wściekła, nie na całe trzy i pół metra, ale bardzo.

- Mogłybyśmy w przyszłym tygodniu pójść do miasta na lunch, spędzić razem cały dzień - dodaję, i czuję się żałosna. Próbuję wynagrodzić miesiące ignorowania jej jednym marnym lunchem.

Kiwa głową, ale nie lunch ma na myśli.

- Tak dla twojej informacji, ja też nie wiem, kim jestem bez niej.

- Naprawdę? Kręci głową.

- Naprawdę. Codziennie, kiedy ty i Big wychodzicie, stoję tylko przed czystym płótnem i myślę o tym, jak nienawidzę koloru zielonego, jak każdy jeden odcień brzydzi



mnie, rozczarowuje albo łamie mi serce. - Przepelnia mnie smutek.  
Wyobrażam sobie wszystkie zielone, zwiewne kobiety, jak zsuwają się ze swoich płócien i wymykają za drzwi.

- Rozumiem - mówię cicho.

Gram zamyka oczy. Jej dłonie leżą na stole, złożone jedna na drugiej.  
Wyciągam rękę, kładę dłoń na górze, a ona szybko chwyta ją między swoje.

- To jest koszmar - szepcze.

- Jest - przyznaję.

Światło wczesnego popołudnia sączy się przez okna, zmieniając kuchnię w zebra długich czarnych cieni. Gram wydaje się stara i zmęczona, i ten widok mnie niszczy. Bailey, wujek Big i ja byliśmy całym jej życiem, nie licząc paru generacji kwiatów i całej masy zielonych obrazów.

- Wiesz, czego jeszcze nienawidzę? - odzywa się. -Nienawidzę, kiedy wszyscy mi mówią, że noszę Bailey w sercu. Mam ochotę na nich wrzeszczeć: Nie chcę jej w sercu! Chcę ją w kuchni, z Lennie i ze mną. Chcę ją nad rzeką z Tobym i z ich dzieckiem. Chcę ją na scenie, jako Julię i Lady Makbet, wy głupi, głupi ludzie. Bailey nie chce być uwięziona w moim sercu ani w niczym innym! -Gram wali pięścią w stół. Ściskam ją w dłoniach i kiwam głową: tak, i czuję: tak, gigantyczne, pulsujące, wściekłe tak, które przepływa z niej we mnie. Patrzę na nasze ręce i dostrzegam leżące na stole *Wichrowe Wzgórze*, milczące, bezradne i wredne jak nigdy. Myślę o wszystkich zmarnowanych istnieniach, o całej zmarnowanej miłości wciśniętej między okładki.

- Gram, zrób to.

- Co? Co mam zrobić? - pyta. Biorę książkę i sekator, podaję jej.

- Zrób to, potnij je na strzępy. Zobacz. - Wsuwam palce w uszy sekatora, jak to zrobiłam dzisiaj rano, ale tym razem nie czuję strachu, tylko to dzikie, pulsujące,

wkurzone: tak, które krąży mi w żyłach, kiedy robię pierwsze ciach, kaleczę tę książkę, pełną podkreśleń i uwag, pomiętą i zaświnioną przez całe lata mnie, całe lata rzecznej wody, letniego słońca, piachu z plaży, potu z moich dłoni, książkę powyginaną w krzywizny mojego czuwającego i śpiącego ciała. Ciacham drugi raz, przegryzam się przez grubą porcję kartek za jednym zamachem, przez te wszystkie maleńkie słowa, tnę namiętą, beznadziejną historię na kawałki, chlastam ich żywoty, ich niemożliwą miłość, całą ich pokreconą tragedię. Teraz już atakuję zajadle, rozkoszuję się szczękiem ostrzy, świstem metalu po każdym cudownym ciachnięciu. Tnę Heathcliffa, biednego, chorego z miłości, zgorzkniałego Heathcliffa i głupią Cathy za jej złe wybory i niewybaczalne kompromisy. A tak przy okazji ciacham też zazdrość Joego, jego gniew i potępienie, jego fiutowatą niezdolność do wybaczenia. Chlastam jego śmieszna, bzdurną zasadę: wszystko albo nic, tego zawziętego trębacza, a potem dobieram się do mojej własnej dwulicowości, podstępności, dezorientacji, bólu, złych ocen sytuacji i przytłaczającej, niekończącej się rozpacz. Tnę i tnę, i tnę wszystko, co mi przychodzi do głowy, co nie pozwala Joemu i mnie przeżywać tej wspaniałej wielkiej pięknej miłości, póki możemy.

Gram patrzy na mnie z wybałuszonymi oczami, z otwartymi ustami. Ale nagle widzę, że blady uśmiech odnajduje jej wargi. Mówi:

- Daj, ja też chcę. - Bierze sekator i zaczyna ciąć, z początku niepewnie, ale potem daje się ponieść tak jak ja i zaczyna chlastać całe pliki stron, aż słowa leżą wokół nas jak konfetti.

Gram się śmieje.

- No, czegoś takiego się nie spodziewałam. - Obie jesteśmy zdyszane, zgaszone i uśmiechamy się jak na lekkim rauszu.

- Przecież jestem z tobą spokrewniona, nie?
- Och, Lennie, tak mi ciebie brakowało. - Wciąga mnie na kolana, jakbym miała pięć lat. Zdaje się, że mi wybaczyła. - Przepraszam, że krzyczałam, skarbie - mówi, tuląc mnie w ciepłych objęciach. Odwzajemniam jej uścisk.
- Mam nam zaparzyć herbaty? - pytam.
- No pewnie, mamy sporo do nadrobienia. Ale wszystko po kolei. Zniszczyłaś mi ogród. Muszę wiedzieć, czy to podziałało.
- Znów słyszę: Nie mogę być z kimś, kto mógł to zrobić swojej siostrze", i serce ściska mi się w piersi tak boleśnie, że ledwie mogę oddychać.
- Nie ma szans. To koniec. Gram mówi cicho:
- Widziałam, co się stało tamtego wieczoru. - Spinam się jeszcze bardziej, zsuwam się z jej kolan i idę napełnić czajnik. Podejrzewałam, że Gram widziała, jak całowaliśmy się z Tobym, ale jej potwierdzenie, że była tego świadkiem, sprawia, że wstyd we mnie nie może sobie znaleźć miejsca. Nie mogę jej spojrzeć w oczy. - Lennie? - Jej głos nie jest oskarżycielski. Rozluźniam się trochę. - Posłuchaj mnie. Odwracam się powoli i patrzę na nią. Macha ręką wokół głowy, jakby odganiała muchę.
- Nie powiem, że przez chwilę mnie nie zatkało. - Uśmiecha się. - Ale takie wariackie rzeczy się zdarzają, kiedy ludzie są w takim szoku, w takiej rozpacz. Jestem zaskoczona, że w ogóle jeszcze stoimy na nogach. Nie mogę uwierzyć, jak łatwo Gram usuwa to z drogi, rozgrzesza mnie. Chcę paść jej do nóg z wdzięczności. Z całą pewnością nie rozmawiała o tym z Joem, ale jakimś cudem teraz jego słowa pieką mnie, a ja mam odwagę zapytać:
- Myślisz, że ona mi kiedykolwiek wybaczy?

- Och, skarbie, zaufaj mi, ona już ci wybaczyła. -Kiwa na mnie palcem. -  
Ale Joe to inna sprawa. Będzie potrzebował trochę czasu...  
- Ze trzydzieści lat - mówię.  
- Buuhuu, biedny chłopak. To był nie lada widok, Lennie Walker. - Gram  
zerka na mnie psotnie. - Tak, Len, kiedy ty i Joe Fontaine będziecie mieli  
czterdzieści siedem lat... - Śmieje się. - Zaplanujemy przepiękny ślub...  
Przerywa w pół zdania; widocznie zauważyła moją twarz. Nie chcę  
odbierać jej radości, więc używam wszystkich mięśni, żeby ukryć swój  
ból, ale przegrywam tę bitwę.  
- Lennie. - Podchodzi do mnie.  
- On mnie nienawidzi - mówię jej.  
- Nie - odpowiada ciepło. - Jeśli ktokolwiek na tym świecie jest  
zakochany, to właśnie Joe Fontaine.



*Gram zmusiła mnie do wizyty u lekarza,  
zby sprawdził, czy wszystko jest w porządku  
z moim sercem.*

*Po całej masie badań doktor posiedział:*

*Lennie, tobie się poszczęściło.*

*Miałam ochotę dać mu pieścia w twarz,  
ale zamiast tego zaczęłam płakać,  
wylewać całe rzeki łez.*

*Nie mogłam uwierzyć, że mam szczęśliwe serce,  
kiedy chciałam tylko mieć takie samo serce jak Bailey.*

*Nie słyszałam, jak weszła Gram*

*jak stanęła za mną,*

*poczułam tylko jej ramiona wokół trzęsącego się ciała  
, a potem nacisk jej dłoni na moja klatkę piersiową;*

*trzymała to wszystko w środku,*

*trzymała mnie w kupie.*

*Chwała Bogu, szepnęła,*

*zanim doktor czy ja zdążyliśmy cokolwiek powiedzieć.*

*Skąd mogła wiedzieć,*

*że dostałam dobrą wiadomość?*

*(Znalezione z tyłu koperty, na ścieżce do leśnej sypialni).*

Kiedy herbata jest już w kubkach, okna otwarte, a Gram i ja siedzimy zrelaksowane w gasnącym świetle, mówię cicho:

- Chcę z tobą o czymś porozmawiać.
- Słucham, skarbie.
- Chcę porozmawiać o mamie. Wzdycha, opiera się na krześle.
- Wiem. - Zakłada ręce, chwytając oba łokcie, obejmując samą siebie. - Byłam na strychu. Odstawiłaś pudełko na inną półkę...
- Nie przeczytałam wiele... przepraszam.
- Nie, to ja przepraszam. Chciałam porozmawiać z tobą o Paige przez te ostatnie miesiące, ale...
- Nie pozwalałam ci rozmawiać ze sobą o czymkolwiek.

Ledwie dostrzegalnie kiwa głową. Jej twarz jest poważna jak nigdy.

Mówi:

- Bailey nie powinna była umrzeć, wiedząc tak mało o swojej matce.

Spuszczam oczy. To prawda - myliłam się, myśląc, że Bailey nie chciałaby wiedzieć tego wszystkiego, co ja teraz wiem, czy to boli, czy nie. Przegarniam palcami resztki *Wichrowych Wzgórz*, czekając, aż Gram zacznie mówić.

Kiedy zaczyna, jej głos jest piskliwy, spięty.

- Myślałam, że was chronię, ale teraz jestem już pewna, że chroniłam siebie. - Unoszę wzrok, żeby spojrzeć jej

w oczy. - Tak trudno mi jest o niej mówić. Wmawiałam sobie, że im lepiej będziecie ją znały, tym bardziej to będzie bolesne. - Zgarnia trochę książki dla siebie. - Skupiłam się na genie włóczykija, żebyście wy, dziewczynki, nie czuły się porzucone, żebyście nie obwiniły jej, albo, co gorsza, siebie. Chciałam, żebyście ją podziwiały. I tyle. I tyle? Żar zalewa moje ciało. Gram wyciąga dłoń do mojej. Odsuwam rękę.

Mówię:

- Po prostu wymyśliłaś historyjkę, żebyśmy się nie czuły porzucone... - Spoglądam jej w oczy, mówię dalej mimo bólu, który widzę w jej twarzy: - Ale my byliśmy porzucone, Gram, i nie wiedziałyśmy dlaczego, nie wiedziałyśmy niczego o niej oprócz jakiejś zwariowanej historyjki. - Mam ochotę zebrać garść *Wichrowych Wzgórz* i cisnąć jej w twarz. - Dlaczego po prostu nie powiedziałaś nam, że jest wariatką, jeśli nią jest? Dlaczego nie powiedziałaś prawdy, jakakolwiek jest? Czy to by nie było lepsze?

Chwyta mój nadgarstek, chyba dużo mocniej niż zamierzała.

- Ale nie ma tylko jednej prawdy, Lennie, nigdy nie ma. To, co wam powiedziałam, to nie była jakaś zmyślona historyjka. - Próbuje zachować spokój, ale widzę, że za moment znów podwoi swoje rozmiary. - Tak, to prawda, że Paige nie była zrównoważoną dziewczyną. No bo kto siedzący na własnym drzewie zostawia dwie małe córeczki i nie wraca? - Puszczam mój nadgarstek, skoro już ma całą moją uwagę. Rozgląda się dziko po kuchni, jakby słowa, których potrzebuje, były gdzieś na ścianach. Po chwili mówi: - Wasza matka była nieodpowiedzialną dziewczyną, była jak tornado. I jestem pewna, że jako kobieta też taka jest. Ale jest też prawdą, że nie była pierwszym tornadem, które skotłowało tę rodzinę, i nie



pierwszą kobietą, która zniknęła w ten sposób. Sylvie zajechała do miasta zdezelowanym żółtym cadillakiem po dwudziestu latach włóczęgi. Po dwudziestu latach! - Wali w stół, mocno, kupki *Wichrowych Wzgórz* podskakują od uderzenia. - Owszem, może jakiś lekarz umiałby nadać temu nazwę, postawić diagnozę, ale co to za różnica, jak to nazwiemy, to ciągle jest to samo, nazywamy to genem włóczykija, i co z tego? To taka sama prawda jak każda inna.

Wypija łyk herbaty, parzy się w język.

- Au! - wykrzykuje, jak nie ona, wachlując usta ręką.

- Big uważa, że ty też to masz - mówię. - Ten gen. - Układam słowa na stole w nowe zdania. Zerkam na nią, wystraszona jej milczeniem, że moje wyznanie nie zostało dobrze przyjęte.

Ma zmarszczone czoło.

- Tak powiedział? - Przyłączyła się do mojej zabawy w mieszanie słów na stole. Widzę, że położyła pod tym dobrotliwym niebem" obok wieczne wygnanie".

- Uważa, że to w sobie dusisz - dodaję.

Przestała tasować słowa. W jej twarzy jest coś bardzo nie-Gramowatego, coś płochliwego i ulotnego. Nie patrzy mi w oczy, i nagle rozpoznaję, co to jest, bo ostatnio sama całkiem nieźle się z tym zapoznałam - to jest wstyd.

- Co, Gram?

Zaciska usta tak mocno, że zrobiły się białe; zupełnie jakby chciała, żeby zarosły, żeby nie wypuścić z nich żadnych słów.

- Co?

Wstaje, podchodzi do zlewu, opiera się o szafkę, wygląda przez okno na przelotne królestwo chmur. Patrzę na jej plecy i czekam.

- Ja się ukrywałam w tej historii, Lennie, i zmusiłam was i Biga, żebyście ukrywali się ze mną.

- Ale przed chwilą powiedziałaś...

- Wiem. To nie tak, że to nie jest prawda, ale prawdą jest też, że zwalanie winy na przeznaczenie i geny jest o niebo łatwiejsze niż wzięcie jej na siebie.

- Na siebie?

Kiwa głową, nie mówi nic więcej, tylko dalej patrzy przez okno.

Czuję zimny dreszcz na plecach.

- Gram?

Odwróciła się ode mnie, żebym nie mogła widzieć wyrazu jej twarzy. Nie wiem dlaczego, ale boję się jej, jakby nagle ubrała się w skórę kogoś innego. Nawet sposób, w jaki stoi, jest inny, niemal jakby była zmięta.

Kiedy wreszcie się odzywa, jej głos jest zbyt głęboki, zbyt spokojny.

- Pamiętam każdy szczegół z tamtego wieczoru... - zaczyna, po czym milknie na chwilę, a ja zastanawiam się, czy nie uciec z kuchni, od tej zmiętej Gram, która mówi, jakby była w transie. - Pamiętam, jak było zimno, za zimno na tę porę roku, i że kuchnia była pełna bzu; wcześniej tego dnia napełniłam wszystkie wazon, bo wiedziałam, że ona przyjeżdża. - Teraz słyszę w głowie Gram, że się uśmiecha, i rozluźniam się trochę. - Była ubrana w taką długą, zieloną sukienkę, właściwie wielki szal, absolutnie nieodpowiedni do pogody. Cała Paige, zawsze miała wokół siebie własną pogodę. - Nigdy nie słyszałam niczego takiego o mojej matce, nigdy nie słyszałam o niczym tak realnym jak zielona sukienka, kuchnia pełna kwiatów. Ale nagle ton Gram znów się zmienia. - Była tego wieczoru strasznie zdenerwowana, chodziła po kuchni, nie, nie chodziła, pływała w tej wzdętej sukni w tę i z powrotem. Pamiętam, jak pomyślałam, że jest jak wiatr w ldatce, dzika wichura uwieczona w tej kuchni ze mną, że jeśli otworzę okno, ona zniknie.

Gram odwraca się do mnie, jakby wreszcie przypomniała sobie, że jestem tu z nią.

- Twoja matka była u kresu wytrzymałości, a nigdy nie miała tej wytrzymałości za wiele. Przyjechała na weekend, żebym mogła zobaczyć was, dziewczynki. A przynajmniej tak myślałam, dopóki nie zaczęła mnie wypytywać, co bym zrobiła, gdyby wyjechała. Wyjechała? - spytałam ją. - Dokąd? Na jak długo?", i wtedy dowiedziałam się, że ma już bilet lotniczy Bóg wie dokąd, nie powiedziała mi, i zamierza go wykorzystać... bilet w jedną stronę. Powiedziała mi, że już nie może, że czegoś w niej brakuje, że nie nadaje się na matkę. Odparłam jej, że absolutnie niczego jej nie brakuje i nie może wyjechać, że jest za was odpowiedzialna. Powiedziałam jej, że musi się wziąć w garść, jak każda matka na tej planecie. Powiedziałam jej, że możecie wszystkie tutaj mieszkać, że jej pomogę, ale nie wolno jej tak po prostu wstać i wyjść, jak robiły te inne wariatki w rodzinie, że nie chcę o tym słyszeć. Ale gdybym wyjechała - pytała uparcie - co byś zrobiła?" Pytała o to w kółko i w kółko. Pamiętam, że próbowałam ją przytrzymać za ramiona, wyrwać ją jakoś z tego stanu, tak jak to robiłam, kiedy była młodsza i tak się nakręcała, ale ona ciągle wyślizgiwała mi się z rąk, jakby była z powietrza. - Gram bierze głęboki oddech. - Wtedy ja sama byłam już bardzo zdenerwowana, a wiesz, jaka się robię, kiedy wybucham. Zaczęłam krzyczeć. Ja też miałam w sobie swój przydział tornada, to pewne, zwłaszcza kiedy byłam młodsza. Big ma rację. - Wzdycha. - Poniosło mnie, kompletnie mnie poniosło. A jak myślisz, co bym zrobiła, gdybyś wyjechała?! - wrzasnęłam. - To są moje wnuczki, ale Paige, jeśli wyjedziesz, możesz już nigdy nie wracać. Nigdy. Będziesz dla nich martwa, będziesz martwa w ich sercach i martwa dla mnie. Martwa. Dla nas

wszystkich". To moje własne obrzydliwe słowa. Potem zamknęłam się w pracowni na resztę nocy. Rano już jej nie było.

Osunęłam się bezwładnie na krzesło. Gram stoi po drugiej stronie kuchni w więzieniu cienia.

- Powiedziałam waszej matce, żeby nigdy nie wracała. Ona wróci, dziewczynki".

Modlitwa, nie obietnica.

Jej głos jest ledwie głośniejszy od szeptu.

- Przepraszam.

Jej słowa przeleciały przeze mnie jak rozpędzone chmury burzowe zmieniające krajobraz. Rozglądam się po jej zielonych damach - trzy wiszą w kuchni - kobietach uchwyconych gdzieś pomiędzy tu i tam, a każda z nich to Paige, one wszystkie są Paige w powiewnej zielonej sukience, teraz jestem tego pewna. Myślę o tym, jak Gram dbała, żeby mama nigdy nie umarła w naszych sercach, jak dbała, żeby na Paige Walker nigdy nie spadł nawet cień winy za opuszczenie własnych dzieci. Myślę o tym, jak Gram zagarnęła tę winę na siebie, choć o niczym nie wiedziałyśmy.

Przypominam sobie tę ohydną rzecz, którą pomyślałam na schodach, kiedy podsłuchałam ją, jak przeprasza *Pólmatkę*. Ja też ją obwiniałam. Za sprawy, których nawet wszechmocna Gram nie może kontrolować.

- To nie jest twoja wina - mówię z taką pewnością w głosie, jakiej nigdy u siebie nie słyszałam. - I nigdy nie była, Gram. To ona odeszła. Ona nie wróciła. To był jej wybór, nie twój, niezależnie od tego, co jej powiedziałaś.

Gram wypuszcza powietrze, jakby wstrzymywała oddech przez szesnaście lat.

- Och, Lennie! - wykrzykuje. - Zdaje się, że właśnie otworzyłaś okno - dotyka swojej piersi - i wypuściłaś ją.

Wstaję ze swojego krzesła i podchodzę do niej, bo właśnie dotarło do mnie, że straciła dwie córki - nie wiem, jak

ona to znosi. Dociera do mnie coś jeszcze. Ja nie dźwigam tej podwójnej żałoby. Mam matkę i stoję tak blisko niej, że widzę lata obciążające jej skórę, czuję oddech pachnący herbatą. Ciekawa jestem, czy poszukiwania Bailey też doprowadziłyby ją prosto do Gram. Mam nadzieję. Delikatnie kładę jej rękę na ramieniu, zastanawiając się, jak tak wielka miłość do kogoś mieści się w moim małym ciele.

- Bailey i ja mamy wielkie szczęście, że mamy ciebie -mówię. - Miałyśmy farta.

Gram zamyka na chwilę oczy i zanim się orientuję, jestem w jej ramionach, które ściskają mnie tak mocno, że zaraz połamię mi wszystkie kości.

- To mnie się poszczęściło - szepcze w moje włosy. -A teraz myślę, że powinniśmy dopić herbatę. Dość tego.

Kiedy wracam do stołu, coś staje się dla mnie jasne. Życie to cholerny bałagan. Powiem Sarze, że musimy założyć nowy ruch: bałaganizm zamiast egzystencjalizmu, dla tych, którzy dobrze się czują we wszechobecnym bałaganie, jakim jest życie. Bo Gram ma rację, nie ma jednej obowiązującej wszystkich prawdy, tylko cały zbiór historii, i wszystkie dzieją się jednocześnie w naszych głowach, w naszych sercach, przeszkadzając sobie nawzajem. To wszystko jest jeden piękny, katastrofalny bałagan. Zupełnie jak tego dnia, kiedy pan James zabrał nas do lasu i wykrzyknął triumfalnie: To jest to! To jest to!", słysząc oszałamiającą kakofonię grających solo instrumentów, które próbują razem robić muzykę. To jest to.

Spoglądam na kupki słów, które były kiedyś moją ulubioną książką. Mam ochotę poskładać tę historię z powrotem, tak, żeby Cathy i Heathcliff mogli dokonać innych wyborów, żeby przestali wchodzić sami sobie w drogę na każdym zakręcie, żeby mogli podążyć za swoimi szalejącymi wulkanicznymi sercami prosto w swoje ramiona. Ale

nie mogę. Podchodzę do zlewu, wyciągam kosz na śmieci i zmiotam do niego Cathy i Heathcliffa, i całą resztę tej nieszczęśliwej bandy.

Później tego wieczoru siedzę na werandzie i raz za razem gram melodię Joego, próbując myśleć o książkach, w których miłość triumfuje na końcu. Jest Lizzie Bennet i Darcy, i Jane Eyre schodzi się z panem Rochesterem, to dobrze, ale on przecież miał tę żonę zamkniętą na poddaszu przez dość długo, co mnie przeraża. Jest Florentino Aziza w *Miłości w czasach zarazy*, ale on musiał czekać ponad pięćdziesiąt lat na Ferminę, a w końcu wylądowali na statku płynącym donikąd. Uch. Okazuje się, że pod tym względem literatura oferuje dość niewielki wybór, co mnie przygnębia: dlaczego prawdziwa miłość tak rzadko triumfuje w klasyce? A co ważniejsze, jak mam sprawić, żeby zatriumfowała w historii mojej i Joego? Gdybym tylko mogła go nawrócić na bałaganizm... Gdybym miała kółka na tyłku, byłabym wózkem w hipermarkecie". Po tym wszystkim, co powiedział dzisiaj, chyba nie mam już szans.

Gram jego piosenkę chyba z pięćdziesiąty raz, kiedy zauważam, że Gram stoi w drzwiach i mnie słucha. Myślałam, że siedzi zamknięta w pracowni i dochodzi do siebie po emocjonalnej burzy popołudnia. Przerywam w pół nuty, nagle skrepowana. Gram otwiera drzwi, wychodzi na werandę z mahoniowym pudełkiem ze strychu w dłoniach.

- Śliczna melodia. Założę się, że teraz potrafiłabym ją sama zagrać - mówi, przewracając oczami. Stawia pudełko na stole i siada na sofie. - Chociaż bardzo miło mi słyszeć, że znowu grasz.

Postanawiam jej powiedzieć.

- Tej jesieni znowu stanę do konkursu na pierwszy klarnet.

- Och, skarbie - śpiewa. Dosłownie. - To muzyka dla moich słoniowych uszu.

Uśmiecham się, ale żołądekmi się wywraca. Zamierzam powiedzieć Rachel na następnej próbie. Byłoby mi o wiele łatwiej, gdybym po prostu mogła wylać na nią wiadro wody jak Zła Czarownica z Zachodu.

- Chodź, usiądź. - Gram klepie poduchę obok siebie. Dołączam do niej, kładąc klarnet na kolanach. Kładzie rękę na pudełku. - Możesz przeczytać wszystko, co tu jest. Otwórz wszystkie koperty. Przeczytaj moje listy. Tylko bądź przygotowana na to, że nie wszystkie są miłe, szczególnie te wcześniejsze.

Kiwam głową.

- Dziękuję.

- No dobrze. - Zabiera rękę z pudełka. - Przejdę się do miasta, zajrzę do Biga w Saloonie. Potrzebuję drinka. - Czochra moje włosy i zostawia mnie i pudełko sam na sam.

Chowam klarnet i siadam z pudełkiem na kolanach, wodząc palcami po kręgu galopujących koni. W kółko i w kółko. Chcę je otworzyć, ale też nie chcę. Wiem, że dzięki tym listom poznam moją matkę na tyle, na ile w ogóle mogę ją poznać, kimkolwiek ona jest - poszu-kiwaczką przygód czy wariatką, bohaterką czy czarnym charakterem, a prawdopodobnie po prostu bardzo pogubioną, skomplikowaną kobietą.

Patrzę na gang dębów po drugiej stronie drogi, na girlandy mchu zwisające z ich przygarbionych ramion jak złachmanione szale, na tę szarą, sękatą bandę mądrych starców, dumających nad werdyktem... Skrzypią drzwi. Odwracam się i widzę, że Gram włożyła jasnoróżowe, kwieciste nie-mam-pojęcia-co -płaszcz? Narzutę? Zasłonkę prysznicową? - na jeszcze bardziej jaskrawą fioletową, kwiecistą suknię. Jej włosy są

rozpuszczone i dzikie, wyglądają, jakby przewodziły prąd. Jest umalowana, ma szminkę w kolorze bakłażana, a na swoje stopy Big Foota włożyła kowbojki. Wygląda pięknie i obłąkańczo. Pierwszy raz od śmierci Bailey wychodzi wieczorem. Macha do mnie, puszcza oczko i schodzi z werandy. Patrząc za nią, jak idzie przez ogródek. Kiedy już jest na drodze, odwraca się i przytrzymuje włosy, by wiatr nie zwał ich jej na oczy.

- Hej, daję Bigowi miesiąc, a ty?

- Żartujesz? Dwa tygodnie maks.

- Twoja kolej, żeby być družbą.

- Nie ma sprawy - odpowiadam z uśmiechem. Gram uśmiecha się, radość wygląda z jej królewskiej twarzy. Chociaż udajemy, że jest inaczej, nic tak nie cieszy Walkerek, jak myśl o kolejnym ślubie wujka Biga.

- Trzymaj się, skarbie - mówi Gram. - Wiesz, gdzie jesteśmy...

- Nic mi nie będzie — odpowiadam, czując na kolanach ciężar pudełka.

Kiedy tylko Gram znika, zdejmuję wieczko. Jestem gotowa. Wszystkie te liściki i listy, z szesnastu lat. Przed oczami staje mi Gram, jak notuje jakiś przepis, jakąś myśl, jakieś trywialne albo niezbyt miłe spostrzeżenie, którym chciała się podzielić ze swoją córką, albo po prostu pamiętać ją; być może nosi kartkę w kieszeni przez cały dzień, a potem, przed snem, wymyka się na strych, rok po roku, nie wiedząc, czy jej córka kiedykolwiek to przeczyta, nie wiedząc, czy ktokolwiek przeczyta...

Zachłystuję się ze zdumienia, bo przecież ja robiłam dokładnie to samo:

pisałam listy i rzucałam je na wiatr z tą samą nadzieją co Gram, że może ktoś, kiedyś, gdzieś zrozumie, kim jestem, kim była moja siostra i co nam się przydarzyło.

Wyjmuję koperty, liczę je - piętnaście, i na wszystkich jest imię Paige i rok. Odnajduję pierwszy list, który Gram



piętnaście lat temu napisała do swojej córki. Wsuwając palec pod klapkę, wyobrażam sobie Bailey siedzącą obok mnie. Okej, mówię do niej, wydając list. Poznajmy naszą matkę. Okej na wszystko. Jestem bałaganistką - zgadzam się na wszystko.



Ranczo Shawów króluje nad Clover. Rozciąga się faliście zielonym i złotym majestatem od grani w dół, aż do samego miasta. Przechodzę przez żelazną bramę i idę do stajni, gdzie znajduję Toby'ego; rozmawia z piękną czarną klaczą, zdejmując jej siodło.

- Nie chciałam przeszkadzać - mówię, podchodząc do niego.

Odwraca się.

- Rany, Lennie.

Uśmiechamy się do siebie jak idioci. Myślałam, że dziwnie będzie go zobaczyć, ale wygląda na to, że oboje jesteśmy zachwyceni. Trochę mnie to zawstydza, więc przenoszę spojrzenie na klacz stojącą między nami i głaszczę jej ciepłą, wilgotną sierść. Z jej ciała bucha żar.

Toby lekko uderza mnie po dłoni końcem wodzy.

- Tęskniłem za tobą.

- Ja za tobą też. - Ale zauważam z ulgą, że nie czuję trzepotu w żołądku, nawet kiedy patrzymy sobie w oczy, jak w tej chwili. Nawet najmniejszego drgnienia. Czyżby czar się odczarował? Koń parska; idealnie. Dzięki, Black Beauty.

- Chcesz się przejechać? - pyta Toby. - Moglibyśmy wjechać na grań. Właśnie tam byłem. W okolicy jest ogromne stado łośi.

- Szczerze mówiąc, Toby... pomyślałam, że moglibyśmy odwiedzić Bailey.

- Okej - mówi bez zastanowienia, jakbym zaprosiła go na lody. Dziwne. Powiedziałam sobie, że nigdy nie wrócę na cmentarz. Nikt nigdy nie mówi o gnijącym cieple, robakach i szkieletach, ale jak można nie myśleć o tych rzeczach? Robiłam wszystko, co w mojej mocy, żeby nie dopuszczać do siebie tych myśli, a trzymanie się jak najdalej od grobu Bailey było kluczowym elementem tych działań. Ale wczoraj wieczorem dotykałam wszystkich rzeczy na jej toalecie, jak zawsze przed snem, i zrozumiałam, że ona nie chciałaby, żebym trzymała w nieskończoność jej czarne włosy wplątane w szczotkę czy brudne ciuchy, których ciągle jeszcze nie uprałam. Uważałaby to za obrzydliwe, w stylu lady Havisham i jej sukni ślubnej, i strasznie ponure. Wyobraziłam ją sobie, jak siedzi na wzgórzu na cmentarzu Clover, wśród starych dębów, jodeł i sekwoi, jak królowa ze swoim dworem, i uznałam, że już czas.

Chociaż cmentarz jest na tyle blisko, że można dojść tam pieszo, to kiedy Toby kończy pracę, wskakujemy do jego pikapa. Wkłada kluczyk w stacyjkę, ale go nie przekręca. Patrzy prosto przez szybę na złote łąki, dwoma palcami wystukuje na kierownicy szybkie staccato. Widzę, że zbiera się, żeby coś powiedzieć. Opieram głowę o okienko pasażera i wyglądam na pola, wyobrażając sobie jego życie tutaj, i jakie musi być samotne. Po minucie czy dwóch zaczyna mówić swoim cichym, kojącym basem:

- Nie cierpiałem być jedynakiem. Zawsze wam zazdrościłem. Byłyście takie zżyte.

Ściska kierownicę, patrzy prosto przed siebie.

- Strasznie mi zależało na tym ślubie z Bails, na tym dziecku... zależało mi, żeby być częścią waszej rodziny. To zabrzmiało teraz strasznie żałośnie, ale myślałem, że będę umiał pomóc ci przez to przejść. Chciałem.

Wiedziałem, że Bailey by tego chciała. - Kręci głową. - Oczywiście

wszystko schrzaniłem. Tylko że... no nie wiem. Ty rozumiałaś... zupełnie jakbyś była jedyną osobą, która rozumie. Poczułem, że jestem ci taki bliski, za bliski. Wszystko pomieszało mi się w głowie...

- Ale ty mi pomogłeś - przerywam mu. - Ty jeden w ogóle potrafiłeś mnie znaleźć. Ja czułam tę samą bliskość, nawet jeśli jej nie rozumiałam. Nie wiem, co bym zrobiła bez ciebie.

Odwraca się do mnie.

- Naprawdę?

- Naprawdę, Tobie.

Posyła mi swój najbardziej zmrużony, najśłodszy uśmiech.

- No cóż, teraz jestem właściwie pewien, że będę umiał utrzymać łapy z daleka od ciebie. Ale nie wiem, czy ty dasz radę, postrzeleńcu... - Unosi brwi, zerka na mnie z ukosa i wybucha beztroskim, swobodnym śmiechem. Wałę go pięścią w ramię. Mówi dalej: - Więc może mogliśmy czasem spędzić ze sobą trochę czasu. Jak tak ciągle będę odrzucał zaproszenia Gram na kolację, w końcu przyśle po mnie Gwardię Narodową.

- Nie do wiary, właśnie zmieściłeś dwa żarty w jednej wypowiedzi. Niesamowite.

- Nie jestem takim totalnym głąbem.

- Pewnie nie. Przecież musiał być jakiś powód, dla którego moja siostra chciała z tobą spędzić resztę życia! -I nagle, tak po prostu, wszystko między nami jest okej. Nareszcie.

- No więc? - mówi, zapalając silnik. - Rozweselimy się wycieczką na cmentarz?

- Trzy żarty, niewiarygodne.

Ale Tobie wykorzystał chyba swój przydział słów na cały rok, myślę, kiedy jedziemy w milczeniu. Milczeniu pełnym nerwów. Moich. Jestem zdenerwowana. Właściwie nie

wiem, czego się boję. Powtarzam sobie, że to tylko kamień, to tylko ładny kawałek ziemi z boskimi, majestatycznymi drzewami, z widokiem na wodospad. To tylko miejsce, w którym piękne ciało mojej siostry leży w pudle i gnije w seksownej czarnej sukience i sandałach. Uch. Nic na to nie poradzę. Wszystko, o czym nie pozwalałam sobie myśleć, dopada mnie. Myślę o pustych płucach bez powietrza. O szmince na nieruchomych wargach. O srebrnej bransoletce, którą dał jej Toby, na nadgarstku bez pulsu. O kolczyku w pępku. O włosach i paznokciach rosnących w ciemności. O jej ciele, w którym nie ma myśli. W którym nie ma czasu. W którym nie ma miłości. O dwóch metrach ziemi, przygniatających ją. Myślę o telefonie dzwoniącym w kuchni, o łoskocie ciała Gram padającego na podłogę, a potem o nieludzkim dźwięku wrywającym się z niej jak z syreny, płynącym przez deski podłogi aż do naszego pokoju. Patrzę na Toby'ego. On w ogóle nie jest zdenerwowany. Coś mi przychodzi do głowy.

- Ty już byłeś? - pytam.

- Oczywiście - odpowiada. - Prawie codziennie.

- Naprawdę?

Patrzy na mnie i dociera do niego.

- Chcesz powiedzieć, że ty nie byłeś od pogrzebu?

- Nie. - Wyglądam za okno. Jestem okropną siostrą. Dobre siostry odwiedzają groby mimo makabrycznych myśli.

- Gram też chodzi - mówi Toby. - Zasadziła parę krzaków róż, trochę innych kwiatów. Opiekunowie terenu powiedzieli jej, że ma je usunąć, ale za każdym razem, kiedy wrywali jej rośliny, po prostu sadziła nowe. W końcu dali spokój.

Nie mogę uwierzyć, że wszyscy z wyjątkiem mnie chodzili na grób Bailey. Nie mogę uwierzyć, jaka czuję się przez to wykluczona.

- A Big? - pytam.

- Często znajduję pety po jego jointach. Parę razy posiedzieliśmy razem. - Patrzy ma mnie, przygląda się mojej twarzy przez chwilę, która ciągnie się w nieskończoność. - Będzie okej, Len. Łatwiej niż myślisz. Ja też za pierwszym razem strasznie się bałem.

Nagle coś mi przychodzi do głowy.

- Toby - zaczynam niepewnie, zbierając się na odwagę. - Ty pewnie jesteś przyzwyczajony do bycia jedynakiem... - Głos zaczyna mi się trząść. -

Ale dla mnie to zupełna nowość. - Wyglądam przez okno. - Może moglibyśmy... - Nagle za bardzo się wstydzę, żeby dokończyć tę myśl, ale on wie, do czego zmierzam.

- Zawsze chciałem mieć siostrę - mówi, skręcając na miejsce na małym parkingu.

- To dobrze - wyrzucam z dziką ulgą. Przechylam się i daję mu najbardziej asekuralnego całusa świata. - Chodź - mówię. - Powiedzmy jej, że przepraszamy.





*Była sobie raz dziewczyna, która znalazła się poza życiem.*

*Spędzała całe dni,  
wyglądając przez parapet nieba  
z podbródkiem, na dłoni.*

*Nudziła się jak mops, jeszcze nie przywykła  
do wolniejszego tempa niebiańskiego życia.*

*Jej siostra spoglądała w górę i machała do niej,  
a martwa dziewczyna machała do siostry,*

*ale była za daleko, żeby tamta mogła ją widzieć.*

*Martwa dziewczyna pomyślała,  
ze siostra może pisać do niej listy,  
ale wyprawa byłaby za długa jak na garść liścików,  
rozrzuconych tu i tam,  
wiec sobie leżały.*

*Aż któregoś dnia jej naziemna siostra zrozumiała,  
że w niebie słychać muzykę,*

*wiec od tej pory wszystko,  
co chciała jej powiedzieć,  
mówiła swoim klarnetem,*

*i za każdym razem, gdy grała, martwa dziewczyna  
zrywała się (wszystko jedno, czym była zajęta)  
i tańczyła.*

*(Znalezione na kartce do notatek, w sekcji B Biblioteki Publicznej w  
Clover).*

Mam plan. Napiszę Joemu wiersz. Ale wszystko po kolei.

Kiedy wchodzę do sali muzycznej, widzę, że Rachel już jest i rozpakowuje instrument. To jest ta chwila. Dłonie mam tak spocone, że boję się, że uchwyt futerału wyślizgnie mi się z palców, kiedy idę przez salę i staję przed nią.

- Proszę, proszę, John Lennon - mówi, nie unosząc wzroku. Czy naprawdę może być tak okropna, żeby rzucać mi w twarz moje imię, którego używał tylko Joe? Najwyraźniej tak. No i dobrze, bo wściekłość mnie uspokaja. Konie ruszyły.

- Będę z tobą walczyć o pierwszy klarnet - oznajmiam, i trybuny w mojej głowie wybuchają spontanicznym, dzikim aplauzem. Nigdy żadne słowa, które wyszły z moich ust, nie były tak przyjemne! Hm. Nawet jeśli Rachel chyba ich nie usłyszała. Ciągle bawi się swoją trzcinką i ligaturką, jakby nie rozległ się dzwonek rozpoczynający wyścig, jakby bramka startowa się nie otworzyła.

Zamierzam powtórzyć, kiedy ona mówi nagle:

- Nie masz powodu, Lennie. - Wypluwa moje imię na podłogę, jakby się nim brzydziła. - On myśli tylko o tobie. Ciekawe dlaczego.

Czy ta chwila może być jeszcze lepsza? Nie! Staram się zachować spokój.

- To nie ma nic wspólnego z nim - mówię, i to jest najprawdziwsza prawda. Tak w sumie to nie ma też nic

wspólnego z nią, chociaż tego jej nie mówię. To sprawa między mną i moim klarnetem.

- Ta, jasne - mruczy. - Robisz to tylko dlatego, że mnie z nim widziałas.

- Nie. - Mój głos znów mnie zaskakuje swoim pewnym brzmieniem. - Po prostu chcę solówki, Rachel. - Słyszac to, przestaje majstrować przy klarnecie, kładzie go na stojaku i spogląda na mnie. - I wznawiam lekcje u Marguerite. - O tym zdecydowałam w drodze na próbę. Teraz mam już jej niepodzielną, totalnie przerażoną uwagę. - I pójdę na przesłuchania do Orkiestry Stanowej - mówię jej. Chociaż to jest dla mnie nowość.

Patrzemy sobie w oczy i po raz pierwszy zadaję sobie pytanie, czy ona wiedziała, że skopałam przesłuchanie celowo. Zastanawiam się, czy to dlatego była dla mnie taka okropna. Może myślała, że jeśli mnie zahuka, nie rzucę jej wyzwania. Może myślała, że to jedyny sposób na zachowanie miejsca w orkiestrze.

Przygryza wargę.

- To może podzielę się z tobą solówkami. I mogłabyś...

Kręcę głową. Prawie mi jej żal. Prawie.

- We wrześnie - mówię. - I niech wygra lepsza.

Czuję się, jakby gnał mnie wiatr, kiedy wyfruwam z sali muzycznej, ze szkoły, do lasu, kiedy pędzę do domu żeby napisać wiersz dla Joego.

Obok mnie, krok w krok, oddech w oddech pędzi niestrawny fakt, że ja mam przyszłość, a Bailey nie.

I wtedy już wiem.

Moja siostra będzie umierać ciągle od nowa przez resztę mojego życia.

Żałoba jest na zawsze. Nie odchodzi; staje się częścią ciebie, idzie z tobą krok w krok, oddech w oddech. Nigdy nie przestanę opłakiwać Bailey, bo nigdy

nie przestanę jej kochać. Po prostu tak już jest. Rozpacz i miłość są zrośnięte, jedno nie występuje bez drugiego. Jedyne, co mogę zrobić, to kochać ją i kochać świat, naśladować ją, żyjąc z odwagą, werwą i radością.

Bez zastanowienia skręcam na ścieżkę do leśnej sypialni. Wszędzie wokół mnie drzewa kipią urodą. Słońce leje się między koronami, sprawiając, że porośnięta paprociami ziemia wygląda jak usiana klejnotami, jakby się żarzyła. Krzewy rododendronów śmigają obok mnie jak kobiety w bajecznych sukniach. Mam ochotę chwycić to wszystko w objęcia.

Kiedy docieram do leśnej sypialni, wskakuję na łóżko i układam się wygodnie. Nie zamierzam śpieszyć się z tym wierszem, nie jak z innymi, które nabazgrałam i porzuciłam. Wyjmuję z kieszeni długopis, czystą kartkę papieru nutowego z torby i zaczynam pisać.

Mówię mu wszystko - mówię mu, co dla mnie znaczy, co czuję przy nim, a czego nie czułam wcześniej, co słyszę w jego muzyce. Chcę, żeby mi zaufał, więc całkiem się obnażam. Mówię mu, że jestem jego, że moje serce należy do niego, i nawet jeśli on mi nigdy nie wybaczy, dalej tak będzie.

W końcu to moja historia i właśnie tak chcę ją opowiedzieć.

Kiedy wiersz jest gotowy, schodzę z łóżka i nagle zauważam niebieskie piórko od gitary leżące na białej kołdrze. Musiałam na nim siedzieć całe popołudnie. Wyciągam się i podnoszę je, i natychmiast rozpoznaję, że to Joego. Widocznie przychodził tu grać - dobry znak. Postanawiam zostawić mu wiersz tutaj, zamiast podrzucać go do skrzynki Fontaine'ów, jak planowałam. Składam go, piszę na wierzchu imię Joego i kładę go na łóżku, przyciskając kamieniem, żeby nie zdmuchnął go wiatr. Piórko też wkładam pod kamień.

Wracając do domu, uświadamiam sobie, że po raz pierwszy od śmierci Bailey napisałam słowa, które ktoś ma przeczytać.



Za bardzo skręcam się ze wstydu, żeby móc spać. Co ja sobie wyobrażałam? Ciągłe staję mi przed oczami Joe, czytający mój idiotyczny wiersz swoim braciom, albo, jeszcze gorzej, Rachel, i wszyscy oni śmieją się z biednej, zakochanej Lennie, która wie o miłości tylko tyle, ile wyczytała u Emily Bronte. Napisałam mu: Jestem Twoja". Napisałam mu: Moje serce należy do Ciebie". Napisałam mu: W twojej muzyce słyszę twoją duszę". Chyba skoczę z dachu. Kto wypisuje takie rzeczy w XXI wieku? Nikt! Jak to możliwe, że coś może się wydawać takim doskonałym pomysłem jednego dnia, a takim durnym następnego? Kiedy tylko robi się wystarczająco jasno, narzucam bluzę na piżamę, wkładam jakieś tenisówki i pędzę przez świt do leśnej sypialni, żeby zabrać wiersz, ale kiedy tam docieram, wiersza już nie ma. Wmawiam sobie, że po prostu zdmuchnął go wiatr, jak wszystkie inne wiersze. Bo jakie jest prawdopodobieństwo, że Joe zjawił się tu wczoraj po południu, kiedy już sobie poszłam? Żadne.

Sarah dotrzymuje mi towarzystwa, zapewnia wsparcie w upokorzeniu, kiedy robię łazanie. Nie przestaje piszczeć:

- Będziesz pierwszym kłarnetem, Lennie. To pewne.
- Zobaczymy.
- To ci bardzo pomoże w dostaniu się do konserwatorium. Nawet do Juillarda.

Oddycham głęboko. Boże, jak ja się czułam, ilekroć Marguerite o tym wspominała. Jak uzurpatorka, jak zdrajczyni, która knuje, żeby ukraść marzenie swojej siostry, i to w chwili, kiedy zostało jej odebrane.

Dlaczego wtedy nie przyszło mi do głowy, że mogę marzyć razem z nią?

Dlaczego nie byłam dość odważna, żeby w ogóle mieć marzenia?

- Strasznie bym chciała pójść do Juillarda - mówię Sarze. No. Nareszcie. - Ale każde dobre konserwatorium byłoby w porządku. - Po prostu chcę studiować muzykę: chcę się dowiedzieć, jak brzmi samo życie.

- Mogłybyśmy pójść razem - odzywa się Sarah, pakując do ust kolejne kawałki mozzarelli, w miarę jak je kroję. Daję jej po łapie. Mówi dalej: - Wynajęłybyśmy sobie razem mieszkanie w Nowym Jorku. - Jest tak zachwycona tym pomysłem, że zaraz wystrzeli na orbitę; ja też jestem zachwycona, tyle że ja przez cały czas myślę żałośnie: A co z Joem? - A może Berklee w Bostonie - zastanawia się na głos, i niebieskie oczy omal nie wyłażą jej z głowy. - Nie zapominaj o Berklee. Tak czy inaczej, mogłybyśmy tam pojechać Ennui, zygzakiem przez całe Stany.

Posiedzieć nad Wielkim Kanionem, może zajrzeć do Nowego Orleanu...

- Urrrhh - jęczę.

- Nie mów, że ciągle myślisz o tym wierszu. Co może lepiej odwrócić twoją uwagę niż te dwie boginie, Juillard i Berklee? Jesssu.

Niewiarykurnagodne.

- Nie masz pojęcia, jaki był dildoniczny.

- Niezłe słowo, Len. - Przerzuca czasopismo, które ktoś zostawił na ladzie.

- Bo żalosny" nie jest dość żalosne, żeby go określić - mamroczę. - Sarah, ja napisałam gościowi, że jestem jego.



- Właśnie tak się dzieje, kiedy ktoś czyta *Wichrowe Wzgórza* osiemnaście razy.

- Dwadzieścia trzy.

Układam warstwami: sos, makaron, jestem twoja, ser, sos, moje serce należy do ciebie, makaron, ser, w twojej muzyce słyszę twoją duszę, ser, ser, ser...

Sarah uśmiecha się do mnie.

- Ale wiesz co, może będzie dobrze. On chyba też taki jest.

- Jaki?

- No wiesz, jak ty.



*Bails?*

*Tak.*

*Mozesz wierzyć, że Catty wyszła za Edgara Lintona?*

*Nie.*

*Przecież to, co łączyło ją z Heathcliffem...Jak mogła to tak po prostu wyrzucić?*

*Nie wiem. O co tu chodzi, Len?*

*Z czym?*

*O co chodzi z toba, i ta, książka?*

*Wie wiem.*

*Owszem, wiesz. Powiedz mi*

*Jest ckliwa,*

*Noo. Len.*

*Hmm, chyba tego chce. Czego?*

*Przeżyć taką miłość.*

*Przeżyjesz.*

*Skąd wiesz?*

*Palce stóp wiedza.*

*Ale jeśli ją znajdę, nie chce jej schrzanić tak jak oni.*

*Nie schrzaniisz. To też wiedza palce stóp.*

*Dobranoc, Bails.*

*Len, właśnie coś mi przyszło do głowy.*

*Co?*

*Na końcu Cathy i Heathcliff SA razem. Miłość jest silniejsza od wszystkiego, nawet od śmierci*

*Hm...*

*"Dobranoc. Len.*

*(Znalezione na złożonym arkuszu nutowym, na parkingu Clover High).*

Mówię sobie, że to śmieszne, iść taki kawał aż do leśnej sypialni, że nie ma takiej opcji, żeby on tam był, że żadne skrzyżowanie wiktoriańskiej powieści z poezją New Age nie sprawi, że on mi zaufa, że na pewno ciągle mnie nienawidzi, a teraz na dodatek myśli, że jestem dildoniczna. Ale jestem tutaj, a jego oczywiście nie ma. Rzucam się na plecy na łóżko. Spoglądam na skrawki błękitnego nieba między drzewami i, jak zaprogramowany automat, myślę o Joem. Tylu rzeczy o nim nie wiem. Nie wiem, czy wierzy w Boga, czy lubi makaron z serem, spod jakiego jest znaku, czy śni po angielsku, czy po francusku, i jakie by to było uczucie... oo. Od pytań dla grzecznych dziewczynek zmiierzam prosto w stronę XXX, bo, Jezu, tak strasznie pragnę, żeby Joe nie nienawidził mnie tak bardzo, bo chcę z nim zrobić wszystko. Mam tak strasznie dość mojego dziewictwa. Zupełnie jakby cały świat był wtajemniczony w ten podniecający sekret, tylko nie ja...

Nagle coś słyszę: dziwny, płaczliwy, z całą pewnością nieleśny dźwięk. Podnoszę głowę i podpieram się na łokciach, żeby słyszeć lepiej, i próbuję wyizolować ten dźwięk spośród szelestu liści, odległego ryku rzeki i trajkotania ptaków dookoła mnie. Dźwięk sączy się między drzewami, głośniejszy z każdą minutą, bliższy. Nasłuchuję dalej i nagle rozpoznaję, co to jest - nuty, teraz już czyste i doskonałe, płynące w moją stronę krętą ścieżką - melodia z duetu Joego. Zamykam oczy i mam nadzieję, że

naprawdę słyszę klarnet, a nie tylko jakiś omam słuchowy w mojej chorej z miłości głowie. Nie jest to omam, bo teraz słyszę kroki szurające w poszyciu i po paru minutach muzyka ustaje, a kroki zaraz po niej.

Boję się otworzyć oczy, ale otwieram, a on stoi obok łóżka i patrzy na mnie - armia amorków nindza, które chowały się w koronach drzew, naciąga łuki i spuszcza cięciwy - strzały lecą we mnie ze wszystkich stron.

- Tak myślałem, że możesz tu być. - Nie mogę odczytać wyrazu jego twarzy. Nerwy? Gniew? Jego twarz jest niespokojna, jakby nie widziała, co ma wyrażać. -Znalazłem twój wiersz...

Słyszę krew pędzącą z hukiem po moim ciele, dudniącą w uszach. Co on mi zaraz powie? Znalazłem twój wiersz i przykro mi, nie potrafię ci wybaczyć". Znalazłem twój wiersz i czuję to samo - moje serce należy do ciebie, John Lennon". Znalazłem twój wiersz i już dzwoniłem do psy-chiatryka, mam w tym plecaku kaftan bezpieczeństwa". Dziwne. Nigdy nie widziałam, żeby Joe nosił plecak.

Przygryza wargę, stuka się klarnetem w nogę. Z całą pewnością jest zdenerwowany. To nie wróży nic dobrego.

- Lennie, znalazłem wszystkie twoje wiersze. -O czym on mówi? Co to znaczy, wszystkie moje wiersze? Wsuwa klarnet między uda, żeby go przytrzymać, zdejmuje plecak, rozsuwa go. Potem bierze głęboki wdech, wyjmuje pudełko i podaje mi je. - Okej, prawdopodobnie nie wszystkie, ale te.

Otwieram wieczko. W środku są kawałki papieru, serwetki, kubki na wynos, wszystkie z nabazgranymi słowami. Skrawki Bailey i mnie, które rozrzucałam, zakopywałam, chowałam. To nie jest możliwe.

- Jak? - pytam osłupiała i zaczynam odczuwać niepokój na myśl, że Joe przeczytał to wszystko. Te wszystkie intymne, rozpaczliwe chwile. To jest gorsze, niż gdy-

by ktoś przeczytał twój pamiętnik. To jest, jakby ktoś przeczytał pamiętnik, który myślałaś, że spaliłaś. I skąd on wziął je wszystkie? Śledził mnie? To by było niezłe. Wreszcie się w kimś zakochałam i ten ktoś jest totalnym, cholernym maniakiem.

Patrzę na niego. Uśmiecha się pod nosem i widzę ledwie dostrzegalny trzepot rzęs.

- Wiem, co myślisz - mówi. - Że jestem upiornym zbokiem, który cię prześladowuje.

Bingo.

Jest ubawiony.

- Nie jestem, Len. To się po prostu samo działo. Z początku ciągle na nie trafiałem, ale potem, no, zacząłem szukać. Nie mogłem się powstrzymać. To zaczęło przypominać jakieś pokręcone szukanie skarbów. Pamiętasz ten pierwszy dzień, na drzewie?

Kiwam głową. Ale nagle dociera do mnie coś jeszcze bardziej zdumiewającego niż fakt, że Joe jest upiornym zbokiem i zbiera moje wiersze. On nie jest już zły. Czy to zasługa dildonicznego wiersza? Cokolwiek to sprawiło, dopada mnie tak wściekły przyływ radości, że nawet nie słucham, kiedy próbuje mi tłumaczyć, jakim cudem te wiersze znalazły się w jego pudełku po butach, a nie na jakimś wysypisku czy gnane wiatrem po Dolinie Śmierci.

Próbuję złapać falę i usłyszeć to, co mówi.

- Pamiętasz, jak na drzewie mówiłem, że cię widziałem na Wielkiej Łące? Powiedziałem ci, że widziałem, jak coś piszesz, upuszczasz to i odchodzisz. Ale nie powiedziałem ci, że potem tam podszedłem i znalazłem kartkę zaczepioną o ogrodzenie. To był wiersz o Bailey. Pewnie nie powinienem był go zatrzymać. Chciałem ci go oddać wtedy na drzewie, miałem go w kieszeni, ale pomyślałem, że pewnie uznasz za dziwne, że go w ogóle wziąłem, więc go zatrzymałem. - Przygryza wargę. Pamiętam, jak tamtego dnia

mówił mi, że widział, że coś napisałam i wyrzuciłam, ale nawet mi do głowy nie przyszło, że mógł to znaleźć i przeczytać. Mówi dalej: - A potem, kiedy siedzieliśmy na drzewie, zobaczyłem słowa na gałęziach, pomyślałem, że może napisałaś coś innego, ale głupio mi było zapytać, więc wróciłem tam kiedy indziej i przepisałem to do notesu.

Nie mogę w to uwierzyć. Siadam, grzebię w pudełku, tym razem przyglądam się uważniej. Jest tu kilka świstków zapisanych jego maniackim pismem Unabombera - pewnie rzeczy przepisane ze ścian, drzwi stodół czy innych praktycznych powierzchni do pisania, na jakie natrafiałam. Nie jestem pewna, co mam czuć. On wie wszystko -jestem wynicowana.

Jego twarz utknęła gdzieś pomiędzy niepokojem a ekscytacją, ale ekscytacja chyba wygrywa.

- Kiedy pierwszy raz byłem u was w domu, zobaczyłem jeden sterczący spod kamienia w ogrodzie Gram, a potem kolejny na podeszwie twojego buta, a potem, tego dnia, kiedy wynosiliśmy wszystkie graty, rany... twoje słowa były praktycznie wszędzie, gdziekolwiek spojrzałem. Trochę oszalałem, przyłapywałem się na tym, że szukam ich bez przerwy... - Kręci głową. - Nie przestawałem, nawet kiedy byłem na ciebie taki wkurzony. Ale najdziwniejsze jest to, że znalazłem parę, jeszcze zanim cię poznałem, pierwszy to było ledwie parę słów na papierku od cukierka, znalazłem go na ścieżce do rzeki, nie miałem pojęcia, kto to napisał, dopiero później...

Patrzy na mnie, pukając klarnetem o nogę. Znowu jest zdenerwowany.

- Okej, powiedz coś. Nie czuj się dziwnie. Przez nie tylko jeszcze bardziej się w tobie zakochałem. - I nagle się uśmiecha, a we wszystkich miejscach na planecie, gdzie jest noc, wchodzi dzień. - Nie powiesz przynajmniej *quel palant*"?

Powiedziałabym w tej chwili wiele rzeczy, gdybym tylko była w stanie wypchnąć jakiegokolwiek słowa przez uśmiech, który opanował mi twarz. Znowu zjawilo się to jego zakochałem się w tobie", które przesłania wszystkie inne słowa wychodzące z jego ust.

Wskazuje pudełko.

- One mi pomogły. Jestem cholernie zawziętym dupkiem, co chyba zauważyłaś. Przeczytałem je... czytałem je w kółko po tym, jak przyszłaś tamtego dnia z różami, i próbowałem zrozumieć, co się stało, dlaczego z nim byłaś, i myślę, że może teraz rozumiem. Nie wiem, kiedy przeczytałem te wiersze wszystkie razem, zacząłem tak naprawdę sobie wyobrażać, co przeżywasz, jakie to musi być straszne... - Przełyka ślinę, patrzy w dół, szura nogami w sosnowych igłach. - Dla niego też. Chyba już rozumiem, jak to się stało.

Jak to możliwe, że przez wszystkie te miesiące pisałam do Joego, nawet o tym nie wiedząc? Kiedy znów unosi głowę, uśmiecha się.

- Aż wreszcie wczoraj... - Rzuca klarnet na łóżko. - Dowiedziałem się, że jesteś moja. - Wskazuje na mnie palcem. - Fajnie, że mogę sobie ciebie wziąć.

Uśmiecham się.

- Nabijasz się ze mnie?

- Tak, ale to nieważne, bo ty możesz sobie wziąć mnie. - Kręci głową i włosy opadają mu na oczy tak ślicznie, że zaraz umrę. - Totalnie.

Chmura histerycznie szczęśliwych ptaków wybucha z mojej piersi w świat. Cieszę się, że przeczytał te wiersze. Chcę, żeby wiedział wszystko, co we mnie siedzi. Chcę, żeby znał moją siostrę, i teraz w pewien sposób ją zna. Teraz zna przedtem, nie tylko potem.

Siada na brzegu łóżka, bierze patyk i rysuje nim coś na ziemi, potem rzuca go. Spogląda między drzewa.



- Przepraszam - mówi.

- Nie przepraszaj. Cieszę się... Odwraca się do mnie.

- Nie, nie za wiersze, przepraszam za to, co powiedziałem o Bailey. Kiedy przeczytałem to wszystko, zrozumiałem, jak musiało cię to zabołeć...

Kładę mu palec na ustach.

- Nic nie szkodzi.

Bierze moją dłoń, przyciska ją do ust, całuje. A ja zamykam oczy, czuję dreszcze biegnące po moim ciele - tak dawno się nie dotykaliśmy.

Kładzie moją rękę z powrotem na łóżku. Otwieram oczy. Jego patrzą w moje, pytająco. Uśmiecha się, ale bezbronność i ból, które wciąż widzę w jego twarzy, rozdzierają mnie.

- Nie zrobisz mi tego więcej, prawda? - pyta.

- Nigdy - zapewniam. - Chcę być z tobą na zawsze! -Okej, lekcja powtórzona dwa razy w ciągu dwóch dni: możesz poszatковать wiktoriańską powieść na strzępy, ale nie wykorzenisz jej z dziewczyny.

Uśmiecha się do mnie, rozpromieniony.

- Jesteś bardziej walnięta ode mnie.

Patrzemy na siebie przez długą chwilę i wewnątrz tej chwili czuję się tak, jakbyśmy całowali się bardziej namiętnie niż kiedykolwiek, chociaż nawet się nie dotykamy.

Wyciągam rękę i muskam palcami jego ramię.

- Nic na to nie poradzę. Jestem zakochana.

- To pierwszy raz - mówi. - Dla mnie.

- Myślałam, że we Francji... Kręci głową.

- Coś ty? Na pewno nie tak. - Dotyka moich policzków w ten swój czuły sposób, który sprawia, że wierzę w Boga i Budę, i Mahometa, i Ganesha, i Marię, i całą resztę. - Nikt nie jest taki jak ty - szepcze.

- Nawzajem - mówię, i nasze wargi się spotykają. On opuszcza mnie na łóżko, kładzie się na mnie, tak, że nogi leżą na nogach, biodra na biodrach, brzuch na brzuchu. Czuję jego ciężar naciskający na każdy centymetr mnie. Przeczesałem palcami jego ciemne, jedwabiste loki.

- Tęskniłem za tobą - mruczy w moje uszy, w szyję, we włosy i za każdym razem, kiedy to powtarza, ja mówię:

- Ja też. - A potem znów się całujemy i nie mogę uwierzyć, że w tym niepewnym świecie może być coś tak słusznego, prawdziwego i szczerzego.

Później, kiedy wynurzamy się, żeby zaczerpnąć tlenu, sięgam po pudełko i zaczynam przerzucać świstki. Jest ich mnóstwo, ale i tak o wiele mniej niż napisałam. Cieszę się, że trochę jeszcze zostało gdzieś tam, między kamieniami, w koszach na śmieci, na ścianach, na marginesach książek, że niektóre zmył deszcz, wypaliło słońce, porwał wiatr, że niektóre nigdy się nie znajdują, niektóre znajdują się w nadchodzących latach.

- Hej, a gdzie jest ten z wczoraj? - pytam, poddając się resztkom zażenowania; myślę, że może uda mi się jeszcze podrzeć go niechcący, skoro już spełnił swoje zadanie.

- Nie tu. Tamten jest mój. - No trudno. Joe leniwie wodzi dłonią po mojej szyi, po plecach. Czuję się jak kamerton, moje ciało wibruje.

- Nie uwierzysz - mówi - ale te róże chyba podziałały. Na moich rodziców. Przysięgam, nie mogą się od siebie odkleić. To obrzydliwe. Marcus i Fred chodzili do was nocami i wykradali róże, żeby dawać je dziewczynom, żeby się z nimi przespały. - Gram będzie zachwycona. Całe szczęście, że jest taka zabujana w młodych Fontaine'ach.

Odkładam pudełko i przekręcam się na siedzeniu, żeby być przodem do Joego.

- Myślę, że żaden z was nie potrzebuje do tego róż Gram.

- John Lennon? Rzęsy. Rzęsy. Rzęsy.

Głaszczę palcem jego usta, mówię:

- Ja też chcę zrobić z tobą wszystko.

- O kurde - mówi i przyciąga mnie do siebie, a potem całujemy się tak wysoko w niebo, że chyba już nigdy nie wrócimy.

Gdyby ktoś spytał, gdzie jesteśmy, każcie mu spojrzeć w górę.



*Bails?*

*Tak?*

*Czy strasznie trudno jest być martwa?*

*Było, ale już nie jest.*

*Co się zmieniło?*

*Przestałam wyglądać przez parapet...*

*I co teraz robisz?*

*Trudno to wyjaśnić - to jest jak pływanie,*

*ale nie w wodzie, a w świetle.*

*I z kim pływasz?*

*Głównie z toba i Tobym, z Gram, Bigem,*

*z mama też, czasami*

*Jak to możliwe, że o tym nie wiem?*

*Ależ wiesz, prawda?*

*Może i tak. To jak w te dni, które spędzamy*

*w Wawozie Samobójcy?*

*Właśnie tak. Tylko jaśniej.*

*(Zapisane w pamiętniku Lennie)*

Gram i ja spędzamy cały dzień na pieczeniu, przygotowując się do ślubu Biga. Wszystkie drzwi i okna są otwarte i słyszymy rzekę, wachamy róże i czujemy żar słońca lejącego się do domu. Ćwierkamy po kuchni jak wróble.

Robimy to przed każdym ślubem, tyle że dziś po raz pierwszy robimy to bez Bailey. Ale, o dziwo, dzisiaj, w kuchni z Gram, czuję jej obecność bardziej wyraziście niż kiedykolwiek od jej śmierci. Kiedy wałkuje ciasto, podchodzi do mnie, zanurza dłoń w mące i pstryka mi nią w twarz. Kiedy Gram i ja, oparte o szafki, popijamy herbatę, wpada do kuchni i też nalewa sobie kubek. Siedzi na każdym krześle, wbiega i wybiega przez drzwi, wciska się między mnie a Gram, nucąc pod nosem i wtykając nam palce w ciasto. Jest w każdej myśli, którą myślę, w każdym słowie, które mówię, i pozwalam jej być. Pozwalam jej, żeby mnie oczarowywała, kiedy wałkuje moje ciasto, myślę moje myśli, mówię moje słowa, kiedy pieczemy i pieczemy - do spółki wreszcie wybiłyśmy Joemu z głowy pomysł wybuchowego tortu weselnego - i rozmawiamy o głupotach, na przykład o tym, co Gram włoży na wielkie przyjęcie. Jest mocno przejęta swoją kreacją.

- Może dla odmiany włożę spodnie. - Ziemia właśnie odchyliła się od swojej osi. Gram ma kwiecistą suknię na każdą okazję, nigdy nie widziałam jej w spodniach. - I może wyprostuję włosy. - Okej, Ziemia zjechała z osi i pędzi w kierunku innej galaktyki. Wyobraźcie sobie Meduzę

o węzowych włosach z suszarką. Wyprostowanie włosów jest niewykonalne dla Gram ani dla żadnej innej Walkerki, nawet jeśli ma jeszcze trzydzieści godzin do imprezy.

- Co jest? - pytam.

- Po prostu chcę ładnie wyglądać, to chyba żadna zbrodnia, co? Wiesz, skarbie, jeszcze nie całkiem straciłam sek-sapil. - Nie mogę uwierzyć, że Gram właśnie powiedziała

seksapil". - Miałam tylko trochę przerwy - mamrocze pod nosem.

Odwracam się, żeby na nią spojrzeć. Posypuje cukrem maliny i truskawki, równie czerwona jak one.

- O mój Boże, Gram! Zabujałaś się.

- A skądże znowu!

- Kłamiesz. Widzę.

Zaczyna chichotać jak wariatka.

- No, kłamie! A czego ty się spodziewałaś? Ty masz ciągle takiego bzika na punkcie Joego, a teraz Big

i Dorothy... może też trochę tego złapałam. Miłość jest zaraźliwa, każdy to wie, Lennie.

Szczerzy się w uśmiechu.

- Więc kto to jest? Poznałaś go w Saloonie tamtego wieczoru? - To był jedyny raz, kiedy wyszła do ludzi przez te wszystkie miesiące. A internetowe randki nie są w jej stylu. Przynajmniej tak mi się wydaje.

Biorę się pod boki.

- Jak mi nie powiesz, to jutro zapytam Marię. Ona wie o wszystkim, co się dzieje w Clover.

Gram piszczy:

- Milczę jak grób.

Choć podbieram ją na wszystkie sposoby przez kolejne godziny ciast, placków i kilku partii truskawkowego puddingu, jej uśmiechnięte usta są zamknięte na kłódkę.

Kiedy już wszystko jest gotowe, biorę plecak, który spakowałam wcześniej, i wyruszam na cmentarz. Na po-

czątku leśnej ścieżki zaczynam biec. Słońce przebija się przez korony oddzielnymi blokami, więc lecę przez światło i cień, cień i światło, z jaskrawego, bezlitosnego blasku w najbardziej upiorną, pustą ciemność, i z powrotem, i tak w kółko, od jednego do drugiego, i przez miejsca, gdzie jedno z drugim miesza się w przesiany przez liście, szmaragdowy sen. Biegnę i biegnę, a kiedy tak biegnę, płaszcz śmierci, który oblepiał mnie przez całe miesiące, zaczyna się rozluźniać i zsuwać. Biegnę szybka i wolna, zawieszona w chwili mojej własnej, prywatnej, wrzaskliwej radości, moje stopy ledwie dotykają ziemi, kiedy lecę przed siebie, w następną sekundę, minutę, godzinę, dzień, tydzień, rok mojego życia. Wypadam z lasu na drogę na cmentarz. Gorące popołudniowe słońce wyleguje się leniwie na wszystkim, snuje się między drzewami, rzucając długie cienie. Jest upał; zapach eukaliptusów i sosen jest gęsty, przytłaczający. Idę ścieżką, która wije się między grobami, słuchając szumu wodospadu; przypominam sobie, jak ważne było dla mnie, wbrew wszelkiej logice, żeby grób Bailey był w miejscu, z którego będzie mogła widzieć i słyszeć rzekę, a nawet czuć jej zapach.

Jestem jedną osobą na małym cmentarzu na szczycie wzgórza i cieszę się z tego. Rzucam plecak i siadam przy kamieniu nagrobnym, opieram o niego głowę, obejmuję go rękami, jakbym grała na wiolonczeli. Kamień jest taki ciepły. Wybrałyśmy akurat ten nagrobek, bo miał w sobie mały schowek, coś w rodzaju relikwiarza, z żelaznymi drzwiczkami i grawerunkiem ptaka. Schowek jest pod wykutymi słowami. Przeciagam palcami po nazwisku mojej siostry, po jej dziewiętnastu latach, a potem po słowach, które przed miesiącami napisałam na kartce i dałam Gram w zakładzie pogrzebowym: "Kolor Nadzwyczajności".

Sięgam po plecak, wydaję z niego mały zeszyt. Przepisałam do niego wszystkie listy, które Gram napisała



do naszej mamy przez szesnaście lat. Chcę, żeby Bailey miała te słowa. Chcę, żeby wiedziała, że nigdy nie będzie historii, której ona nie będzie częścią, że jest wszędzie, jak niebo. Otwieram drzwiczki i wsuwam zeszyt do schowka. Kiedy to robię, słyszę, że coś szura w środku. Wkładam rękę i wyciągam pierścionek. Ścisną mnie w żołądku. Jest śliczny -pomarańczowy topaz, wielki jak żołądź. Idealny dla Bailey. Tobi musiał go zamówić specjalnie dla niej. Trzymam go na dłoni i ta pewność, że ona nigdy go nie zobaczy, przeszywa mnie jak nóż. Pewnie to na ten pierścionek czekali, żeby wreszcie powiedzieć nam o zaręczynach, o dziecku. Ależ Bails by się nim popisowała po ogłoszeniu wielkiej nowiny. Kładę go na krawędzi kamienia, gdzie łapie promień słońca i rzuca bursztynowe, pryzmatyczne światła na wykute słowa. Próbuję odpędzić smutek wielki jak ocean, ale nie mogę. To taki potworny wysiłek nie dać się prześladować temu, co przepadło, i tylko trwać w zachwycie nad tym, co było.

Tęsknię za tobą, mówię jej, nie mogę znieść myśli, że tyle cię ominie. Nie wiem, jak serce wytrzymuje coś takiego.

Całuję pierścionek, wkładam go do schowka obok zeszytu i zamykam drzwiczki z ptakiem. Potem sięgam do plecaka i wydaję doniczkową roślinę. Jest tak zmarniała, że zostało jej ledwie parę poczerńniętych liści. Podchodzę do brzegu urwiska; jestem tuż nad wodospadem. Wydaję roślinę z doniczki, otrząsam ziemię z korzeni, chwytam porządnie, odciągaję rękę do tyłu, biorę jeden głęboki wdech, aż wreszcie robię potężny zamach i puszczam.

## Epilog

*Jestem twoja  
Moje serce należy do ciebie.  
W twojej muzyce słysze twoja dusze.*

*(Znalezione na łóżku w leśnej sypialni).*

*(Znalezione jeszcze raz w pokojurumowisku, w koszu na śmieci, podarte na strzępki przez Lennie).*

*(Znalezione jeszcze raz, na biurku Joego, posklejane taśmą, ze słowem "dildoniczne" napisanym przez całą długość kartki).*

*(Znalezione w ramce pod szkłem, w szufladzie komody joego, gdzie leży do dziś).*

## Podziękowania

*Pamięci Barbie Stein, która jest wszędzie, jak niebo. Chciałabym podziękować:*

*Po pierwsze i najważniejsze, moim rodzicom - całej czwórce - za ich bezgraniczną miłość i wsparcie: mojemu wspaniałemu tacie i Carol, mojej mamie o wielkim sercu i Kenowi. Mojej całej rodzinie za ich szczeniackie poczucie humoru i niezłomność: moim braciom - Bruce'owi, Bobby'emu i Andy'emu; moim bratowym - Patricii i Monice; mojej bratanicy i bratankom - Lenie, Adamowi i Jake'owi; moim dziadkom, a w szczególności niepowtarzalnej Cele.*

*Markowi Routhierowi za tyle radości, wiary, miłości.*

*Moim niesamowitym przyjaciółom, mojej drugiej rodzinie, za każdy dzień i na wszystkie sposoby: Ami Hooker, Anne Rosenthal, Becky MacDonald, Emily Rubin, Jeremy'emu Quittnerowi, Larry'emu Dwyerowi, Maggie fones, Sarze Michelson, Julie Regan, Stacy Doris, Maritzy Perez, Davidowi Boothowi, Alexandrowi Stadlerowi, Rickowi Heredii, Patricu Irvine, Jamesowi Faerronowi, Lisie Steindler i Jamesowi Assatly'emu, którego tak mi brakuje, a także dalszej rodzinie: klanom Routhierów, Greenów i Blocków... i wielu innym, zbyt licznym, by ich wymienić.*

*Patricii Nelson za kupę śmiechu przez okrągłą dobę i za porady prawne, Paulowi Feuerwerkerowi za cudowną ekscentryczność, hulanki i nieocenione informacje na temat sal*

*orkiestrowych, Markowi H. za wysublimowaną muzykalność, moją pierwszą miłość.*

*Kadrze pedagogicznej, personelowi i studentom Vermont College of Fine Arts, a zwłaszcza moim mentorom cudotwórcom: Deborze Wiles, Brentowi Hartingerowi, Julie Larios, Jimowi Wynne-Jonesowi, Margaret Bechard i Jane Yolen na gościnnych wykładach. I moim kolegom z klasy: Cliff-hangersom, w szczególności Jill Santopolo, Carol Lynch Williams, Erikowi Talkinowi i Mari Jorgensen. Dziękuję też ekipie VCFA z San Francisco. I Mariannie Baer - aniołowi na końcu mojej klawiatury. Moim pozostałym niesamowitym nauczycielom i profesorom: Reginie Wiegand, Bruce'owi Bostonowi, Willowi Eriksonowi, Archiemu Ammonsowi, Renowi McClane'owi Phyllis Janowitz, CD. Wrightowi i wielu, wielu innym.*

*Dla tych wszystkich wymienionych wyżej, którzy przemykają się po tej książce - specjalne podziękowania. Najgłębsze wyrazy uznania i wdzięczności dla: Moich klientów z Manus & Associates Literary Agency, jak również moich wyjątkowych kolegów: Stephanie Lee, Deny Fischer, Penny Nelson, Theresy van Eeghen, Janet i Justina Manusów, a w szczególności Jillian Manus, która nie chodzi, a tańczy na wodzie. Alishy Niehaus, mojego wspaniałego wydawcy, za jej żywiołowość, głębię, intuicję, dobroć, poczucie humoru i za sprawienie, że każdy etap tego procesu był jak święto. Wszystkich z Dial and Penguin Books for Young Readers, za zdumiewanie mnie na każdym cudownym kroku tej drogi.*

*Emily van Beek z Pippin Properties za bycie najlepszą agentką literacką na świecie! Jestem wiecznie oczarowana jej radością, błyskotliwością, walecznością i wdziękiem. Holly McGhee za jej entuzjazm, humor, mądrość i uduchowanie. Eleny Mechlin za jej zakulisową magię i doping. Panie z Pippina nie mają sobie równych. I Jasona Dravisa z Monterio Rose Dravis Agency za jego oszałamiające know-how.*

*Oprócz tego dziękuję z całego serca: W Walker z Wielkiej Brytanii mojej cudownej redaktorce Helen Thomas za jej pasję, przenikliwość, poczucie humoru*

*i całą jej uroczą osobę, która sprawiała, że 10 000 kilometrów wydawało się niczym, i wydawcy Jane Winterbotham za jej entuzjazm oraz wizję. Jane i Helen niesamowicie troskliwie zajęły się tą opowieścią i jestem im za to ogromnie wdzięczna. Dziękuję też wspaniałej Katie Everson za jej geniusz i kreatywność, dzięki którym ta książka wygląda piękniej niż w moich najśmielszych snach. I oczywiście Verze, roślinie doniczkowej. Moja ogromna wdzięczność należy się również niesamowitemu Alexowi Webbowi z Rights People. I w końcu ekstraserdeczne podwójnie wypasione i wywalone w cholerny kosmos dzięki dla mojego brata Bobby'ego, Prawdziwego Wyznawcy.*